

Charlotte Armstrong

# Zerwanie

Przekład: AGNIESZKA KLONOWSKA

Tytuł oryginału:

*THE BALLOON MAN*





## Rozdział 1

Sherry skrobała patelnię po swojej jajecznicy na śniadanie. Pod fartuchem była już ubrana do wyjścia. Planowała pobiec na targ, gdy tylko obudzi się Ward. Albo może weźmie ze sobą Johnny'ego i pójdzie prędzej, wykorzystując energię po porannej kawie. A potem wyruszy na poszukiwanie pracy sprzedawczyni i porozmawia z kimś w przedszkolu, bo (spójrzmy prawdzie w oczy... tak jak ona): jaki pożytek ma Johnny z matki, skoro ta prawie cały czas chodzi śpiąca?

W obecnej pracy nie wracała do domu, do łóżka, nie wcześniej niż o północy, Johnny z kolei wrywał się ze swego zdrowego snu trzylatka o szóstej rano. Problem tkwił w tym, że musiała kłaść go spać bardzo wcześnie, ale godzina szczytu dla amatorów drinków wypadła *przed* ich porą kolacji. Napiwki jednak były niezłe. W zasadzie przedszkole nie kosztowałoby dużo więcej niż suma, jaką płaciła wieczorowej opiekunce... Myśli Sherry krążyły leniwie po znajomym torze, kiedy nagle usłyszała poruszenie w innej części domu.

Czyżby Ward już wstawał? Tak wcześnie? Johnny wciąż siedział na swoim wysokim taborecie przy stole jadalnym i z zadowoleniem przeżuwał grzanekę. Sherry miała czas na podjęcie decyzji, że weźmie dziecko ze sobą na targ od razu, jak tylko go otworzą – na wypadek, gdyby Ward miał chandrę i nie czuł się na tyle dobrze, aby zająć się swoim małym synkiem o tak wczesnej porze dnia.

Wtedy jej mąż pojawił się w drzwiach, ubrany jedynie w spodnie od piżamy. Usta miał dziwnie rozchylone. Jego szczęki były zeszywniałe, ale wargi z jakiegoś powodu luźne i wilgotne. Z jego gardła wydobyło się ciche wycie – sam dźwięk, ani słowa.

– O co chodzi? – zawołała natychmiast Sherry.

Z jego oczami coś było nie tak. Patrzył na nią, ale jej nie widział. Zdawało się, że jej nie poznaje. Czerwień dominowała w tych dziwnych oczach. Tak jak czerń włosów na jego przedramionach. Podszedł do niej bosy, z uniesioną prawą ręką.

– Ej! Ej! – krzyknęła Sherry. – Jedną chwilę, do diabła!

Czyżby zamierzał ją *uderzyć*?

Doskoczyła do niego i obiema dłońmi chwyciła uniesiony nadgarstek.

– O co chodzi? – zawołała ponownie, prężąc się i trzymając go.

Warknął. Było to jedyny dźwięk, jaki z siebie wydał, kiedy szarpnął się gwałtownie w

bok i wyrwał się z jej uścisku. Wtedy jego lewe ramię uniosło się zamasyżycie. Przy całej tej niekontrolowanej sile, jego ruchy zdawały się powolne. Sherry zrobiła unik przed ciosem i krzyknęła do niego:

– Ward, błagam, powiedz mi, co ci jest? Nie *rób* tego! Posłuchaj... Posłuchaj...

On jednak złapał ją za oba ramiona i zaczął nią potrząsać. Pomyślała, że tym razem postradał zmysły. No cóż, to nijak nie było zabawne! Ward to nie pigmej. A ona jest tylko kobietą. Krzyczała więc możliwie najgłośniej. Żeby tylko ktoś przyszedł.

W reakcji na wywołany przez nią hałas Ward puścił ją, cofnął się i przyłożył dłonie do uszu. Jego szczęka poruszała się tak, jakby usiłował wykonywać nią kolisty ruch. Sherry pomyślała, że być może szykuje się do kolejnego ataku na nią. Mimo to odezwała się głosem tak spokojnym i kategorycznym, na jaki było ją stać:

– Usiądź, Ward. Usiądź sobie, odpręż się i *powiedz* mi.

Wtedy jednak przerażone dziecko wyrwało się z chwilowego odrętwienia. Mały chłopczyk zsunął się z taboretu i zeskoczył równo na obie, małe stopy.

– Mamusiu! – wrzasnął.

– Nie, kochanie – zawołała Sherry. Za późno. Dziecko biegło już ku jedynej ukojeniu, jakie znało. Nie udało mu się jednak pokonać odległości do spódnicy matki. Jego ojciec ruszył chwiejnie, zamasyżystym ruchem zgarnął chłopca tak, że dziecko aż runęło, a jego małe, drobne ciało odbiło się niczym piłka siatkowa. Uderzył cicho o kant kredensu, potem o podłogę i zastygł nieruchomo.

Sherry poczuła, jak całe jej wnętrze poraża jasność. Jej mózg i serce płonęły z wściekłości. Obróciła się i obiema rękami pochwyciła ciężką patelnię. Zwierzę warczało; zbliżało się teraz do niej. Z całej siły zamachnęła się swoim narzędziem obrony i z przeraźliwym trzaskiem uderzyła go w górę prawego ramienia. Zatoczył się, potknął, upadł – i leżał bez ruchu.

Sherry nie zatrzymała się, żeby rozmyślać nad swym zrujnowanym dotychczas życiem. Przykucając, podbiegła do dziecka i zorientowała się, że oddycha. Wiedziała, że nie powinna go dotykać ani zmieniać położenia jego kończyn, a jednocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że musi. Delikatnie, bardzo delikatnie wsunęła rękę pod spód, aby go chwycić i unieść. Miała młody i silny kręgosłup. Podniosła dziecko, a jej stopy ślizgały się po winylu niemalże w tanecznym kroku, kiedy sunęła do drzwi wejściowych. W połowie drogi jakimś sposobem udało jej się schylić i złapać lewą ręką pasek od torebki, która leżała gotowa na stoliku.

Otworzyła drzwi. Wymknęła się na zewnątrz ku porannemu światłu, ku oddalonej

ciszy obdrapanego, choć porządnego sąsiedztwa, gdzie ludzie szli do pracy i gdzie świat był przy zdrowych zmysłach. Powoli i ostrożnie zeszła trzema schodami w dół na wąską ścieżkę, starając się nie poruszać ani nie wstrząsać niesionym w ramionach drobnym ciałem. W oknie ujrzała głowę sąsiadki. W żywopłocie pomiędzy nimi nie było jednak dziury, więc Sherry poszła wzdłuż podjazdu. Tam akurat samochód sąsiada wyłonił się, stając na równoległe położonym podjeździe.

– Panie Ivy! Panie Ivy, czy można?

– Co się stało, pani Reynard? – Zatrzymał samochód.

– Czy może pan zatelefonować do szpitala? Albo nie, czy może pan mnie *podwieźć*? Johnny jest potłuczony. I czy może pan zadzwonić też na policję? Coś się stało Wardowi.

Kobieta stała już na frontowym ganku. – Co się stało? – zawołała przeraźliwie.

– Nie wiem – odparła Sherry. – Na razie jest nieprzytomny. Ale może wstać...

– Henry! – krzyknęła kobieta w narastającym przerażeniu.

Czterdziestodwuletni Henry Ivy wysiadł ociężale z samochodu.

– Ty ją zawieź, Mildred – odezwał się stanowczo. – A ja zadzwonię. Nie chcę, żebyś została tu sama. Spróbuj jechać do St. Anthony's. I *zostań* tam. Tak będzie bezpieczniej dla ciebie.

Sherry wcisnęła się na przednie siedzenie, podtrzymując drobne ciało niczym talerz zupy, którego nie wolno przechylić, nawet gdyby od podpierającego je postumentu, jakim było ciało Sherry, wymagało to jakiegoś niezwykłego wyczynu. Roztrzęsiona pani Ivy podeszła do auta od strony kierowcy.

– Och, co się stało? Słyszałam, jak pani tam krzyczy...

– Powiem pani, jak dojedziemy na miejsce – odpowiedziała cicho Sherry. – Niech pani jedzie. Proszę.

– Dobrze. – Kobieta opanowała swoje czterdziestoletnie nerwy i powtarzała sobie w myślach, że w szpitalu będzie bezpieczna.

A pan Ivy wszedł do swojego domu i zadzwonił na policję. Potem zakradł się cicho wzdłuż bocznej ściany sąsiedniego domu do tylnych drzwi. Chyłkiem zajrzał do środka, gdzie zobaczył nagi tors i długie, bezwładnie leżące nogi w pasiastych, bawełnianych spodniach. Ostrożnie otworzył drzwi, podszedł bliżej i ujrzał krew na ramieniu, tam, gdzie krawędź żelaznej patelni przecięła skórę.

Mężczyzna jednak nie był martwy i pan Ivy westchnął z ulgą. Bo któż chciałby być zamieszany w morderstwo?

Johnny miał złamaną lewą nogę i pękniętą czaszkę. Młodzi ludzie na szpitalnym oddziale nagłych wypadków byli opanowani, szybcy i nie okazywali emocji. Podobnie jak Sherry. Po zakończonym badaniu powiedzieli jej, że wkrótce zabiorą Johnny'ego na izbę. Nic mu nie będzie. Czy zechciałyby go zapisać? Musi udać się do rejestracji.

W trakcie udzielania odpowiedzi na zadawane jej tam pytania, kiedy grzebała na ślepo w torebce, szukając kompletu dowodów tożsamości, wśród których przechowywała książeczkę i numer ubezpieczenia, Sherry zaczęła gwałtownie dygotać.

Byli bardzo wyrozumiali. Ktoś przyniósł jej jakiś lek. Przekonywali, że to jej pomoże. Powiedzieli, że skonsultowali się z lekarzem. Sherry więc połknęła lek. Kiedy odpowiedziała już na wszystkie pytania, powiedziano jej, że w holu czekają na nią dwaj policjanci.

Mężczyźni byli w cywilu. Jeden z nich powiedział jej, tonem raczej surowym, że rozumie, dlaczego oddaliła się z miejsca tragedii, ale zaraz poprosił, żeby pani Reynard zechciała opowiedzieć im dokładnie, co tam zaszło.

– Nie wiem. – Głos jej drżał. Chociaż była kobietą sporej postury, poczuła się bardzo mała, bardzo krucha i drobna.

Chciało jej się krzyknąć: „Dajcie mi spokój, tylko na chwilkę, proszę. Dajcie mi spokój, żebym jakoś mogła się *pozbierać*. Muszę znaleźć grunt pod własnymi nogami. Nie widzicie?”

Ale nie krzyknęła. – Mój mąż wyszedł z sypialni, wyjąc, i rzucił się na mnie z zamiarem pobicia – powiedziała beznamiętnie i usiadła ciężko.

– A jaki miał powód? – spytał łagodnie jeden z mężczyzn, siadając tuż przy niej. Ten surowy wciąż stał.

– Nie wiem. Nie było żadnego powodu. – I choć przy tych słowach Sherry zaszczekała zębami, zastanawiała się, czy wyrażają one prawdę. W tym momencie zdawała się być możliwie najbliższej prawdy. (Och, błagam, zostawcie mnie w spokoju!)

– A co takiego powiedział, pani Reynard? – dociekał ten łagodny.

– Nie powiedział ani słowa. Wydawał tylko... odgłosy. – Sherry wykonała gest, który wypadł zbyt lekceważąco. Wyczuła to. Była naturalną blondynką, miała duże, piękne oczy. Nic nie mogła poradzić na powszechnie panujące wyobrażenie i przekonanie, że każda blondynka o wielkich oczach i dorodnych kształtach żyje na tym świecie dla zabawy, i to wyłącznie. Ale *ona* nie powinna robić lekceważących gestów. Wiedziała o tym, choć tak naprawdę nie miała pojęcia, dlaczego.

– Mówi pani, że rzucił się na panią z zamiarem pobicia? – Ten surowy nadal był surowy.

– Na pewno taki miał zamiar. – Rozdrażnione nerwy, które spowodowały, że poruszyła ręką tak gwałtownie, że wypadło to lekceważąco, wrażenie zbliżającego się krzyku i wycia powoli zaczynały ustępować pod wpływem owego leku, który właśnie jej podano. – Proszę spojrzeć – powiedziała spokojnie. Zsunęła suknię z jednego ramienia i pokazała im ślad bezlitosnych palców Warda.

– I co pani zrobiła, pani Reynard? – spytał chłodno ten surowy.

To prawda, ciało miała ładne, ale dlaczego jemu od razu wydaje się, że próbowała ich oczarować? Sherry zwalczyła poczucie niesprawiedliwości.

– Najpierw usiłowałam przekonać go, żeby usiadł i porozmawiał ze mną. – Ale nie pamiętała prawie nic. Nie chciała pamiętać. Kuchnia rozpływała się w oddali, we mgle. Powieki jej ciążyły.

– I wtedy uderzyła go pani ciężką, żelazną patelnią?

– Nie, nie. Wiecie, panowie, tam był Johnny – odpowiedziała. – Cała ta sytuacja przeraziła go. On ma tylko trzy i pół roku. Zaczął do mnie biec i właśnie wtedy Ward rzucił nim... po prostu rzucił nim przez całą kuchnię. – Jej głos brzmiał dziwnie w jej własnych uszach. Jak to możliwe?

– Czy mały bardzo się potłukł, proszę pani? – Łagodny miał współczujący ton.

Powtórzyła to, co powiedzieli lekarze, naśladując ich sposób mówienia. Ich oschła obojętność brzmiała w jej ustach nienaturalnie.

– I dopiero po tym, jak dziecko doznało obrażeń, uderzyła pani tego człowieka? – podsumował surowy.

– Oczywiście – rzekła zdumiona. Jednak chyba zdawała sobie sprawę z tego, że jej opowiadanie wymagało pewnego elementu, którego mu brakowało. Nie potrafiła sprecyzować, co to było. Silniejsze emocje?

Surowy zapytał, czy między nią a mężem były jakieś problemy małżeńskie. Być może często się kłócili?

– Nie, tego bym nie powiedziała – odparła sennie.

– A czym pani mąż zajmuje się zawodowo, pani Reynard?

– Jest pisarzem. To znaczy, bardzo chce nim zostać. Ale trzeba wiele czasu, żeby zacząć.

– W takim razie nie ma pracy?

– To jest jego praca – odrzekła cierpliwie. – Pracuje na własny rachunek. Można by chyba tak powiedzieć.

– A pani chodzi do pracy, tak?

– Tak. Zanim on zacznie sprzedawać swoje książki, ktoś... – Nie potrafiła dalej tego wyjaśnić. Język odmawiał jej posłuszeństwa. Czyżby nie rozumieli?

– I nie podobała się pani rola żywicielki rodziny, czy tak? – Powiedział surowy z nieoczekiwanym uśmiechem.

– Wcale nie. Wiele żon wysyła swoich mężów na studia – odparła Sherry, mechanicznie powtarzając to, co tak często mawiała. – Nie, wcale mi to nie przeszkadzało. Może tylko czasami... Tak mi się wydaje... – Mogła zasnąć tam, na siedząco. Kogo by to obchodziło?

– Pracuje pani jako barmanka? W... – Łagodny wymienił nazwę lokalu.

– Tak. – Sherry wyczuła jednak zmianę kierunku wiatru i uniosła głowę. Chyba nie pomyślała sobie tego, co zawsze twierdziła jej teściowa, że praca barmanki to służba czartowi. – Nie umiem obsługiwać biura – dodała smutno. – Nie chodziłam na kursy biznesu. Dlatego robię to, co umiem.

– To praca na nocnej zmianie? – odezwał się subtelny tonem łagodny.

– No tak, dlatego, że chciałam sama wychowywać dziecko. – Sherry ocknęła się. – Uważałam, że to ważne. I dlatego tam pracowałam. Mogę też pracować w sklepie. I sądzę, że teraz... – Przerwała, bo nie bardzo wiedziała, co będzie teraz.

– Odnoszę wrażenie – odezwał się surowy z odrobiną ludzkiej ciekawości, która wkradła się do jego tonu – że rodzice pani męża to, hm, zamożni ludzie?

– Tak.

– Ale jego ojciec nie dokłada się?

– Nie. O nie.

Nie zadali pytania na głos, ale dało się ono wyczuć. – Wiecie, panowie, Ward dawno temu postanowił żyć na własną rękę – powiedziała, odpowiadając na owo pytanie. – Staruszkom Warda nie spodobało się to. I, oczywiście, nigdy nie pochwalali tego, że ożenił się ze mną.

– Ale dlaczego, pani Reynard?

– Nie wiem – odparła Sherry. – Nie obchodziło mnie to. Byliśmy zakochani. – Jej głos brzmiał jednak monotonie i w całym tym przesłuchaniu coś było nie tak – coś, o czym, na przykład, zapomniała. Zorientowała się szybko. – A jak *czuje się* Ward? – spytała, za późno, o wiele za późno.

– Jego stan jest zadowalający – mruknął surowy.

Dla kogo? – zastanawiała się Sherry. Wydało jej się to zabawne. Zdała sobie sprawę, że być może nawet się uśmiecha. Miała zawadiacki uśmiech. W taki sposób wyginały jej się



usta.

– A gdzie on jest? – spytała, choć z niewystarczająco dużym zainteresowaniem. Czy też może zbyt pogodnym tonem. Bo tak naprawdę to, gdzie znajdował się Ward, nie miało już znaczenia, byleby tylko z dala od nich.

– Przypuszczam, że jego ojciec zabrał go do siebie. To znaczy, do domu rodziców.

– Rozumiem – odparła tępo. Rozumiała, o tak! Ci mężczyźni rozmawiali już z Edwardem Reynardem. Tego powinna była się domyślić. – Ale jak *on* się...

– Przypuszczam, że sąsiad zadzwonił do ojca – odparł łagodny, nie czekając na resztę jej pytania.

Sherry tylko przytaknęła.

– A więc mówi pani, że mąż wszedł do kuchni i zaatakował panią bez żadnego ostrzeżenia i bez żadnej przyczyny. – Głos surowego nie wyrokował o zajściu.

– Sądzę, że musiała być jakaś przyczyna – odrzekła, znużona. – Ale ja nie *wiem*, jaka.

– Jeśli to, co pani mówi, jest prawdą, to być może będzie pani miała uzasadnione podstawy...

– Do rozwodu? – spytała. – Wiem.

Obaj zareagowali mruganiem, które zasugerowało jej, że nie całkiem zrozumiała, o co im chodzi.

– Wnieście pani oskarżenie, pani Reynard? – spytał cierpliwie surowy. Niewykluczone, że będą chcieli wiedzieć, co zrobić z zeznaniami, które gromadzili.

Ale Sherry, wpatrując się w dal ponad ich głowami, odparła: – Nie mogę pozwolić, żeby Ward kiedykolwiek jeszcze zbliżył się do Johnny'ego. Nie mogę przecież, prawda? – Czy oni nie potrafili tego pojąć?

– A może da się to przedstawić tak, pani Reynard? – spytał łagodny spokojnym tonem.

– Dziecko znalazło się pomiędzy panią a pani mężem, kiedy obydwójce szamotaliście się ze sobą. A jego obrażenia były rezultatem jakiegoś wypadku?

– Da się to tak przedstawić – odrzekła powoli, wiedząc, kto podsunął im tę wersję – ale wtedy to by się nie zgadzało.

– Jak to, proszę pani?

– No bo jak on mógł tak rzucić *Johnny'ego*? Jak on mógł to zrobić? Johnny nie robił nic złego. Johnny potrzebował tylko kogoś, kto by go uspokoił. Jak to możliwe, że Ward o tym nie wiedział? – W wypowiedzianych przez nią słowach powinno być więcej emocji. Sherry ucieszyła się, kiedy popłynęły jej zaraz łzy, i pomyślała, z pewną szczególną obojętnością: no, najwyższy czas.

– Czy dziecko przestraszyło się przemocy?

– Przypuszczam, że hałasu. Widzicie, panowie, to *ja* krzyczałam. *To ja* byłam przerażona, jeśli chcecie wiedzieć. – Przetarła dłonią twarz. – Jediną rzeczą, jaka przychodzi mi na myśl, jest to, że Ward postradał zmysły. Wyglądał tak, jakby mnie nie poznawał. Johnny’ego też nie. Jakby nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że Johnny to jeszcze małe dziecko. Najwyraźniej Ward nie był przy zdrowych zmysłach, i już. – Nie mogła mówić dalej. Nie było sensu mówić dalej.

– Tymczasowa niepoczytalność – powiedział surowy z lekkim niesmakiem.

– A co mówi Ward? – spytała pod nosem.

– Nie mieliśmy jeszcze okazji porozmawiać z nim – odparł łagodny przeproszającym tonem.

– Już nieważne – mruknęła.

Przez chwilę wpatrywali się w nią w milczeniu, po czym dali sobie nawzajem jakiś znak i zostawili ją.

Wówczas pani Ivy, poruszona, podeszła bliżej. Niewątpliwie usłyszała sporą część przesłuchania. Ponadto dowiedziała się już, jak czuje się Johnny. Usiadła więc i gawędziarskim tonem opowiedziała Sherry, że właśnie telefonowała do domu, do pana Ivy. W sąsiedztwie znów jest spokojnie. Przyjechała policja. (O tym, rzecz jasna, Sherry już wiedziała). Przyjechała też karetka, ale Wardowi Reynardowi nic poważnego się nie stało lub przynajmniej tak sądzili. Przyjechał ojciec pana Reynarda i właściwie wziął sprawy w swoje ręce. Bo wie pani, pan Ivy powiedział, że kiedy Ward Reynard trochę już oprzytomniał, dopytywał się o swoją mamusię. Ale teraz wszystko jest już pod kontrolą. Pan Ivy właśnie tu jedzie i państwo Ivy z chęcią odwiozą nieszczęsną panią Reynard z powrotem do jej domu.

– Nie mogę jechać – powiedziała Sherry. – Aha, i chcę podziękować wam obojgu za wszystko. Ale nie mogę stąd wyjechać. Muszę tu być, kiedy Johnny się obudzi i będzie mnie potrzebował. Muszę tu być i postarać się pomóc mu się pozbierać, jeśli w ogóle dam radę... – Zgięła się wpół. Coś jest ze mną nie tak – myślała.

Pani Ivy skubała wargi. Czuła się podenerwowana. Zachowała się już na tyle bohatercko, na ile było ją stać w ciągu tego dnia lub nawet w całym życiu. Nie starczy jej sił, aby zbyt głęboko angażować się w życie tych młodych sąsiadów. W końcu, jakby nie patrzeć, to przecież tylko sąsiedzi.

– Czy zna pani jakiegoś adwokata? – spytała nagle Sherry. – Takiego od spraw rozwodowych?

– Och, czy naprawdę sądzi pani – odparła sąsiadka w przekonaniu, że sprawy powinny

zwolnić bieg – że to właściwy moment na podejmowanie poważnych decyzji, kiedy jest pani taka przygnębiona i w ogóle?

Jakich decyzji? – pomyślała Sherry.

Wsluchiwała się we własną krew, w jej krążenie. Pomyślała: nie, nie jestem *aż tak* przygnębiona. Cokolwiek mi podali, spowodowało, że wszystko wydaje się bez znaczenia. Zmieniło mnie. Podniosła wzrok na sąsiadkę i pomyślała: może i ma rację. Nie powinnam nic mówić. Nie powinnam nic działać. Aż do chwili, gdy całkiem dojdę do siebie... kimkolwiek jestem – cokolwiek to jest.

– Chciałabym państwu podziękować – wymamrotała.

– Tak strasznie mi przykro z powodu pani kłopotów – dodała pani Ivy. (A ja już zrobiłam swoje, prawda? – sugerował jej ton). – Nic nigdy nie wskazywało na to, że ten młody człowiek taki jest.

Bo nie jest – pomyślała Sherry. I nie był. Coś wytrąciło go z równowagi, coś potężnego, co zdołało go przemienić. Tak właśnie sędzę, ale nie mogę tego udowodnić. Choć jakie znaczenie mają dowody? Obawiałam się, że to się stanie, i stało się, więc komu pozostaje wierzyć, że nie stanie się już nigdy więcej? Nie ma więc o czym decydować.

Pamiętam, kiedy o tym zadecydowano. Tamtego ranka, kiedy byłam jeszcze sobą. Och, Ward, przepadło, szlag trafił wszystko. I nic na to nie poradzę. Nie mogę ci pomóc. Nie potrafię ci wybaczyć. Może i mogłabym, ale nie mam prawa ryzykować, skoro jest Johnny. A więc żegnaj.

## Rozdział 2

Postaraj się już nie płakać, Emily, dobrze? Proszę cię. – Mężczyzna przemawiał łagodnie. W ogromnym domu panowała cisza.

Edward Reynard i jego żona Emily stali w holu na piętrze, skąd przez na wpół uchylone drzwi zaciemnionej sypialni widzieli długą sylwetkę ich dorosłego syna-jedynaka, leżącego spokojnie we własnym łóżku.

– Wiesz przecież, że nic mu nie jest. O, to był paskudny cios. Będzie mocno zesztywniały i obolały przez jakiś czas. Ale nic mu nie jest. A poza tym jest w domu. – Edward Reynard przeszedł kilkoma niespokojnymi krokami po ciemnoniebieskim dywanie. – Zostanę do czasu, aż przyjdzie pielęgniarz – oświadczył, choć rozpiełała go energia.

Był niskim mężczyzną, o głowę niższym od syna, i miał mocno wyprostowane plecy, jak to zazwyczaj bywa u niskich mężczyzn, którzy stojąc, starają się wyglądać na wyższych. Był to człowiek bardzo szary; gustował w szarych ubraniach. Miał siwe włosy i niemalże bezbarwną twarz. Tylko jego oczy były jasnobrązowe.

Jego żona Emily, kobieta szczupła w biodrach, ale z dużym biustem, powlokła się za nim na swych drobnych stopach. – Przecież mogła go zabić – jęknęła.

– Zwykła przemoc. – Wargi jej męża wykrzywiły się. – Może *ona* wywodzi się z kręgów, gdzie takie rzeczy są normalne.

– I nawet dziecko ucierpiało! – Emily znów się rozplakała.

– Jego lekarz mówi, że Johnowi nic nie będzie. Tym razem – dodał ponuro.

– Och, Edwardzie, co możemy zrobić?

– Ciii. – Mężczyzna odsunął się dalej od otwartych drzwi. – Dużo – powiedział. – Dużo. Już czas, żebyśmy się wtrącili i po prostu zrobili to, co powinniśmy byli zrobić już dawno temu.

– Nie mogę tego pojąć – jęczała Emily. – Nie mogę pojąć, jak to się stało.

– Klócili się – odparł. – I faktycznie doszło między nimi do rękoczynów, szarpali się jak zwierzęta. A człowiek jest w stanie znieść bardzo wiele. Co ją obchodziło, że w pokoju jest dziecko?

– Biedny maluch! Bezbronne dziecko! Co za okropieństwo!

– O tak, to prawda – odrzekł jej mąż. Spojrzenie jego jasnych oczu skupiło się na niej.

– I nasz Ward przeżył wielki szok. Sama rozumiesz, prawda?

– Och, na pewno serce mu pęka – dodała matka Warda, pociągając nosem.

– Przynajmniej jest już po wszystkim – uciął Reynard.

– Tym razem Ward musi się zgodzić.

– Zgodzi się, możesz być spokojna. Trzeba się jej pozbyć. Najzwyczajniej się pozbyć. Mówiłem mu już dawno temu, że lepiej będzie, jeśli w porę się wycofa.

– A co z małym Johnem? – spytała pani Reynard. Miała łagodne, niebieskie oczy, które teraz przyglądały mu się bojaźliwie znad chusteczki.

– Johnem się zajmiemy. Dopilnuję tego. – Kiedy tak stał, przekonany o swym słusznym postanowieniu, zdawało się, że ma prawie trzy metry wzrostu. – Pójdę na dół, zadzwonić do Murchisona.

Murchison był adwokatem. W holu na piętrze nie mieli telefonu.

– Edwardzie, czy to wszystko będzie musiało wyjść na jaw? – spytała drżącym głosem, wyciągając do niego rękę. – To wydaje się tak niesamowicie ohydne. Nie mogę po

prostu... – Ponownie uderzyła w głośny płacz. – Nie zostawiaj mnie jeszcze.

– Ciii. Ciii. Dobrze, Emily. – Objął ją ręką za ramiona, a ona zareagowała energicznym otarciem łez i usiłowała unieść głowę.

Stali więc tam, w holu, na piętrze wielkiego, cichego domu, przy otwartych drzwiach pokoju, gdzie spokojnie leżał ich dorosły syn, i nie zastanawiali się w duchu ani też nie pytali siebie nawzajem na głos, dlaczego właściwie kobieta nie chciała zostać tam sama.

W południe Sherry opadła na krzesło przy łóżku Johnny'ego. Odzyskał już przytomność i pojękiwał żałośnie, niewiele pamiętając (za co dziękowała Bogu), jednak mimo wszystko wiedział, że stało się z nim coś bardzo strasznego. Sherry tryskała dobrym samopoczuciem i optymizmem. Powiedziała mu, że tatuś jest bardzo chory i że to przykre, ale jest pod opieką lekarzy. Gdzie indziej. Za to mamusia jest tutaj i lekarze też na pewno opiekują się Johnnym, prawda? Wystarczy spojrzeć, cały jest owiązany jak wiszący kokon. Nie pozwoliliby na to, żeby go bardzo bolało. Nie teraz. Wszędzie są pielęgniarki, a one też nie pozwoliłyby na to. Widzisz te panie ubrane na biało? Wszystkie pilnują, żeby nikomu nie stała się krzywda i żeby dzieciom było lepiej. Widzisz te wszystkie dzieci w innych łóżkach?

Johnny zdawał się wyciszony i uspokojony, ale Sherry wiedziała, że w tak krótkim czasie nie mogła osiągnąć jeszcze tak trwałego efektu. Być może udało jej się coś na dobry początek, ale czekała ją jeszcze długa droga.

Kiedy już przysnął, poczuła, że sama jest wykończona. Szpital był wyrozumiały wobec matek. Johnny leżał na oddziale, ale Sherry pozwolono zostać przez cały ranek. Jednak mimo to nie mogła przebywać tam przez całą dobę. Nie wiedziała, co ze sobą począć. Za chwilę jej umysł znów zacznie funkcjonować i coś wymyśli. Wśród zmęczenia pojawiły się nagle drobne, gwałtowne przebłyski podenerwowania, ale nie będzie krzyczeć ani jęczeć. To już minęło. Środek uspokajający powoli przestawał działać, lecz wciąż była w stanie odczuwać wdzięczność za to, że kojący wpływ leku trwał tak długo.

Usłyszała, jak ktoś nadchodzi, odwróciła głowę, zobaczyła, kto szedł w jej kierunku, i poczuła nagły przyptyw nagromadzonej energii. Edward Reynard nie miał jej nic do powiedzenia ani nie posłał jej nawet powitalnego gestu. Podszedł na tyle blisko, żeby popatrzeć na twarz śpiącego dziecka. Dopiero wtedy gwałtownie kiwnął głową i wykonał gest nakazujący wyjść Sherry za nim na zewnątrz.

Zostawiła swój fartuch na poręczy krzesła. Razem z nim zostawiła przeszłość. Bardzo dobrze. Cały świat wyglądał teraz inaczej. Najlepiej będzie, jeśli stanie twarzą w twarz z

Edwardem. Był jej wrogiem, od zawsze, choć nigdy nie mogła pojąć, dlaczego. Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej. Nie musiała już próbować zadowolić go ani w żaden sposób zaprzętać sobie głowy tym, że trzeba starać się żyć z nim w zgodzie. Dzięki temu odczuła ulgę tak ogromną, że była to niemalże radość.

W korytarzu odezwał się: – Rozmawiałem z lekarzem Johna.

Nic nie odpowiedziała. A więc nie chodziło mu o informacje.

Edward Reynard zbyt długimi jak na swój wzrost krokami przemierzał odległość do małej poczekalni na końcu korytarza. Sherry poszła za nim w swoim tempie. Nie będzie się śpieszyć. Zmuszony do czekania Reynard uznał to za bezczelność i spojrzał jej prosto w twarz pełnymi wściekłości oczyma.

– Każę go przenieść do osobnej sali – oznajmił.

– O nie, nie zrobisz tego – odrzekła natychmiast. – On musi być wśród ludzi.

– Będzie miał pielęgniarki przez całą dobę – odparł pogardliwie.

– Co to, to nie. To kosztuje i wcale nie jest konieczne. Lepiej mu tam, z innymi dziećmi.

– Ja pokrywam koszty.

– O nie, nie ma mowy – rzuciła, kierując się instynktem. – Płacę na ubezpieczenie.

Sama zajmę się moim synem.

– Synem Warda – dopowiedział szorstko. – Ale z tym małżeństwem już koniec.

– Tak, to prawda – rzekła Sherry. – Jak tylko spotkam się z moim adwokatem...

– No to pogadamy z adwokatami – odparł gniewnie. – Skoro jedyne, na co cię stać, to agresywna bójka w obecności małego dziecka...

– Wierz mi – oświadczyła stanowczo Sherry – Ward już nigdy nie zbliży się do Johnny'ego na tyle, żeby go zranić. Albo żeby zaatakować mnie.

– Kłamiesz – odrzekł. – A kto zaatakował Warda? Kto *jego* zranił?

– Oczywiście ja – odpowiedziała niemalże radośnie. Pomyślała sobie, że szkoda jej tracić resztek energii, by usiłować zmienić przekonania, jakie miał w głowie.

– A ponieważ wątpię, czy Ward zechce ujawnić taki sposób postępowania kobiety, z pozoru kochającej żony i matki – powiedział uszczypliwie Reynard – dalsze trwanie w tym małżeństwie nie wchodzi w grę.

– Zgadza się. – Przyglądała się jego twarzy jakby z czystą ciekawością. Nigdy go nie rozumiała, a teraz nawet nie musiała się wysilać; tylko dlaczego każde jej słowo odbierał jako przejaw pewnego rodzaju bezczelności? A może to *faktycznie* bezczelność – pomyślała i uśmiechnęła się.

– A skoro pytasz – warknął, rozwścieczony tym uśmiechem – Ward jest w domu, gdzie ma właściwą opiekę. Przyjechałem cię ostrzec, że on już nigdy nie wróci do waszego domu. I poinformuję też waszego najemcę, że Ward nie jest już zobowiązany do płacenia czynszu.

Sherry zaśmiała się. Nie mogła się powstrzymać.

Spostrzegła, że miał wielką ochotę unieść rękę i uderzyć ją. Zauważyła też, z jaką siłą się opanował. Pomyślała sobie: nie powinnam była się śmiać. Nie, nie powinnam była się śmiać.

Poważnym tonem odezwała się: – Przypuszczam, że adwokat zajmie się ugodą co do podziału majątku. Połowa wartości samochodu. Połowa wartości mebli. – Potrząsnęła smutno głową, a jej usta wykrzywiły się.

– Proszę bardzo, możesz sobie wziąć to wszystko – odburknął. – Możesz dostać ugodę podziału finansowego, jeśli tego chcesz.

– Zabiorę tylko to, co należy do mnie zgodnie z prawem – odparła i zauważyła, że i ta wypowiedź została potraktowana jako bezczelność.

– Rzecz jasna, Emily i ja zajmiemy się przyzwoitym utrzymaniem naszego wnuka – oświadczył pompatycznie.

– O nie – odrzekła, przeciągając słowa.

– Chyba nie wyobrażasz sobie, że *ciebie* na to stać?

– A dlaczego nie? – krzyknęła w nagłym porywie złości. – Skoro przez dość długi czas utrzymywałam i dziecko, i męża, a przy tym to do mnie należało robienie zakupów i płacenie czynszu.

– Sama tego chciałaś, prawda? – zauważył chłodno. Wykrzywił pogardliwie wargi. – Nadal będziesz barmanką, czy też zamierzasz wrócić do tańca erotycznego?

Sherry nie odpowiedziała. W porywie gniewu żal jej było tego mężczyzny z powodu jego nieświadomości. Nie wiedział chyba, że w show biznesie pracowała tylko do czasu, kiedy przekonała się, że nie robi tam kariery. Nie wiedział chyba, że nie tylko brakowało jej wtedy doświadczenia, ale w wieku dwudziestu sześciu lat była już niemłoda, a poza tym trochę nie w formie. Nie miał nawet pojęcia, że bycie tym, kogo określał mianem „tancerki erotycznej”, wcale nie było łatwe. Sądził, że to pewien rodzaj zmysłowej przyjemności. Ha, ale nie dla *moich* zmysłów – pomyślała obrażona.

Mówił coś o tym, że „dla dziecka to żadne życie”.

– Jak tylko Johnny wyzdrowieje – przerwała, podejmując w myślach decyzję w momencie mówienia – możliwie najszybciej zabiorę go z powrotem do wschodnich Stanów,

skąd pochodzi moja rodzina.

– O nie – powiedział i tym razem to on przeciągał słowa. – Bardzo wątpię, czy uda ci się to zrobić. Nie masz prawa. Zrobiłaś wszystko, na co cię stać, żeby zniszczyć mojego syna. Ale jego syna nie zniszczysz.

Twarz mu pobladła. Zerwał się gwałtownie i pośpiesznie wyszedł.

Nie, chyba nie powinnam była się śmiać – pomyślała znów Sherry.

Zeszła prosto do głównego holu, żeby porozmawiać w recepcji. Pod żadnym pozorem Edwardowi Reynardowi nie wolno absolutnie nic zmieniać, jeśli chodzi o warunki czy koszty opieki nad Johnem Edwardem Reynardem w tym szpitalu. Powiedziała, że nie ma on do tego prawa.

Potem usiadła w kącie, żeby uporządkować swoje sprawy. Usiłowała nie bać się. Najlepiej będzie, jak zadzwoni do adwokata, którego nazwisko podała jej pani Ivy.

Nikogo spośród znajomych Warda nie prosiłaby o radę co do odpowiedniego adwokata. Po pierwsze, nie byli to ludzie, którzy mogliby znać jakiegoś szanowanego adwokata. Po drugie, oni nigdy nie byli jej znajomymi. Ward nie lubił, kiedy wokoło kręcili się jej potencjalni znajomi. A to dlatego, że sam czuł się jak paw. To on musiał stanowić główną atrakcję. Sherry z kolei była naprawdę zbyt zapracowana, żeby okazywać swój wyraźny sprzeciw. Albo przynajmniej nie robiła z tego powodu żadnych wielkich awantur, odkąd przeprowadzili się na zachód. Jej znajomymi w tej okolicy byli ludzie z pracy, z którymi rzadko kiedy widywała się w innych okolicznościach. Powiedzmy sobie szczerze: w tej części kraju nie miała wyłącznie swoich znajomych.

A więc: zadzwonić, umówić się i pójść na spotkanie z adwokatem – zaplanowała. Ale nie dziś po południu. Była zbyt zmęczona, zbyt wykończona, a poza tym nie wolno jej oddalać się od Johnny'ego, nie dziś.

W takim razie *ona* też nie mogła zostać w tym domu. (A więc mięso się zepsuje, a mleko skwaśnieje. Zmięta pościel stęchnie. Sherry już nigdy nie położy się w tamtym łóżku.) W porządku. (Bramy zatrzasnęły się ze szczękiem.) Fakt faktem, dom jest za daleko. Nie miała samochodu. Ani nie będzie go miała, bo stary wóz jest akurat w warsztacie, w naprawie, i uświadomiła sobie, że nie odważy się zapłacić za to. Faktycznie nie miała zbyt dużo pieniędzy, ani w kieszeni, ani w perspektywie.

Otworzyła portmonetkę. Miała trochę gotówki, do tego napiwki z zeszłej nocy. Mnóstwo srebrnych monet, sporo jednodolarowych banknotów. Przeliczyła. Sześćdziesiąt siedem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. No, nieźle!

Miała też książeczkę bankową na ich wspólny rachunek oszczędnościowy.



Dziewięćset dwadzieścia siedem dolarów i piętnaście centów. Nie była jednak pewna, czy może je legalnie wypłacać. Musi zapytać prawnika. Miała przeczucie, że lepiej jest nie robić żadnych, nawet najmniejszych ruchów, które nie byłyby – w sensie prawnym – całkowicie dozwolone.

Prawdopodobnie nie może jeszcze sprzedać mebli. Połowa wartości mebli i tak nie przyniesie jej majątku. I jak tu zostać w tej samej pracy? Bar znajdował się sporo dalej. Czy starczyłoby jej czasu na dojazdy autobusem aż tak daleko, nie mówiąc już o wytrwałości?

Aż tak daleko? Skąd? Stąd? Nie może przecież *mieszkać* w szpitalnym holu całymi tygodniami, kiedy Johnny będzie tu przebywał. No więc najpierw... O tak.

Wstała i podeszła do punktu informacji. – Czy zna pani – spytała siedzącą tam kobietę – jakieś miejsce w okolicy, gdzie mogłabym wynająć pokój? Jednoosobowy pokój, dla siebie. Byle nie za drogo.

– No, nie wiem... – Kobieta spojrzała na nią ostro.

– Widzi pani – mówiła Sherry, chwiejąc się – ja nie mogę jechać do domu. Potrzebny mi pokój. Miałam trochę zły dzień. Ja chcę tylko...

– Tak, dobrze... Może pani chwilkę zaczekać? Właśnie przyszło mi na myśl... – Kobieta podniosła słuchawkę.

Sherry zakręciło się w głowie. Chwyliła się krawędzi biurka, żeby nie upaść ani nie zemdleć. Spuściła głowę. No tak, sytuacja była trochę trudna. Ale przecież będzie lepiej. Na pewno – pomyślała – gorzej już być nie może.

Kiedy była już bliska upadku, jakiś młody mężczyzna w białym fartuchu złapał ją jedną ręką. – Proszę się trzymać. Proszę się trzymać. Już dobrze, proszę pani? Co się tu dzieje, Myra?

– Mówi, że chce wynająć pokój w pobliżu – odparła kobieta zza biurka. – Dlatego pomyślałam o panu, panie doktorze.

– Wydaje mi się – powiedział lekarz – że ona koniecznie musi się gdzieś położyć. Prawda, proszę pani?

– Ale nie mam gdzie – odparła Sherry. – I przede wszystkim o to chodzi. *Gdziekolwiek*, byle nie za daleko. I nie za drogo.

– Dobrze. Dobrze – odparł uprzejmie mężczyzna. – Rozumiem panią.

Sherry mimowolnie oparła się o niego.

– Znam takie miejsce – mówił dalej pogodnym tonem. – To dom tylko z pokojami do wynajęcia, ale pani jest wszystko jedno, prawda? Jestem pewien, że u pani Peabody znajdzie się coś wolnego.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie to jest.

– Zaraz po drugiej stronie ulicy.

– Och, niech mi pan pokaże! Niech mi pan wyjaśni, jak tam dojść.

– Na pewno? To wiekowa już rudera. Ale z tego, co wiem, wygodna.

– Miałam nadzieję, że pan będzie wiedział, doktorze – odezwała się kobieta za biurkiem, rozpromieniona na myśl o tym, że wykazała się bystrością. – Dobrze pamiętałam...

– Niech pani posłucha – odezwał się młody mężczyzna. – Zaprowadzę panią tam, panno, hm...

– Pani Reynard – odpowiedziała mu kobieta.

– A tak przy okazji, jestem doktor Bianchi, praktykant. Sam tam wynajmuję i proszę mi wierzyć, jest tanio. I wygodnie. To co, idziemy? Zobaczmy, co da się zrobić.

Jego silne ramię poprowadziło Sherry w kierunku drzwi wyjściowych. Oparła się na nim.

– Ja sam, oczywiście, wylądowałem na piętrze – mówił wesoło. – Właścicielka ma trochę przestarzałe poglądy. Mężczyźni na górze. Kobiety na parterze. Kompletnie odrealnione, co? No, chodźmy już. Lewa nóżka. Prawa... Grzeczna z pani dziewczynka.

Wydawał się miły – młody, pewny siebie, arogancki, ale miły. W tym momencie Sherry uwielbiała go.

Przeprowadził ją przez ulicę, nie wykraczając poza białe linie namalowane dla pieszych. Następnie skręcili, przeszli kilka metrów w prawo i doszli do domu o starej architekturze, zszarzałego od obojętności, który stał pośród wiekowych, zaniedbanych zarośli.

W salonie było wielkie okno wykuszowe; wychodziło łukiem od frontu budynku. Wewnątrz, w jego wygięciu mieścił się okrągły stół, a przy tym stole, w trzech starych, obitych aksamitem fotelach, siedziały trzy damy, które zamieszkiwały ten dom już od wielu, wielu lat, i które miały zwyczaj obserwować z tego punktu toczące się wokół życie.

## Rozdział 3

To się nieczęsto zdarza, sam pan rozumie – powiedział Sam Murchison, rozsiadając się na krześle i kołysząc się na nim zamaszystym ruchem. – Płyniemy pod prąd. Ile lat ma dziecko?

– John ma trzy lata, ale niedługo je skończy.

– W takim razie nie zapytaj go o zdanie. W przypadku dzieci poniżej dwunastego

roku życia normalną rzeczą jest to, że opiekę przyznaje się matce.

– A co ja takiego powiedziałem, że sądzi pan, że to normalna rzecz? – wrzasnął klient.

– Chcę tylko wiedzieć jedno: co w świetle prawa kwalifikuje się jako niezdolność do pełnienia obowiązków rodzicielskich?

– Niezdolność do pełnienia obowiązków macierzyńskich, pyta pan? To najprawdopodobniej zależy od opinii jakiegoś sędziego. No i powiem panu, że musi to być coś bardzo drastycznego. I trzeba to dość jasno wykazać.

– Na przykład?

– Na przykład, niepoczytalność. I proszę pamiętać, że podejrzenie niepoczytalności tu nie wystarczy.

– I co jeszcze?

– Przypuszczam, że przestępczość. Karalność. Albo uzależnienie. Zaawansowany alkoholizm? Możliwe. Nieuleczalna choroba, poważne kalectwo fizyczne...

– Niemoralność? – rzucił Reynard. – Rozwiążność seksualna?

– To zależy. Chyba tak, to nawet dość szokujące. A przy tym na czasie. Bo przeważnie to się wybacza. – Murchison lekko się obrócił. – To zależy, oczywiście, od tego, w jakim stopniu sędzia ma wyrobioną opinię. – Prawnik był spokojny i nieco rozbawiony.

– A wulgarność? Nieokrzesianie? – Edward Reynard wysunął swoją pobladłą szczękę.

– Nie-e.

– Niezdolność utrzymania dziecka w przyzwoitych warunkach?

– Z tym nie ma się co łudzić – odparł szybko prawnik. – Sędzia może sobie pomyśleć, że skoro Edwardowi Reynardowi naprawdę zależy na tym, żeby łożyć na dziecko, to dlaczego Edward Reynard po prostu nie da pieniędzy? W imieniu pańskiego syna, oczywiście. Bo w gruncie rzeczy to pański syn ma obowiązek utrzymywać dziecko.

– Ale *on* nie ma pieniędzy.

– Więc może okaże się, że będzie musiał kombinować... – zaczął prawnik. Wtedy wyczytał coś z wyrazu twarzy swego klienta i dodał: – Na nic się panu nie przydam, jeśli nie ostrzegę pana, z czym pan ma do czynienia. Zależy panu na tym rozwodzie? Nie chce pan, żeby to żona wychowywała dziecko? A pańskiemu synowi chodzi o to samo, prawda?

– Oczywiście, że tak.

– Ale *on*, hm, nie przyszedł tu z panem dziś po południu?

– Tak się składa, że akurat leży w łóżku z powodu obrażeń fizycznych, jakie zadała mu ta kobieta. Dlaczego to nie może samo w sobie zostać wykorzystane jako argument wykazujący jej niezdolność rodzicielską?

Prawnik podrapał się w nos. – Czy pański syn jest wymoczkim? A czy ona to amazonka? Czy nie było *żadnej* prowokacji? Żadnych świadków, którzy by przysięgli, że na pewno nie zaszła obawa przed krzywdą cielesną? A tak przy okazji, czy ona jest ładna? Przykro mi, ale muszę to powiedzieć. Bo taki argument wydaje mi się próbą przedstawienia dość absurdalnej sceny.

– Ale dziecko zostało skrzywdzone podczas bijatyki – zauważył Reynard ponurym głosem.

– No, no – odpowiedział Murchison. – A do tanga trzeba dwojga. – Bawił się obsadką pióra. – Przemoc wobec dziecka, przemoc wobec żony – czy też, w zaistniałej sytuacji, męża – to bezprawne czyny. Ale prawu trzeba je przedłożyć. – Popatrzył w górę.

Reynard nie zwracał uwagi. – A jeśli przyniosłbym panu dowody? – burknął.

– Dowody czego?

– Prawdy – odparł Reynard zaciekle. – Musi być jakaś sprawiedliwość. Nie wolno jej niszczyć najpiękniejszych lat życia mojego syna, a potem odejść z jego dzieckiem. Mówię panu, syn jest kłębkim nerwów.

Murchison, który zauważył ton głosu, nagłą zmianę koloru twarzy i ogniki w oczach, poczuł się zaskoczony. Z Reynardem miał do czynienia już od dawna; uznawał go za bezkompromisowego, twardogłowego człowieka, który przedzierał się przez ten świat bez szczególnego zrozumienia dla ludzkich uczuć i nawet nie zdawał sobie sprawy z własnej bezwzględności.

Teraz jednak prawnikowi zdawało się, że dostrzega przejawy żarliwości. Oczy miał rozognione, głos wydobywał się ze ściśniętego emocjami gardła. Emocje te sprowadzały się do niemalże oszalamiającej furii.

– Nie przytaczałbym emocjonalnych zaburzeń pańskiego syna jako argumentu – poradził subtelnie prawnik.

– Chce pan powiedzieć, że wszystko przemawia na korzyść tej kobiety? Że ja *nie jestem w stanie* nic zyskać?

(Ty, no jasne! – pomyślał Murchison. Tak sądziłem. Tylko co ci winna ta biedna dziewczyna?)

– Mówiłem już, że to się nieczęsto zdarza – powiedział do klienta. – To znaczy, jeżeli to *faktycznie* jest konflikt. A w przypadku, jeśli ona tak naprawdę nie chce dziecka – bo jej przeszkadza, rozumie pan, bo nie lubi być odpowiedzialna czy też związała się z innym mężczyzną, chce ponownie wyjść za mąż bez przeszkód i jest skłonna wystąpić przed sędzią, przedstawić siebie jako niekochającą matkę i ponarzekać na uciążliwość całej tej sytuacji –

wówczas sprawy mogą ułożyć się inaczej.

– Czyli może dobrowolnie oddać dziecko?

– Nie. Nie. Decyzję podejmie sędzia. Ale taka postawa mogłaby na niego wpłynąć, nie rozumie pan?

– Rozumiem. A czy wolno jej wywieźć dziecko do innego stanu? – dociekał Reynard.

(O! – pomyślał prawnik. Więc jednak zależy jej na dziecku.)

– Jeśli przyznają jej opiekę, to wtedy tak – powiedział. – Mogłaby, rzecz jasna, złamać prawo i po prostu wyjechać, w każdej chwili. Na przejściach granicznych nie ma przecież drutów kolczastych.

– I jeśli *to* zrobi... – Reynard przerwał, a wyraz jego twarzy odzwierciedlał groźbę paskudnego odwetu.

– Decyzję o opiece – mówił prawnik – przyznaje się zazwyczaj w trakcie rozprawy wstępnej. Oczywiście, jeśli strony walczą o prawo do opieki, spór może toczyć się bez końca – ostrzegł. – A to długi, przykry i śmiertelnie uciążliwy proces.

– Rozumiem. Więc kiedy jest to przesłuchanie stron?

– Cóż mogę powiedzieć? – Prawnik wzruszył ramionami. – Już niedługo.

– Ale przyzna pan, że lepiej byłoby, gdyby przed tym przesłuchaniem uniemożliwiono jej wywiezienie dziecka poza granice stanu?

– Uniemożliwiono? – powtórzył Murchison.

– No, ja nie wyobrażam sobie, żeby wozila go po całym kraju – odparł z goryczą Reynard – zanim nie wydobrzeje. Ona na pewno nie ma pieniędzy na to, żeby wynająć karetkę powietrzną i tym podobne... A co z ich majątkiem?

– Do ugody dojdą już między sobą – odrzekł Murchison, przyglądając mu się uważnie.

– Nie chcę, żeby się spotykali. Ona wynajmie adwokata. Czy nie może pan...

– obrońcy mogą to omówić. Jakie jest stanowisko pańskiego syna wobec majątku?

Ale Reynard zadawał już kolejne pytanie: – Czy ona może wziąć w posiadanie jakąkolwiek dostępną gotówkę?

– Może, jak tylko strony dojdą do porozumienia.

– W takim razie porozumienia nie będzie...

– Jedną chwileczkę, panie Reynard. – Prawnik wyprostował się.

– Mój syn jest stroną poszkodowaną. Jakikolwiek majątek posiadają, on zażąda go w całości. – Reynard odchylił się na krześle.

– I nie dostanie go – odparł prawnik ostrym tonem.

– Przypuszczam, że to sędzia o tym zadecyduje?

Prawnik wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym odezwał się: – To pański pomysł, żeby uniemożliwić jej wywiezienie dziecka? A czy nie jest pan czasem zanadto podejrzliwy? Istnieje ryzyko, że w zaistniałych okolicznościach sędziego to zirytuje, proszę mi wierzyć. Niech pan tego nie robi, panie Reynard. Dlaczego pan aż tak się boi, że ona będzie próbowała uciec razem z małym?

– Bo sama mi powiedziała – warknął Reynard.

– Jest pan pewien? Czy aby dobrze ją pan zrozumiał?

– Rozumiem jedno – odrzekł Reynard. – Im szybciej cała sprawa zostanie rozstrzygnięta prawnie, a Emily i ja będziemy mogli zapewnić dziecku właściwą opiekę, tym lepiej. Nie chcę zwlekać. Nie chcę żadnych długich, przygnębiających procesów. Nie chciałbym też z przymusu wysyłać ludzi, żeby ją ścigali. Zamierzam zastanowić się nad dobrymi dowodami...

Murchison odpowiedział mu stanowczo: – Coś panu doradzę. Proszę nie szastać pieniędzmi i nie nasyłać na nią psów gończych, panie Reynard. Dowody pańskiej wrogości ani trochę panu nie pomogą. A widać, że jest pan wrogo nastawiony. Niech pan sobie odpuści, dobrze? Sędzia ma obowiązek trzymać stronę dziecka, a przez pana nieostrożność może przejść na stronę matki. Niewykluczone, że są już dowody na to, że pan i pańska żona nie akceptowaliście jej z własnej woli. Przypuszczam też, że są dowody wskazujące na brak hojności z pana strony w ciągu ostatniego roku czy ostatnich dwóch lat. Szczerze panu radzę, proszę pamiętać, że ludzie mogą mieć *uprzedzenia* względem pieniędzy.

– Dziękuję panu za pańską radę – odparł chłodno Reynard.

Patrzcie no tylko, kogo ten facet tu prowadzi – zauważyła pani Moran. – To sam nasz doktor Bianchi z jakąś lalunią.

– Co? Co takiego? – zdziwiła się pani Kimberly. – Nie odważyłby się!

– Ciekawe, co na to Madame – zastanawiała się głośno pani Link, po czym wszystkie trzy zatrzęsły się ze śmiechu.

Rozgrywały nie kończącą się partyjkę kart, którą przerywały ze swobodą typową dla długotrwałych nawyków, gdy tylko coś dało się zauważyć na ulicy lub po przeciwnej stronie, przy wejściu do szpitala, a szczególnie na krótkim podjeździe do pogotowia, gdzie od czasu do czasu z piskiem opon wjeżdżała karetka.

Jakiś beztroski, wykształcony osobnik, który kiedyś zatrzymał się na krótko w jednym z pokoi na górze, nadał im przezwisko, które od tamtej pory się przyjęło. W budynku, a także

w tej części ulicy, gdzie były znane, o trzech damach mówiło się „Parki”<sup>1</sup>.

Doktor Joseph Bianchi (który znał owe damy oraz ich przyzwyczajenia) prowadził Sherry Reynard (która jeszcze ich nie znała) alejką, pomiędzy dwoma drewnianymi palikami z wysoko umieszczoną tablicą. Wznosiła się nad dachem werandy, a napis na niej głosił: *Teren nowej kliniki przyszpitalnej św. Antoniego, inwestycja: 2,5 miliona dolarów*. Sherry nawet nie zauważyła, że jest tam jakaś tablica.

Młody mężczyzna zadzwonił dzwonkiem. – Musi pani porozmawiać z Madame – powiedział. – Przepraszam, mam na myśli panią Peabody, właścicielkę. Poradzi sobie pani?

Jednak kobieta, która otworzyła drzwi, była za młoda na właścicielkę. Była to dziewczyna o dziwnej aparycji, w wieku może czternastu, może piętnastu lat. Miała za dużą głowę i grube, wyjątkowo nieciekawe rysy twarzy. Była niska i zbyt rozwinięta na swą dziecięcą, niebieską, bawełnianą sukienkę.

– Dzień dobry, Elsie – powiedział młodzieniec. – Idź i zawołaj mamę. Grzeczna dziewczynka.

Dziewczyna gapiała się na niego bez wyrazu.

– Idź i zawołaj mamę. Grzeczna dziewczynka – powtórzył młody lekarz i tym razem polecenie do niej dotarło.

Dziewczyna wyglądała na bardzo zadowoloną z tego powodu. Pokiwała głową i odeszła wolnym krokiem.

– To się nazywa „opóźniona umysłowo” – powiedział doktor Bianchi Sherry do ucha. – Taka nikomu nie zawadza.

Weszli razem szerokimi, staromodnymi drzwiami do przedpokoju o niemalże kwadratowym kształcie, z podłogą wyłożoną zniszczonym parkietem. Na lewo były schody, sześć stopni do podestu, skąd pod kątem prostym biegły na górę kolejne schody. Wszystko było mocno polakierowane. Przednóżki, podnóżki, poręcze, barierki – całe to żółtawobrazowe drewno miało wysoki połysk.

Pod podestem, jak to zwykle bywa, na ścianie wisiało lustro, a na półkolistym blacie stolika leżały porzrzucone listy. Po prawej stronie ściana wytapetowana była na różowo i żółto geometrycznymi skrawkami, od których kręciło się w głowie. Wisiał tam też automat telefoniczny. Tuż przed nimi nie było żadnej ściany działowej, dało się więc wyczuć rozciągającą się ogromną, zacienioną przestrzeń wypełnioną meblami.

Gdzieś od strony schodów pojawiła się smukła kobieta w jasnobrazowej sukni.

---

<sup>1</sup> Trzy Parki – w mitologii córki Zeusa i Temidy: pierwsza przedzie nić żywota, druga przydziela los i strzeże nici, trzecia ją przecina w chwili zgonu.

– Pani Peabody – odezwał się młodzieniec – mam tu kogoś, kto w szpitalu dopytywał się o pokój.

Właścicielka przechyliła głowę, na której ciemnobrązowe włosy układały się w taki sposób, że przypominały nałożony kapelusz. Możliwe, że była to peruka. Jej ciemne oczy niezupełnie skupiały wzrok. Prawe płąsało, choć bardzo nieznacznie. Głos miała słaby i nieco chłodny.

– A, tak, panno... hm...

Sherry zmuszona była oprzytomnieć, żeby do pewnego stopnia wyjaśnić, kim jest. – Nazywam się Sherry Reynard. *Pani* Reynard. Mój mały synek jest w tamtym szpitalu. Muszę się gdzieś zatrzymać, żeby być blisko niego. Chodzi tylko o pokój...

– Rozumiem – odrzekła pani Peabody. – No cóż... – Odwróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, raczej niechętnie.

Młody doktor Bianchi nagle wycofał się z sytuacji i wielkimi krokami ruszył po lśniących schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz.

– Pani jest znajomą doktora Bianchi? – spytała chłodno właścicielka.

– Słucham?

– Doktora Bianchi? – Właścicielka powtarzała cierpliwym tonem, który przypomniał Sherry o istnieniu jej umysłowo opóźnionej córki.

– Aha, tego młodego człowieka? Nie, nie. To pani z rejestracji go poprosiła.

– Rozumiem. – Pani Peabody stała się jakby nieco już mniej chłodna.

Sherry poszła za nią do dużego pokoju, którego okna wychodziły na zaplecze budynku, a wszystkie szczelnie przysłonięte były szklanymi żaluzjami oraz wyblakłymi zasłonami w kolorze różowym przechodzącym w brąz. Odniosła wrażenie otwartej przestrzeni, bałaganu, lecz mimo to staroświeckiej elegancji. Rzeźbione ramy z drewna wokół ciasno naciągniętej tapicerki, porcelanowe ornamenty, abażury zdobione frędzlami. Pani Peabody prowadziła ją przez całą tę przestrzeń, a Sherry uświadomiła sobie, że w tym pokoju są jacyś ludzie. Od strony ulicy świeciło bardziej intensywne światło, mogła więc wreszcie dostrzec, że w tamtym miejscu, przy ogromnym oknie z wnęką, siedziały przy stole trzy starsze kobiety. Nic nie mówiły. Karty do gry plaskały o blat. Mimo to Sherry wyczuła, że nie odwracając wzroku, bacznie wsłuchiwały się w każdy jej krok.

– Ten wolny pokój – odezwała się pani Peabody nieco żalonym tonem – to dawniejsza weranda, ale oczywiście dzięki temu jest przestronny.

Obeszła rzeźbiony drewniany parawan, który częściowo zastawiał pozbawione drzwi przejście, i otworzyła pierwsze, mocno polakierowane drzwi na lewo.



Był to mały pokój, oszklony z dwóch stron i z trzeciej w połowie. Wszystkie szyby, łącznie z tą, która zdawała się sięgać podłogi i mogła kiedyś służyć jako drzwi, pokryte były marszczonym białym materiałem. Oświetlenie było bardzo chłodne, ale pokój odznaczał się czystością. Znajdowało się w nim jednoosobowe łóżko, wąska, wysoka komoda, jedno krzesło oraz wysoka szafa z kredensem, która wyłaniała się przy jednej ze ścian.

– Wygląda bardzo ładnie – powiedziała Sherry – ale czy to niezbyt... Za ile?

– Dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo – odparła pani Peabody szybko i nieprzyjaźnie. – W tym, oczywiście, śniadanie *kontynentalne*.

– Och, to bardzo...

– Nie mogę pozwolić na to, żeby mi gotowali w pokojach – przerwała jej pani Peabody. – A ludzie *tak czy inaczej* chcą przyrządzać sobie śniadanie. Więc ja im je serwuję, co zaoszczędza kłopotów. Nie podaję jednak obiadów ani kolacji.

– Rozumiem.

– Natomiast łazienka jest wspólna – oznajmiła pani Peabody, jakby z konieczności zareklamowania miejsca w staranny i nieagresywny sposób – ale dość wygodna. I bardzo duża. Zaraz na końcu korytarza.

Sherry, która w tej chwili tak naprawdę pragnęła jedynie rzucić się na łóżko, poszła mimo wszystko, żeby obejrzeć bardzo dużą łazienkę. Była wiekowa. Krany przeciekały. Ale na oko było tam czysto. A to wystarczy.

– Na jak długo chce pani ten pokój? – spytała pani Peabody, która nieco przekrzywionym wzrokiem szybko przebiegała akurat sylwetkę Sherry od stóp do głów.

– Trudno powiedzieć. Nie wiem. – Sherry była tak wykończona, że prawie nie mogła mówić. – Zależy od tego, jak będzie się czuł mój mały. Czy mogłabym już zapłacić za tydzień i zająć ten pokój? Chciałabym odpocząć, a potem muszę jeszcze pójść po moje rzeczy. Kiedy dziś rano przywieźliśmy go do szpitala, to był nagły wypadek... (Och, błagam, szybciej, chcę zapłacić i niech już zostawi mnie w spokoju.)

Jednakże wynajęcie pokoju to nie taka szybka sprawa. Dla ostrożności wymagane są pewne procedury. Pani Peabody musiała wypytać o charakter tego nagłego przypadku, o wiek dziecka, o rokowania w jego przypadku i o miejsce pobytu jego ojca.

Sherry opowiedziała jej, jakie obrażenia odniósł Johnny. Dodała też, że ona i mąż są w separacji.

– To pokój jednoosobowy – oświadczyła szorstko pani Peabody. – Panowie nie mają wstępu do tej części domu... A paniom nie wolno wchodzić na górę.

– Tak, rozumiem – odpowiedziała Sherry. Trzymała otwartą torebkę. W milczeniu

wyciągała już rękę z pieniędzmi.

– Od wewnątrz jest zasuwana – wyjaśniła pani Peabody swoim lodowatym tonem – ale klucza nie ma, bo tu się sprząta. Moi pracownicy to, co prawda, uczciwi ludzie, ale nie powinno się zostawiać na wierzchu żadnych kosztownych przedmiotów.

– Na pewno będę na to uważać – oznajmiła uroczyście Sherry. – Dziękuję. – I na szczęście mogła już wreszcie zamknąć drzwi tego dziwnego małego pokoju, zasunąć zasuwę od środka i zostać sama.

Położyła torbę na toalecie. Usiadła na krawędzi wąskiego łóżka. Palcami u nóg strąciła buty. Bardzo powoli położyła się i wyciągnęła w oślepiającym świetle tego surowego miejsca. – Tak jest dobrze – pomyślała. – To wystarczy.

Pani Peabody przekazała Parkom wszystko, co powiedziała jej Sherry, z czego większość już usłyszały, ale mimo to słuchały z zapałem. Kiedy gospodyni wyszła, odezwała się pani Moran: – Dziwię się Madame, że przyjęła kobietę poniżej czterdziestki. – Jej blade, suche wargi wykrzywiły się pod siwymi wąsami. Pani Moran miała sześćdziesiąt osiem lat.

– Pan doktor zamarudzi pewnie przy śniadaniu trochę dłużej – powiedziała pani Link, przyklepując filuternie wiecheć koloru wyblakłej słomy, w jaki zmieniły jej włosy płukanki. Pani Link miała siedemdziesiąt trzy lata.

– Ona nie zabawi tu długo – oznajmiła pani Kimberly o wiewiórczej twarzy, workowatych policzkach i drobnym, szpiczastym podbródku. – Przybiegnie mąż. Albo przyjaciel. Albo obaj. – Zachichotała. Pani Kimberly miała sześćdziesiąt pięć lat i była najmłodsza z nich wszystkich.

– Cicho!

Po drugiej stronie ulicy zatrzymała się karetka.

– Nic poważnego – stwierdziła pani Moran. – Nie przyjechała na sygnale.

Obserwowały, jak z pojazdu wyniesiono nosze.

– Jest i ona – zauważyła pani Link. – Znów się spóźniła. Popatrzcie, jak biegnie. – Patrzyły, jak pielęgniarka przemyka chodnikiem.

– Poród – oznajmiła pani Kimberly. – Spójrzcie na mamusię na tym wózku. Już niewiele jej zostało.

– A spójrzcie na tatusia. Ależ z niego udawacz! – zauważyła pani Link.

– Cicho! – odezwała się pani Moran. – Ważniak idzie.

Karty plasnęły. Kobiety słuchały, jak otwierają się drzwi wejściowe i na schodach

rozległ się odgłos kroków Lawtona Archera.

– Nie dostał roli – powiedziała pani Moran.

– On nigdy nie dostaje roli – stwierdziła pani Kimberly. – No, koleżanki, która z was ma dla mnie damę pik?

Gra, w którą grały, nosiła nazwę „serca”.

Tymczasem w ogromnej, staroświeckiej kuchni gospodyni oznajmiła: – No i wynajęłam werandę.

– To dobrze – odparł wymijająco pan Peabody. Siedział w starym, wiklinowym fotelu, który wybrał sobie na gniazdko, w kuchennym kącie. Czytał gazety i sączył piwo.

Jego żona dość niespodziewanie usiadła na twardym krześle. – Muszę przyjmować każdego – powiedziała ponurym tonem – dopóki jeszcze mogę. Nie wiem, co zrobimy, Haroldzie.

– Nie przejmuj się – odrzekł. – Nie przejmuj się. Dom mogą wyburzyć dopiero we wrześnie. – Przyjrzał się banknotom, jakie trzymała w ręce. – Chcesz coś z supermarketu? – spytał z nadzieją.

Rzuciła mu surowe spojrzenie i złożyła banknoty w ciasny zwitek. W supermarkecie było stoisko z alkoholem.

Sherry tymczasem zdążyła już wypocząć przez godzinę, pójść na krótką wizytę do Johnny’ego i wsiąść w autobus. Nacisnęła właśnie dzwonek u drzwi pani Ivy (obowiązek nakazywał jej jeszcze raz podziękować sąsiadce). Była godzina czwarta po południu. Pani Ivy nie otworzyła. Sherry poszła swoją starą ścieżką od frontu, włożyła klucz do zamka drzwi domu, w którym wcześniej – jeszcze tego ranka – mieszkała.

Nastawiła się na ciężką atmosferę, która już na swój sposób zdawała się martwa, i dziarsko przeszła do sypialni, zdjęła z półki w szafie dwie walizki i spakowała je tak szybko, jak tylko potrafiła: jedną dla siebie, do drugiej rzeczy Johnny’ego. Była podenerwowana. Czas naglił. Nie chciała być z dala od Johnny’ego. I pragnęła stąd uciec.

Włożyła dłoń do kasetki z biżuterią, w której nie było ani jednego szlachetnego kamienia, tylko sam szmelc, i znalazła dwudziestodolarowy banknot, który schowała tam dawno temu. Czy wlec się z walizkami do autobusu, czy zadzwonić po taksówkę? Nie była w stanie myśleć.

Do kuchni wcale nie chciała wchodzić, ale w końcu weszła tam tylko po to, żeby

zabrać z lodówki najszybciej psującą się żywność i wyrzucić ją. Niczego nie skosztowała. Powinna już była zgłodnieć. Nie jadła obiadu. Jednak tego jedzenia nie mogła włożyć do ust. Wtedy też podjęła decyzję i skorzystała z telefonu (kto zapłaci ten rachunek?), żeby wezwać taksówkę.

Czekając na nią, zatelefonowała do szefa, pana Dodda z Klubu, który wydał z siebie okrzyki żalu i współczucia i obiecał przesłać wypłatę, bardzo niewielką sumę. W końcu w tej pracy liczyły się napiwki, a nie pensja. Sherry podała mu adres pensjonatu pani Peabody.

Pomyślała przy tym o poczcie. Zajrzała do skrzynki pod otworem w drzwiach. Nie było tam nic prócz rachunku za gaz. Kto to zapłaci? Wrzuciła go z powrotem. Nie była w stanie o tym myśleć. Zastanawiała się, czy zgłosić na poczcie zmianę adresu. Nie, jeszcze nie teraz.

Myśl o tym, że nikt nie wie, gdzie się ukryła, sprawiała jej pewną przyjemność. Jutro będzie musiał dowiedzieć się adwokat. Miała umówione spotkanie.

Wytaszczyła walizki na zewnątrz, zamknęła za sobą drzwi na klucz, ani przez chwilę nie wątpiąc w to, że obserwuje ją któryś z sąsiadów, i stanęła sama przy krawężniku, obok całego dobytku, jaki zdołała wynieść. Nie miała już domu, męża ani pracy; dysponowała bardzo niewielką gotówką. Miała jednak dziecko. – A poza tym jestem zdrowa – powiedziała do siebie tonem pełnym determinacji.

Ważny był też nawyk, który nakazywał jej zachować równowagę mimo wielkich nadziei. Bo przecież, fakt faktem, cieszyła się dobrym zdrowiem. Fakt faktem, miała przyjaciół – swoich dobrych przyjaciół. Wprawdzie nie tu, ale na wschodzie – starych przyjaciół, ludzi, którzy znali jej rodzinę. No i najlepszą przyjaciółkę, była współlokatorkę, która właśnie wyszła za mąż.

Tak, trzeba zawieźć rzeczy do nowego lokum, a potem pójść do szpitala. Tam może coś zjeść w kafeterii i zobaczyć, jak Johnny kładzie się spać. Następnie zdobędzie papier i koperty. Powinna była zabrać je z domu. Ale tam już nie wróci, nigdy. A potem napisze do swoich przyjaciół, starych przyjaciół. Pomogą jej.

Nie wiedziała, ile czasu zabierze wyliczanie tego, co zostało jej na tym świecie oprócz wszystkiego, co miała przy sobie. Oby tylko nie była lekkomyślna. Nie miała też pewności, ile z tych dziewięćset dwudziestu siedmiu dolarów będzie mogła zatrzymać. Poza tym szykowało się mnóstwo wydatków. Tak, musi rozsądnie i z całą należytą rozważą napisać do przyjaciół i poprosić o pomoc finansową.

Zdołała odjechać, nie odwracając się, ponieważ zajęta była arytmetyką. Policzymy: sześćdziesiąt siedem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów dodać dwadzieścia dolarów równa

się osiemdziesiąt siedem i siedemdziesiąt pięć. Odjąć dwadzieścia pięć dolarów dla pani Peabody. Odjąć opłatę za bilet autobusowy, czterdzieści centów, i zaraz odjąć koszt przejazdu tą taksówką, a potem, oczywiście, cenę obiadu. Jeszcze papier i koperty. I znaczki.

Kiedy już zapłaciła taksówkarzowi i ciągnęła walizki do pensjonatu, przypomniała sobie, że nie skontaktowała się z opiekunką, panną Erskine. No cóż, pani Ivy na pewno opowie jej o tym, co zaszło, i to już niebawem... Przeszła obok wiszącego na ścianie automatu telefonicznego, zastanawiając się, czy stacją, czy nie. W torebce, którą trzymała pod pachą, było sześćdziesiąt dolarów i trzydzieści pięć centów. Opiekunce była winna dziewięć dolarów. Wydawało się, że to sporo.

## Rozdział 4

Tego dnia wieczorem młody mężczyzna, Clifford Storm, myślał o człowieku, który go gościł, i zastanawiał się, czego ten stary głupiec chce. Cliff siedział na skórzanej kanapie, sączył drinka i udzielał odpowiedzi na pseudoojcowskie pytania typu „co tam u niego”, był jednak całkiem pewien, że Edward Reynard nie zaprosił go do swego domu po to, żeby dowiedzieć się, co słyhać.

– Myślałem sobie – zaczął gospodarz, opierając się na skórzanym krześle – zastanawiałem się, Cliff, czy wciąż jeszcze interesuje cię firma twojego ojca.

Cliff uznał, że ta siwa głowa na tle barwnych opraw książkowych stanowi ładny widok. – Chodzi panu – odezwał się – o firmę, która kiedyś należała do mojego ojca? Zanim ją stracił?

– Zaraz, zaraz – odparł Reynard. – Ja kupiłem. On sprzedał. Nie ma powodu do rozgoryczenia. Tym bardziej że z tego, co pamiętam, ty odszedłeś na własną rękę.

– Tak było – przyznał Cliff. – Młody byłem, prawda? Nie miałem ochoty położyć się spać jako spadkobierca, a obudzić jako wynajęty robotnik. A teraz chce pan wiedzieć, czy nadal mnie to interesuje? Przecież tam jest moje nazwisko! – Storm and Savage Productions. Rzeczywiście, podziwiał tę nazwę. – Synek starego Storma nie ma innego wyjścia, jak mieć na to wszystko oko, choćby z boku!

Cliff usiadł wygodnie, uśmiechając się. Rozgoryczenie *było* głupotą. Jego ojciec już nie żył, Billy Savage też już dawno zmarł. Cliff nie był od naprawiania odwiecznych krzywd, pod żadnym pozorem. Kombinował w myślach, aby dowiedzieć się, czego pragnął Reynard, i

przekonać się, jakie korzyści płynęłyby z tego pragnienia dla Cliffa Storma.

Storm and Savage Productions było małym przedsiębiorstwem produkcji filmowej, które kręciło przede wszystkim krótkie filmy edukacyjne i szkoleniowe, a od czasu do czasu, pomimo trudnego rynku, krótki temat na użytek kina.

– Wciąż jesteś w branży, prawda? – zauważył Reynard. – Produkcja? Reżyseria? Kiniarze?

– Mniej więcej. Mniej więcej – odrzekł Cliff sympatycznym tonem. O tym, że w chwili obecnej było to raczej mniej niż więcej, Reynard nie musiał wiedzieć. Problemem tego przemysłu był nieprzewidywalny ruch nowych trendów. Niekiedy było się „na górze”. Potem, z jakiegoś nieokreślonego powodu, lądowało się „na dole”.

– Chcę złożyć ci propozycję – oświadczył Reynard. – Chodzi o to, żebyś coś dla mnie zrobił. Zastanawiałem się też, co mógłbym zaoferować w ramach rekompensaty. Rzecz nie jest płatna za godzinę ani też na dobrą sprawę gotówką. Sprawa jest trochę trudna i odrobinę delikatna. Uważam, że mógłbyś mi pomóc. Zastanawiam się więc, czy nie zechciałbyś wrócić do firmy.

– Wrócić? – powtórzył Cliff. – W jakim sensie: wrócić?

– Nadzorować – wyjaśnił Reynard. – Zarządzać nią.

– No, no – odparł Cliff. – Rzeczywiście brzmi zachęcająco. Więc co mam dla pana zrobić? Załatwić kogoś? Czemu nie? Jeśli tropi pan naprawdę złego człowieka. W końcu mamy przecież swoje zasady. – Wypił duży łyk.

Chwileczkę, pomyślał. Może to głupota rzucać teraz tanimi dowcipami. Ale z drugiej strony, postawa „trudnego do zdobycia” raczej nie zaszkodzi.

Twarz Reynarda zastygła. Po chwili odezwał się lakonicznie, dezaprobując nedorzecznosc. – Chcę ci zlecić przeprowadzenie śledztwa. Potrzebuję pewnych dowodów i chcę, żeby zebrane zostały raczej po cichu, przez kogoś spoza kręgu zawodowców, kogoś, kto mógłby przekonywająco wyjawic osobisty powód, dla którego zainteresował się tą sprawą.

– Potrzebuje pan detektywa, którego nie znajdą w rejestrze... – dodał szybko Cliff.

– Inteligentny jesteś – odparł kwaśno Reynard. – A ja mam powody sądzić, że wiesz, jak odnaleźć się w ciemnych interesach. – Jego jasne oczy zabłysły.

Cliff, którego zdaniem Edward Reynard był tak samo nieuczciwy, jak wszyscy inni z tej branży, i tak samo dwulicowy, czuł rozbawienie, a jednocześnie ogromną ciekawość. Czego chciał Reynard od kogoś, kto miał już za sobą to i owo?

– Interesuje cię taka propozycja? – spytał gospodarz domu.

– Interesuje mnie to, gdzie tkwi szkopuł – odparł Cliff pogodnym tonem. – Niech mi

pan powie: czy to nielegalne, niemoralne, czy po prostu tuczące? – Zaczynał dobrze się bawić. Ten stary pryk rzeczywiście czegoś chciał. Cliff był chłopakiem od sprzedaży, jeśli znalazłby się kupiec. A cenę podbiłby tak wysoko, jak tylko się da.

– Wcale nie – odrzekł sztywno Reynard. – Chcę zdobyć dowody na coś, co – jak mi wiadomo – jest prawdą. Ale nie mogę rzucić się na nie tak po prostu, otwarcie i zawzięcie, bo jak już mówiłem, sprawa jest delikatna. Trzeba tu przełamać pewne tradycje, uprzedzenia, tego typu rzeczy. Ja się nie odważę.

– Żeby nie psuć sobie wizerunku, co? – rzucił bezczelnie Cliff. – I chodzi panu tylko o dowody? Nie muszę niczego ustawić?

– Absolutnie nie. – Szyja Reynarda zesztyniała.

– I nawet nie mam wywierać choćby najmniejszego nacisku na tych czy owych? Nie mam manipulować kontraktami, czy ustalać ostatecznych terminów tak, żeby niezręcznie się pokrywały, ani nie zastawiać finansowej pułapki na jakiegoś biedaka po to, żeby pan mógł odebrać mu *jego* firmę?

Reynard gwałtownie wypuścił powietrze w pełnym obrzydzenia westchnieniu. – Nieważne – odrzekł. – Powiedz mi, Cliff: jesteś żonaty?

– Nie – odpowiedział Cliff. – Byłem. Ale już nie jestem.

– Miałeś ostatnio jakieś ciekawe osiągnięcia? Nie śledziłem...

Och, ależ tak, śledziłeś – pomyślał Cliff. Zrozumiał, że popełnił błąd. Stracił grunt pod nogami. Ten człowiek wiedział, że Cliff znajdował się w dołku. Przewaga ulegała zmianie. Reynard był pracodawcą i wiedział, że Cliff szuka pracy.

– Storm and Savage utrzymują jakiś poziom – oznajmił Reynard. – Są rynkowo stabilni.

– Przeżywają kryzys – wtrącił szybko Cliff. – To nie to samo, co za czasów mojego ojca. To teraz wół roboczy. Zajmują się rutynową robotą. Uleciała z nich twórcza wyobraźnia.

– W takim razie użyj *swojej* wyobraźni – rzucił beztrąsko Reynard.

Wyobraźnia Cliffa została mocno pobudzona. Czego ja chcę? – pytał sam siebie. Chyba wiem. Chcę mieć firmę. Jestem po trzydziestce. Starzeję się i zużywam fizycznie. Przeżyłem to i owo, to prawda. Chcę mieć firmę dla siebie.

– Mają straty pieniężne, prawda? – spytał od niechcienia.

– Nie, nie. Sytuacja jest zadowalająca.

Cliff nie wierzył mu. – Może niech mi pan lepiej już powie, czego pan właściwie chce – zasugerował.

– Chcę mojego wnuka – wyjaśnił Reynard, a Cliff poczuł się zaszokowany. Reynard

pochylił się teraz naprzód. Typowa dla niego surowość ustępowała. – Ty i Ward chodziliście razem do szkoły – dodał. – Jesteś jego dawnym znajomym. I może nawet poznałeś tę całą Sherry, z którą wpakował się w małżeństwo.

– Hm, zdaje mi się, że kiedyś ją widziałem. Na jakimś przyjęciu. Ale nie znaleźliśmy się.

Cliff nie dodał, że już dawno temu wykreślił Warda Reynarda z listy swoich przyjaciół, starych i nie tylko, bo ten facet zaczynał śmiertelnie go zanudzać bez względu na to, czy był synem bogacza, czy nie. Teraz jednak dało się wyczuć *emocje*. Cliffowi zdawało się, że pojmuje motywy ludzkiego działania. Skoro staruszkowi Reynardowi na czymś zależało, naprawdę *zależało*, to dla Cliffa mogło to stanowić środek nacisku.

– Mimo wszystko – ciągnął dalej Reynard – to zrozumiałe, jeśli zainteresuje cię ona na tyle, żeby zadać na jej temat kilka pytań...

– Czego pan tak naprawdę chce? – spytał Cliff. (I jak bardzo ci na tym zależy, staruszkule? – dodał w myślach.)

– Znosi się na rozwód. Potrzebuję dowodów, aby przekonać sędziego, że ona nie nadaje się do wychowywania dziecka.

– Powiedział pan, dowodów? Na coś, o czym pan wie, że jest prawdą? – Pod wpływem szoku umysł Cliffa działał na wysokich obrotach.

– Zgadza się. Powiedziano mi, że musi to być coś drastycznego, a zarazem jasno przedstawionego. Ale da się znaleźć. Pozwól, że trochę zagłębię się w tę sprawę. Ward wziął coś w rodzaju urlopu naukowego, zmęczyły go te książki, sam rozumiesz. No i związał się z tą małą, łatwą... Cóż za plebejskie pochodzenie. Wałęsała się sama po mieście. Ani się nie obejrzeliliśmy, jak wrobiła go w małżeństwo, chociaż jestem pewien, że wcale nie musiał się żenić. Emily i ja pojechaliśmy do Nowego Jorku z jak najlepszymi zamiarami i znaleźliśmy ich w zwyczajnym slumsie. Rzecz jasna, chcieliśmy ich stamtąd wyciągnąć, zapewnić im lepsze warunki, ale nie... Dopiero jak zaszła w ciążę. *Wtedy* zaczęli nam skomleć, a my otworzyliśmy im nasz dom. Wszystko załatwiliśmy. Lekarzy, pielęgniarki... Ale ta dziewczyna jest niemożliwa. Żadnej ogłady. Żadnego wykształcenia. Żadnych wartości. Żadnego pojęcia...

Słuchając, Cliff pomyślał: Tak, tak. Staruszek ma na tym punkcie bzika. Naprawdę. No, no!

– Chciała się wyrwać – mówił stary z goryczą. – I zabrała dziecko, zabrała naszego syna. Ja chcę tylko jakoś ujawnić jej prawdziwe oblicze.

– To nie powinno być zbyt trudne – odparł Cliff uspokajająco. – Chyba rozumiem, co pan ma na myśli, sądząc, że... hmm... znam właściwe miejsca. A *sprzeda* mi pan firmę?



– Sprzeda?! – Reynard opadł na oparcie i zamrugał oczami.

– Za dolara i trochę? Jak zwykle? Zamortyzuje pan swoje inwestycje do takiego tempa, żebym je wytrzymał?

– A dlaczego miałbym to zrobić? Dlaczego miałbym praktycznie oddać ci firmę? – Oczy Reynarda zabłyśły.

– Żeby mi zapłacić – odrzekł Cliff – za to, czego pan chce. I pozornie nie wydać ani grosza. Udawajmy, że to ja pana do tego namawiam. – Zaczął mówić szybko. Niech sporządzą umowę. Reynard nawet nie musiałby ponosić straty z tytułu podatku. W gruncie rzeczy odzyskałby swoje koszty lub przynajmniej ich wystarczającą część. Transakcję ustawiono by tak, aby wyglądało na to, że facet, który prowadzi wiele innych interesów, znudził się tym jednym, drobnym, podupadającym punkcikiem w swoim rozległym imperium i nie miał nic przeciwko temu, żeby się go pozbyć. Szczególnie kiedy Cliff, młody tygrys, rycząc, powrócił na arenę z gorliwym pragnieniem odnowienia, ożywienia, ocalenia i rozwinięcia firmy, którą stworzył jego ojciec i która nosiła jego nazwisko. Najnormalniejsza rzecz na świecie!

– Ponadto – mówił dalej Cliff – przyjechałem tu dziś wieczorem, żeby pana do tego namówić, a pan opowiedział mi o kłopotach Warda. Jak mógłbym nie współczuć mojemu dawnemu koledze? I nie porozglądać się troszkę?

– I zdobędziesz dla mnie to, czego chcę? – spytał Reynard.

Gdyby Cliff był kotem, wasy zadrżałyby mu na muśnięcie czegoś niewidocznego i niesłyszalnego, jednak nie ruszałby się z miejsca. Czego ten stary chciał?

– Niech mi pan najpierw coś powie – odezwał się Cliff bez zająknięcia. – Powiedzmy, że mamy umowę. W jaki sposób pan i ja uznamy zgodnie, że pan dostał to, czego pan chciał? Kto będzie tu sędzią?

– Nie mam pojęcia, jak nazywa się *ten sędzia* – odrzekł Reynard. – Jakiś sędzia, który przyzna Wardowi opiekę nad jego synem.

Cliff rozsiadł się na krześle, lekko skonsternowany. – A potem – powiedział – firma jest moja?

– A potem – odrzekł Reynard – firma jest twoja.

– Niedobrze – rzucił Cliff po chwili.

Ten drugi uniósł dumnie podbródek i patrzył.

– Ujmę to w ten sposób – tłumaczył Cliff. – Pan idzie na wojnę. Wynajmuje pan mnie, żebym dostarczył amunicję. Ale nie zamierza pan zapłacić mi do czasu, aż wygra pan tę wojnę. Albo powiem inaczej: stawianie na jakiegoś nieznanego sędziego to zbyt ryzykowna

propozycja. A ja w tym czasie wykonam swoją robotę.

– Ja z kolei ryzykuję, powierzając tę robotę tobie – odgryzł się Reynard. – Bo ktoś inny mógłby wykonać ją lepiej.

– A jeśli – ciągnął Cliff – poszperam tu i tam, wykopię, co się da, i niczego nie znajdę? Wtedy też robota zostanie wykonana.

– Na pewno coś jest – warknął Reynard. – A ja chcę tylko wiedzieć dokładnie, co. I jak to *jasno* wykazać. Tego właśnie chcę.

Tak – pomyślał Cliff – tego właśnie chcesz. I to właśnie dostaniesz. A ktoś zdobędzie to dla ciebie. Dowody, tak? No jasne. A jeśli żadne nie istnieją, to chcesz ją zrobić. No, ale do tego nigdy się nie przyznasz, prawda, starszku? Tego byś nie zlecił. Nie uwierzysz, że została wrobiona, nawet wtedy, kiedy tak się stanie. Ale dostaniesz to, czego chcesz. Więc lepiej, żebym to ja był tym facetem, który to dla ciebie zdobędzie.

Cliff postanowił na razie nie domagać się lepszych warunków. Przecież jeśli wygra, nagroda i tak będzie wielka. A jeśli przegra, nie straci nic.

– Dla Storm and Savage – powiedział na głos, mówiąc powoli i wyraźnie – byłbym w stanie zrobić, i zrobiłbym, prawie wszystko.

Reynard ani drgnął. Nie dopuścił tej aluzji do swoich myśli. Nie podobała mu się. Ale na pewno wiedział, czego dotyczyła, i tym razem nie odrzucił jej w oburzeniu.

– Bardzo dobrze – odezwał się już miłszym tonem. – Ja, oczywiście, udzielę ci wszelkiej możliwej pomocy.

– A wydatki? – spytał Cliff dość bezczelnie. Nie potrafił pohamować pewnego zadowolenia.

– Zdaje mi się, że mogą być i jakieś wydatki – odparł Reynard ze słabym uśmiechem.

(Na łapówki? – pomyślał Cliff. Ale nie powiedział tego głośno.)

Niedługo potem Cliff, wyposażony w nazwiska, adresy, terminy i gotówkę, ruszył za gospodarzem w stronę pięknych schodów. Zdawało się, że mądrze będzie, jeśli odwiedzi w chorobie swego nagle odzyskanego dawnego kumpla z dzieciństwa.

Mimo wszystko Cliff był ciekaw. Jak, do diabła, kobiecie udało się powalić na ziemię stukilogramowego faceta?

Pokój Warda, jak z rozbawieniem zauważył Cliff, wciąż przypominał pokój chłopca. Wprawdzie na ścianach nie wisały już proporce, ale były trofea. Pani Reynard siedziała przy lampie z książką na kolanach. Ward, w chłopięcym łóżku, spoczywał na wysokich

poduszkach. Gdzieś w domu był też podobno mężczyzna do opieki. Pielęgniarz? Dziwne – pomyślał szybko Cliff i odrzucił tę refleksję. Niekoniecznie dziwne. Może nieco pruderyjne.

– O, cześć! Zaraz, zaraz, czy to nie Cliff? – odezwał się po staremu Ward.

Cliff uznał, że wygląda okropnie. Niemożliwe, żeby jeden cios był przyczyną tak zmizerniałego wyglądu i bladości na uprzednio rumianej, kwadratowej twarzy Warda. Niemożliwe, żeby pogrubiał te pory, rozrzedził i wysuszył te dawniej lśniące, brązowe włosy.

– Jak miło cię widzieć, Clifford! – Pani Reynard mówiła po staremu, jak gdyby Cliff wpadł z wizytą po treningu futbolowym.

– Mama mi czytała – wyjaśnił Ward.

– Wciąż trudno mu się skoncentrować, sam rozumiesz – dodała Emily Reynard – a dla mnie to żaden problem. Na dobrą sprawę zawsze lubiłam czytać na głos.

Cliffowi przyszło do głowy, że jej umysł kwalifikowałby się na muzeum, w którym przechowywano by wszystkie banalne powiedzonka z ostatnich czterdziestu lat. No, może nie z ostatnich czterdziestu. Z pominięciem dekady lub dwóch. Nie przyswoiła żadnego nowego pojęcia w ciągu piętnastu lat, jakie pamiętał. Nie spytał, co czyta na głos. Już na samo wyobrażenie przeszywał go dreszcz. Spojrzał na Warda.

– No, nieźle sobie urządziłeś ramię, kolego – zawołał. Przez cienką bawełnę widać było gojącą się ranę ciętą, umiejscowioną w spuchniętym, wielobarwnym miejscu na ciele.

– Ciągle okropnie boli – odezwała się pieszczotliwie pani Reynard. – Nie może nawet swobodnie przewrócić się na bok bez pomocy. Ale staramy się, jak tylko potrafimy, żeby było mu wygodnie.

– Jestem tego pewien – odparł uprzejmie Cliff, rezygnując z połowicznego postanowienia, by spróbować porozmawiać z Wardem na osobności.

Dlatego też zaraz Cliff zszedł schodami w dół, krok w krok za Edwardem Reynardem, nie podejmując tego, co uznał za ryzyko odciążenia go od misji przez samego ojca dziecka. Ward Reynard, niewątpliwie nafaszerowany środkami uspokajającymi, nie zadreślał się rozbitym małżeństwem ani utratą dziecka. O żadnej z tych spraw nawet nie wspomniał. W gruncie rzeczy Cliff uznał, że to Ward jest tu dzieckiem – przynajmniej akurat teraz.

Cóż, biedny frajer, nigdy nie miał zbyt wielkiej szansy, żeby stać się kimś więcej. A jeśli nawet próbował, wysiłek zapewne go przerastał. A teraz pisklę znalazło się z powrotem w gniazdku – trzydziestojednoletni mały ptaszek. Cliff Storm, który był w tym samym wieku, uważał się za w miarę doświadczonego przez przeciwności losu i inne rzeczy. Nie miał dziecinnych złudzeń względem tego, co już zrobił, nadal robi lub robić będzie. Ta nowa umowa urosła dla niego do rozmiarów ryzykownego przedsięwzięcia, które naprawdę warte

było jego zachodu. Sądził, że może wygrać. W końcu był nie tylko realistą, który przyjął coś, co Reynard określił mianem „ciemnej strony”, ale także iluzjonistą, z ciekawości zainteresowanym tym problemem. Niósł on bowiem ze sobą to, co ludzie nazywają wyzwaniem. Z całą pewnością.

– Widzisz – powiedział gospodarz domu żalnym tonem przy drzwiach – co ona zrobiła mojemu synkowi.

A Cliff znów poczuł się zszokowany. Cóż to za obłudne, sentymentalne biadolenie z ust Edwarda Reynarda! Ledwo mógł uwierzyć własnym uszom.

– Pan kupuje. Ja sprzedaję – powiedział uprzejmie. – Biorę się do roboty.

– A tak przy okazji, Cliff – zwrócił się do niego Reynard, nagle znowu rzeczowym tonem – dopilnuj, proszę, żeby ona nie uciekła z małym, dobrze? Być może będzie próbowała wywieźć go poza granice stanu. Nie chcę, żeby tak się stało. Będzie zamieszanie, zwłoka. Ale zdaje mi się, że może u niej być kiepsko z pieniędzmi. Nie wyobrażam sobie, żeby miała teraz większą zdolność kredytową.

– Nie, ja też sobie tego nie wyobrażam – oświadczył Cliff, ukazując wszystkie zęby.

– Albo zamożnych znajomych – dodał Reynard w zamyśleniu – którzy uwierzyliby, że *ona* zwróci im jakąkolwiek większą sumę. Bo skąd...

– Ja też w to wątpię – wtrącił Cliff uspokajającym tonem. – Skoro rzeczywiście jest taka, jak pan mówi.

– No, raczej nie będziesz miał kłopotów – stwierdził Reynard, ożywiony.

I co z tego? – pomyślał Cliff. Te ukryte wskazówki okazały się wyraźne dla Cliffa bardziej niż dla człowieka, który je wydał.

A co właściwie Cliffowi zależy? Stara się przecież o niezłą nagrodę! Już samo to jakie to szczęście!

## Rozdział 5

Rano Sherry dowiedziała się, dlaczego śniadanie u pani Peabody było kontynentalne. Po soku pomarańczowym (jedyne amerykańskie wyjątki) można było dostać jedynie kawę i grzanki.

Śniadanie podawano od siódmej do ósmej trzydzieści w dużej jadalni, gdzie pani Peabody we własnej osobie, w świeżo wykrochmalonym i wyprasowanym na dzień ubraniu, pełniła dyżur przy dzbanku z kawą na jednym końcu stołu w taki sposób, że wstyd było

poprosić o więcej niż drugą filiżankę.

Z doktora Bianchi najwyraźniej był ranny ptaszek. Zmykał już, kiedy zjawiała się Sherry. Trzy starsze panie z parteru weszły razem i zasiadły, żeby rozkoszować się najlepszymi walorami smakowymi każdego kęsa i łyka. Wkrótce Sherry została przedstawiona innemu lokatorowi, mężczyźnie nazwiskiem Lawton Archer. Na pewien młodzieżowy sposób wydawał się on obojętny, nie był jednak tak młody, na jakiego chciał wyglądać. Miał długie, ciemne loki, smutne oczy i zanadto kartoflowaty nos. Był dość delikatnej postury, ale głos miał niski, głęboki i jak na niego o wiele za poważny. Zdziwiło ją jego ubranie. Było rzeczywiście bardzo awangardowe lub po prostu staromodne. Był aktorem, „wziętym”. Rzadko kiedy na nią spoglądał, tylko jadł szybko i wybrednie, niezwykle przeczulony na swoim punkcie, a Sherry wkrótce dowiedziała się, że wzrokiem szuka córki gospodyni, która zadurzyła się w nim. To już było żałosne.

Sherry wzięła na siebie kłopot odwrócenia uwagi tej biednej, niedorozwiniętej istoty, jak tylko potrafiła najlepiej, dziękując jej serdecznie za to, że nalewa i podaje sok pomarańczowy. Najwyraźniej był to poranny obowiązek Elsie. Wszyscy potraktowali to w ten sposób, mimo iż Elsie zachowywała się tak, jak gdyby po raz pierwszy w życiu wykonywała jakieś ciężkie zadanie.

Pan Peabody wszedł szybko, chyba tylko po to, żeby przedstawić się nowej lokatorce. Miał łagodną twarz, a jego małe oczy, osadzone głęboko i wyglądające ostrożnie z oczodołów, pozbawione były życia. Chuchnął na Sherry piwnym oddechem i zabrał ze sobą Elsie. Najwyraźniej on i córka jedli śniadanie w kuchni, i pewnie z większym apetytem. W jadalni tosty pani Peabody rozmiękły, bo upiekła je, jeszcze zanim zjawili się chętni, i trzymała pod przykrywką. Kawa była słaba. Towarzystwo nieznajomych sprawiało, że Sherry czuła się jak przed jakimś egzaminem, choć nie miała pojęcia, co trzeba zrobić, żeby zdać lub oblać. Miała ciężką noc. Nieważne. To wszystko musi wystarczyć.

W szpitalu dowiedziała się, że Johnny jest błądy i niespokojny, i to ją zmartwiło.

Och! – westchnęła Sherry do adwokata tego popołudnia. – Jaki to szok, kiedy człowiek musi zatrzymać się na chwilę i zsumować to, co w swoim mniemaniu posiadał. Zdaje się, że wszystko jakoś umyka.

Allen Jordan, adwokat, nie był ani młody, ani stary. Nosił okulary bez oprawek i robił wrażenie bardzo spokojnego i uważnego. Omawiali kwestię majątku. Ubrania i osobiste rzeczy Sherry? Tak, Sherry zabrała tyle, ile była w stanie unieść, i wszystko, co warte było

wyniesienia. Jeśli chodzi o dom, był tylko wynajmowany. Samochód najlepiej zostawić tam, gdzie stoi. W porównaniu z wartością odsprzedaży naprawę nie warto było płacić za jego naprawę. Meble odda się któregoś dnia do sklepu z artykułami używanymi, bo nie warto płacić za ich przechowywanie... Czy jest coś, co Sherry chce zatrzymać, na przykład prezenty ślubne? Sherry powiedziała mu, że takiego ślubu nie mieli. I nie zamierzała taszczyć pościeli, ręczników i naczyń kuchennych aż do Nowego Jorku.

Co do pieniędzy w banku, pan Jordan oświadczył, że zanim będzie można je tknąć, konieczne jest ustalenie umowy majątkowej. Skontaktuje się z drugą stroną. Zapyta w jej imieniu i jest pewien, że ona dostanie wszystkie pieniądze. To byłoby normalne.

Czoło Sherry rozchmurzyło się. – No, to teraz już wiem, skąd się bierze pańskie honorarium.

Pan Jordan uśmiechnął się i odparł, że wszystko jakoś się ułoży. Czy Sherry będzie ubiegać się o alimenty?

Sherry powiedziała, że nie wyobraża sobie, by Ward był w stanie je płacić. A nawet gdyby ponosił odpowiedzialność za utrzymanie dziecka, to jak miałby płacić?

– To już jego problem – odrzekł adwokat.

– Co pan obstawia jako moją własność? – spytała ze swoim szelmowskim uśmiechem. Czowała się już lepiej. Wreszcie robiła coś. Zaczynała porządkować swoje życie. Oczywiście dla niej było, że jej największym problemem będą pieniądze. – Mam tyle, że na jakiś czas starczy mi na życie – powiedziała. – Nie wiem tylko, jak długo utrzymam za to Johnny'ego. Co najmniej przez trzy tygodnie. A ubezpieczenie nie pokryje leczenia szpitalnego. Nie wiem nawet, ile mnie to wyniesie. A potem, jeśli nie będę mogła od razu zabrać Johnny'ego w podróż, będę musiała znaleźć jakieś lokum dla niego i dla siebie. A kiedy zabiorę go z powrotem na wschód, trzeba będzie opłacić lot. Chciałabym wiedzieć, na co mogę liczyć. Kiedy to wszystko się rozstrzygnie?

– Co do majątku możemy umówić się natychmiast – odpowiedział jej. – Jednak wiele spraw wymaga czasu. Wniesiemy o możliwie najszybszy termin przesłuchania i uargumentujemy nasz pośpiech. A kiedy zapadnie wyrok wstępny i opieka zostanie przyznana...

– Z tym nie może być żadnych problemów, prawda? – Sherry utkwiała spojrzenie w jego twarzy, zabiegając o jego mądrość.

– Dlaczego pani pyta? – dociekał.

Powiedziała mu, że jej grożono. Nie można tego inaczej określić.

– Rozumie pan, ojciec Warda zawsze był moim wrogiem – wyjaśniła.

– Ja byłbym nieco ostrożny, pani Reynard.

– Wiem – odparła. – Och, wiem. Tak *naprawdę* nikt nigdy nie jest prześladowany. To zawsze tylko wymysł.

– Taki panuje przesąd – odparł, a ona podziękowała mu spojrzeniem. Wspaniale było móc siedzieć tu i mówić to, co się chce, do inteligentnego i wyrozumiałego mężczyzny.

– Ja też nie mogłam tego pojąć – wyznała mu. – Ward uciekł z domu, jeszcze zanim go poznałam. Mam na myśli to, że wyleciał ze studiów. I pojechał do Nowego Jorku sam, na własną rękę. Chciał wyzwolić się spod presji, czy coś w tym stylu. Ale oni byli wściekli jak osy. Jego ojciec, oczywiście, uznał, że jeśli odetnie dopływ gotówki, Ward będzie zmuszony przybiec z powrotem. Ale Ward tego nie zrobił. Przynajmniej nie wtedy. Kiedy poznałam go tam, włóczył się i mieszkał w brudnej, starej norze razem z kilkoma zupełnie odlotowymi typami. Widzi pan, ja też tułałam się sama po Nowym Jorku. Ale pracę miałam. Chociaż nigdy nie przechodziłam żadnych kursów. A na studiach byłam tylko przez półtora roku. To była miejscowa mała uczelnia w moim rodzinnym mieście. Ward mówi, że to sławna szkoła. – Westchnęła. – Ale rodzice mi umarli. Matka chorowała już od dłuższego czasu, aż w końcu zmarła, a mój tato... chyba nagle zrozumiał, jak bardzo jest wyczerpany. Bo od razu się rozchorował. – Dawny smutek pojawiał się i znikał. – Tak więc podążyłam ku światłom wielkiego miasta – ciągnęła. – Obsługiwałam stoliki, kiedy poznałam Warda na tym... chyba można to nazwać przyjęciem. W każdym razie było to w domu u znajomej mojej koleżanki. I...

Nie, bez względu na całą tę uprzejmość tutaj, Sherry nie będzie wchodzić w szczegóły tego, jak ze sobą flirtowali, zaczynając od końca, po nowoczesnemu. Najpierw idzie się do łóżka. Dopiero potem przychodzi zainteresowanie.

– Trzy miesiące później najzwyczajniej pobraliśmy się – kontynuowała więc. – W Ratuszu. A wtedy jego staruszkowie prawie dostali szału.

Nie powiedziała na głos, że Reynardowie zawsze zachowywali się tak, jak gdyby był to ślub z przymusu, chociaż każdy, kto umiał liczyć choćby do dziewięciu, wiedział na pewno, że tak nie było.

– Niedługo potem oboje przyjechali do miasta, rozwścieczeni – mówiła dalej. – Co za podła kobieta odebrała im ich skarb? – Sherry pociągnęła nosem i wyjęła chustkę. Nie płakała. Nie chciało się jej płakać. Była jednak przygnębiona. – Ward przeprowadził się do mnie. Było tam strasznie ciasno, to prawda, a najbliższe sąsiedztwo nie przypominało Park Avenue. Ale było niezłe. Nie wydaje mi się, żeby jego starzy wiedzieli, jak naprawdę żyją ludzie. Myślą chyba, że jeśli ktoś nie jest bogaty, to musi być głupi albo na swój sposób

*gorszy*, wie pan? Mój ojciec dobrze zarabiał, ale choroba matki... Cieszył się, że mógł coś dać. A ja... Przepraszam. – Skorzystała z chustki i opanowała się. – No, a Ward miał stolik do kart i swoją maszynę do pisania, i pracował w pokoju całymi dniami, kiedy ja byłam w pracy. Nie uważaliśmy, żeby było aż tak strasznie...

Ale *oni* tak. Mieliśmy fotel popruty na oparciu. A pani Reynard chyba myślała, że z tego rozdartego miejsca wyleżą szczury. Nie było brudne. Powinnam była to zszyć, ale człowiek przyzwyczaja się do takich rzeczy. No więc chciała kupić fotele. Ja byłam chętna. Czemu nie? Ale widziałam, że Wardowi bardzo nie spodobał się ten pomysł. I nie pozwolił jej. Miejsca zamieszkania też nie zmieniliśmy...

I jedna *niedobra* rzecz: akurat kiedy przyjechali, ktoś namówił mnie, żebym spróbowała wystąpić w klubie nocnym, gdzie mieli zespół. Umiem trochę tańczyć. Zawsze zresztą uwielbiałam tańczyć. Moja znajoma nagadała mi, że łatwo jest wkręcić się na blef. Ha! Gdybym mogła, byłyby z tego wielkie pieniądze, rozumie pan? Ale to już było za wiele, jeśli chodzi o Reynardów. Od razu byłam zerem. Kompletnym zerem. Dlaczego, panie Jordan? Oni nie wiedzą *zupełnie nic* o tego typu pracy.

– Upředzenia – skwitował beztrosko.

– Na pewno mieli ich sporo – przyznała poważnie Sherry. – Chociaż głowę dam, że nie chcieli, aby Ward *w ogóle* się żenił. A skoro byłam tancerką klubową, to oczywiście we mnie tkwiło całe zło. Byłam typową notoryczną uwodzicielką i cała wina była po mojej stronie. Czy mogę prosić o papierosa, panie Jordan?

– Oczywiście. Przepraszam.

– Nie palę dużo. Nie stać mnie na to. Ale przy tej sprawie... denerwuję się.

– Tak, to się zdarza – powiedział – u wielu ludzi.

Zapalił jej papierosa. Sherry bardzo go lubiła.

– Na pewno odbyli z Wardem jakąś poważną rozmowę. Nie powiedział mi, ale jestem całkowicie przekonana, że nalegali, aby mnie rzucił, ale on nie chciał. No więc jego starszkwowie dali sobie spokój i wyjechali. Rzecz jasna, nie dostał od nich ani grosza. Niegrzeczny chłopczyk nie zasługuje na słodycze. Ale ja się tym nie przejmowałam. Kiedy nie mogłam dostać się nigdzie na tancerkę klubową, wróciłam do kelnerstwa. Układało nam się do czasu, aż zaszłam w ciążę... Och, wie pan, Ward naprawdę bardzo *tego* chciał. Zrezygnował nawet z pisania, żeby się mną zająć. Naprawdę. Dostał pracę ekspedienta w sklepie z odzieżą męską. Moja ciąża dość szybko zaczęła być widoczna, więc zostawałam w domu i przez jakiś czas układało nam się dobrze. Wtedy Ward zachorował. I to całkiem poważnie.



– A na co zachorował? – spytał adwokat subtelnym tonem.

– Wiem, co pan myśli – odparła. – Że to stres? Pewnie. Tak mi się wydaje. A oprócz tego wielu znajomych ciągle mówiło mu, że decydowanie się na dziecko jest okropnie banalne.

No więc napisał do swoich starych, bo musiał. Był tak chory, że nie był w stanie pracować, a ja w każdej chwili mogłam urodzić. Oni odpisali coś oficjalnie w listach, ale przysłali bilety. I wtedy właśnie przyjechaliśmy tutaj, do Los Angeles. Wprowadziliśmy się do ich wielkiego, ekskluzywnego domu i wszystko miało być pięknie. Ward miał trzech lekarzy. Naprawdę, policzyłam. Miał cały świat podany na tacy. A ja... tłukłam się z kąta w kąt i starałam się, żeby mój wielki brzuch nie wzbudzał odrazy ani skrępowania wśród ich znajomych i odpowiadałam jedynie: „O tak, prawda, że to cudownie?” i „O tak, jesteśmy *bardzo* szczęśliwi”.

I urodził się Johnny, a wtedy *ja* miałam wszystko. Chociaż nie, można chyba powiedzieć, że to Johnny miał wszystko. Od razu po wyjściu ze szpitala znalazłam się z powrotem w domu, czułam się świetnie i dopiero po kilku dniach zorientowałam się, że nie będzie mi dane zajmować się moim własnym dzieckiem. Wynajęli pielęgniarkę. *Ona* wiedziała wszystko: jak go karmić, jak go trzymać, żeby mu się odbiło, jak go przewijać, i tego typu rzeczy. A kiedy ja chciałam to robić, mówili: „Biedne, kochane maleństwo; przecież ty je zamęczysz”.

Można by pomyśleć – ciągnęła dalej – że odpoczywałam sobie i całą brudną robotę zostawiałam pielęgniarce, a ja tylko jadłam, piłam, wylegiwałam i malowałam paznokcie. – Sherry opuściła głowę.

– Zdaje mi się, że to nie w pani stylu – odezwał się Jordan współczująco.

– Nie. Ale przede wszystkim chodziło o Warda. Już wtedy jego matka odkryła, że zostanie wielkim pisarzem. Więc urządziła mu gabinet, wyłącznie dla niego. Nikt nie mógł tam wchodzić. Oprócz *niej*, oczywiście. Ale nikt inny. Ani na przykład ja. Matka kupiła mu elektryczną maszynę do pisania i luksusową lampę. I pilnowała, żeby pod jego drzwiami wszyscy chodzili na palcach...

A ja widziałam, co zaczęło się dziać z Wardem. Spodobało mu się wychodzenie z domu; nie było go całymi godzinami. Mówił, że prowadzi obserwacje i badania. Może jego matka mu wierzyła. Ale raz na jakiś czas zdarzyło mi się wyjść razem z nim i zdałam sobie sprawę z tego, że znów trzyma się z takimi postrzelonymi typami. Nie robił zupełnie nic, jeśli chodzi o pracę...

Pan to pewnie czyta o tym na okrągło. Mówi się, że człowiek powinien się odnaleźć. A

ja chyba jestem tępa, bo nie rozumiem. Ale wydaje mi się, że zawsze jestem pogodzona ze sobą, bez względu na to, dokąd zmierzam. – Spojrzała na niego bojaźliwie.

Adwokat uśmiechnął się do niej.

– Ale wie pan – dodała poważnie – Reynardowie zastawili pułapkę. To jakby szantaż. Można mieć wszystko, czego tylko się zapragnie, i w najlepszym wydaniu, ALE... trzeba robić to, co oni, i postępować tak, jak oni uważają za stosowne.

Widzi pan, Ward musi siedzieć w tym pięknym prywatnym gabinecie i pisać wspaniałą literaturę. A jeśli on tak nie może, jego matka nie pojmuje, dlaczego. Bo w czym problem? Ma idealne warunki! I nic nie jest w stanie przemówić jej do rozsądku, że być może ona nie wie, jak się robi takie rzeczy. Och, biedny Ward.

Pomyślałam wtedy: no, trzeba się stąd wynosić. I trzeba też zabrać stąd Johnny'ego. Bo po co Johnny miałby wychowywać się w takiej pułapce?

No i w końcu... Musiałam, rzecz jasna, nieźle zawalczyć! Ale wreszcie udało mi się namówić Warda, żeby się zgodził. I wtedy dopiero zaczęły się awantury!

Dlaczego, do diaska, musieliśmy zrezygnować z wygodnego, przyzwoitego życia? Oczywiście, to *moja* wina. *Ja* chcę zejść na niziny społeczne. *Ja* nie mogę znieść kulturalnych ludzi. *Ja* nie umiem zachować się w ich towarzystwie. Jestem taka *impertynencka*. (Co to znaczy, panie Jordan? Bo oni tak się wyrazili.) Aha, i że jestem niechlujna. Czystość i tym podobne przygnębiają mnie, mówili. I że zdeprawowałam Warda. *Że ja* lubię mieszkać w stajni Augiasza (co to znaczy, panie Jordan?), w byle spelunie. Bo, mówili, (uwaga!), że ja nie lubię dyscypliny i odpowiedzialności...

Im więcej mówili, tym gorzej się działo, bo doprowadzali Warda do obłędu. Musiał się za mną wstawiać. Ale i tak chyba przerażało go to wszystko, co o mnie gadali. I wcale nie udawali. Oni w to *wierzyli*.

No i dlatego pewnego dnia wzięłam Johnny'ego pod pachę i wyszłam. A Ward, oczywiście, przyszedł za mną. Płakał. – Sherry popatrzyła na przycisk do papieru. – Ale przyszedł – dodała – i to *ja* byłam winowajczynią. Bo znów wyszło na jaw całe moje zło...

Uśmiechnęła się blado.

– Wymyśliłam sposób, żeby zarobić na czynsz i nadal opiekować się dzieckiem przez większość czasu. A Ward wrócił do pisania. Mówiliśmy sobie, że wszystko będzie dokładnie tak, jak przedtem. Ale nie było...

Nie miał już wielkich nadziei. Widocznie w głowie utkwilo mu przekonanie, że wszystko spała, i to w „idealnych warunkach”. No i te ich opinie na mój temat? Nie mógł przecież wymazać tego ze świadomości, prawda? To byli jego mamusia i tatuś. *Pewne* rzeczy,

które powiedzieli... na pewno zastanawiał się, czy było w tym *trochę* prawdy, nie? A więc był w pułapce, a na dodatek w podwójnej.

A najgorsze było to, że ja już nie byłam w stanie mu pomóc. Nawet jak próbowałam rozmawiać o jego książkach, zawsze okazywało się, że jestem niewykształcona. Pochodzę ze wsi. Nigdy nie byłam intelektualistką. Taka jest prawda. Nie sądzę też, żebym miała najbystrzejszy umysł na świecie. Jedyne, co mogłam zrobić, to trzymać się mocno na własnych nogach. – Opadła na krzesło. – Już dawno powinnam była przestać się oszukiwać. Odkładałam pieniądze. Myślałam, że damy sobie radę, jeśli tylko uda nam się wrócić na wschód. Ale rozumie pan... Lepiej będzie, jak panu powiem... Jestem święcie przekonana, panie Jordan – przełknęła ślinę – że Ward wpakował się w jakieś narkotyki, które teraz wszyscy uznają za takie świetne.

– Rozumiem.

– Jestem prawie pewna, że to było powodem jego zachowania wczoraj rano. Widziałam już kiedyś coś podobnego. Było z nim bardzo kiepsko. To się chyba nazywa fatalny odlot? O rany, to naprawdę musi być fatalne! Kiedyś była pewna dziewczyna; trzymała się z jego znajomymi. Miała taki odjazd, że musieli oddać ją do zakładu. Wie pan, on nie skrzywdziłby Johnny'ego. To nie jest zły, podły brutal. Kocha Johnny'ego. Wiem o tym. I mnie też kocha. Ale on *nie widział* nas. Przywidziały mu się węże czy coś takiego...

I właśnie dlatego trzeba to już skończyć. Sama mogłabym zaryzykować, ale z dzieckiem nie mogę. To naprawdę ciężka sprawa. Proszę posłuchać, być może jestem słaba i głupia jak inni na tym świecie, ale nie w tej sprawie. I rozumie pan, dlaczego w żadnym wypadku nie mogę pozwolić, żeby Ward zatrzymał Johnny'ego? Rozumie pan?

– Nie sądzę, żeby istniało ryzyko – odrzekł adwokat – nieprzyznania opieki nad dzieckiem pani. Zazwyczaj opiekę przyznaje się matce, pani Reynard.

– Nawet jeśli oni mają tyle pieniędzy?

– Nie wolno pani tak bardzo przejmować się pieniędzmi – skarcił ją. Następnie poinformował, że jest samochodem i że wychodzi z biura. Spytał, czy podwieźć ją na kwaterę. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Ojej, wspaniale – westchnęła. – Przyznam, że miałam już lepsze dni niż te dwa ostatnie. – Obracała pierścionek na palcu. Oczywiście! W najgorszym wypadku, jak mawiają ludzie, zawsze może sprzedać swój diament.

Patrzcie, nadchodzi kochanek – oznajmiła pani Kimberly.

– O! – odezwała się pani Link. – A Madame widziała ich już ze spizarni.

– Za stary – stwierdziła pani Moran. – Może to mąż.

Zanim Sherry w odruchu serdeczności poprosiła Allena Jordana, żeby wszedł na minutkę i zobaczył, gdzie się zatrzymała, pojawiła się nagle pani Peabody i stanęła wymownie, z przekrzywioną głową, a jej dziwne oczy przyglądały im się bacznie.

Sherry promieniała od uśmiechów. Czuła się zadowolona i odprężona w towarzystwie tego mężczyzny. Wysłuchał jej, zrozumiał ją, trzymał jej stronę. W tym momencie Sherry uwielbiała go. Jednak Allen Jordan miał doskonale wyszkolone wyczucie atmosfery.

– Bardzo mi miło – zwrócił się zaraz do pani Peabody. – Jestem Allen Jordan, adwokat pani Reynard.

W wyrazie twarzy właścicielki zaszła drobna zmiana.

– A więc pani Reynard – powiedział adwokat chłodno i oficjalnie – jeśli ja lub ktoś z moich pracowników możemy coś dla pani zrobić, proszę dzwonić. I jeszcze... no tak... byłbym zapomniał. Potrzebny mi numer telefonu tego pensjonatu. Tak, widzę, gdzie jest.

Błyskawicznie spisał numer z automatu telefonicznego na ścianie przy wejściu, po czym szybko wyszedł.

W samochodzie Jordan zastanawiał się, czy nie powinien natychmiast do niej oddzwonić i powiedzieć, że jego zdaniem ulokowała się w cholernie dziwnym miejscu. Ale potem pomyślał: nie. Tajemniczy telefon od mężczyzny?! Przecież to tylko podgrzeje atmosferę.

Będzie musiał zaufać Sherry, że zorientuje się w końcu sama, w czym rzecz.

A Sherry była w swoim pokoju i właśnie wzięła szczotkę do włosów, kiedy nagle dotarło do niej, o co tu chodzi. Zabawne. Wczoraj doktor Bianchi pomknął żwawo schodami na górę. Dziś rano ten znajomy aktor nie miał śmiałości na nią spojrzeć. A teraz pan Jordan ukrócił nagle swobodny ton ich rozmowy i udawał, że przyszedł tylko po numer telefonu, wyłącznie w interesach.

O! Cóż za uprzejmi mężczyźni! Wiedziała już, że jest pod ochroną. (Sherry, w gruncie rzeczy, miała z mężczyznami dobre układy, dlatego między innymi wołała koktajlbary od herbaciarni.) Teraz zastanawiały ją zasady i wyraźne obawy pani Peabody. Przypomniała sobie, jak młody lekarz mówił jej, że właścicielka hołduje przestarzałym poglądom.

No tak. A więc seks to zło, a na dodatek zło wszechmocne, i dla właścicielki z zezem rozbieżnym w jednym oku strach przed złem to jedyne wyjście? Bo inaczej po co, na przykład, nadaliby jej przezwisko Madame?

Sherry uśmiechnęła się sama do siebie i zorientowała się, w czym rzecz. No dobrze –

pomyślała, odzyskując wrodzony optymizm – a więc będę pod przyzwoitą opieką; to chyba nieźle, prawda? Szczególnie teraz?

Tak czy inaczej, po krótkiej chwili znalazła się w salonie i szła w kierunku starszych pań przy karcianym stole.

– Czy nie będę przeszkadzać – spytała – jeżeli czasem tutaj posiedzę? – I zanim zdążyły odpowiedzieć, dodała: – O, panie mają na wszystko świetny widok, prawda? Mój mały leży na czwartym piętrze. Ciekawe, gdzie są jego okna?

– Jak on się czuje? – spytała pani Link przyjaznym tonem.

– O, nieźle, ale to nic przyjemnego.

– A czy tatuś już go odwiedził? – dociekała pani Kimberly.

– Jego ojciec trochę choruje – odparła Sherry.

– I też leży w szpitalu, tak? – dopytywała się trzecia, która według Sherry była najbardziej przebiegła z całego towarzystwa, jednakże wszystkie były dość przebiegłe, musiała to przyznać, więc postanowiła powiedzieć coś więcej.

– Nie, pani Moran – odparła. – Jest u swoich rodziców. Występuję przeciwko niemu o rozwód. W co panie grają? Aha, już wiem.

– Grywa pani, pani Reynard? – spytała łagodnie pani Moran. Sherry ucieszyła się, że prawidłowo zapamiętała jej nazwisko.

– Obawiam się, że słabo się na tym znam – odrzekła. – A to chyba naprawdę jakaś cwana gierka, prawda?

– Zabija czas – wyjaśniła pani Link beztrąsko.

– A w kartach jest los – dodała pani Kimberly.

– Oczywiście, że może pani tu sobie siedzieć, kochana – powiedziała jeszcze pani Moran. – W jednym malutkim pokoiku niekiedy doskwiera samotność.

– Tak, to prawda – odparła Sherry z wdzięcznością.

– A więc nie zna pani naszego doktora Bianchi? – spytała wtedy pani Kimberly, drążąc temat.

Sherry im wyjaśniła. Sama nie mogła poskromić swej ciekawości co do tego młodego mężczyzny. On nie wyglądał na takiego, który by tu zamieszkał.

Pani Link odpowiedziała na jej nie zadane pytania. – Sądzę – odezwała się swoim ospałym głosem – że doktor Bianchi jest synem dawnej przyjaciółki pani Peabody, i to właśnie dlatego znalazł się tutaj. A pan Archer to, oczywiście, opłacany wygnaniec. To takie

przestarzałe powiedzenie.

– Słyszałam – odparła Sherry. – I *zastanawiałam się*, czy on sam nie jest staroświecki.

Wyblakłe brwi pani Link poruszyły się. – Ja bym powiedziała, że raczej jest – rzekła przeciągle. – A wy, dziewczęta?

Sherry starała się zrozumieć wyrażenie „opłacany wygnaniec”. Czy nie oznaczało ono czasem, że jego rodzina płaci mu za to, żeby trzymał się z dala od domu? Aha! Nie skrywała doznanego olśnienia i uśmiechnęła się do pani Link.

– Madame... Och, przepraszam... Pani Peabody – odezwała się pani Kimberly – uważa, że on ma bardzo piękny głos.

– Bo ma, prawda? – odparła poważnym tonem Sherry.

Pani Moran kiwnęła ostentacyjnie głową, trzy razy.

Sherry doznała dziwnego uczucia, że właśnie zdała egzamin. Odezwała się trochę nieśmiało: – Nie powinnam paniom przeszkadzać. – Usunęła się w inne miejsce i usiadła.

Parki zaczęły grać z ożywieniem, teatralnie szastając kartami i wydając krótkie okrzyki.

Sherry zastanawiała się, czy nie powinna im nazmyślać i przekabacić je na swoją stronę. Tak naprawdę powinna zająć się teraz pisaniem listów. Jednak widocznie chciała znaleźć się w sytuacji, w której musi czekać do czasu wizyty w szpitalu, do ostatnich dziś odwiedzin u Johnny’ego, a potem zjeść kolację. Po co chciała zapoznać nowych ludzi? A czemu nie, do licha? W jej malutkim pokoiku, tak zimnym od bieli wszechobecnego światła, niewątpliwie było samotnie – bardzo ponuro i samotnie. Teraz stało się dla niej jasne, że zbyt długo pracowała i przejmowała się, zanadto pogrążona w swoich problemach. Już dawno temu powinna była poszukać sobie w tym wielkim mieście jakichś wiernych przyjaciół.

Westchnęła, podparła dłonią policzek i zaczęła zastanawiać się, o ile pieniędzy poprosić. Jakiej najmniejszej sumy potrzebuje, jaka jest największa suma, o której pożyczanie odważy się poprosić swoich dawnych przyjaciół z wschodnich stanów, i jaka jest średnia tych dwóch sum?

Tak więc łamała sobie swoją płową głowę, siedząc na wyblakłym, niebieskim krześle przez jakieś dwadzieścia minut. A kiedy westchnęła i podniosła się, starsze panie wyraziły głęboką nadzieję, że jej mały synek czuje się już o wiele lepiej. Sherry podziękowała im.

Patrzyły, jak przechodzi przez ulicę i idzie w kierunku wejścia do szpitala. – Jest młoda – odezwała się pani Moran przebacającym tonem.

– Wydaje się taka zagubiona – dodała pani Link.

– Wyjdzie ponownie za mąż – rzekła z werwą pani Kimberly. – Kto rozda je?

## Rozdział 6

Tego wieczoru, około siódmej, Cliff Storm wrócił do swego mieszkania i usiadł, gotów gołnąć jednego i chrzanić obiad.

Był piekielnie zmęczony. Miał za sobą długi dzień. A w dodatku niczego nie zyskał prócz wielu niejasnych, skłębionych myśli w głowie. Zastanawiał się, czy Edward Reynard oceni jego starania na piątkę, ale na chłodno uznał, że nie. Zdał sobie sprawę, że on, Cliff Storm, został podstępnie skłoniony do uwierzenia, że Reynard wiedział, o czym mówi. A przynajmniej Cliff uznał to podejrzenie za wielce prawdopodobne. Sam nie był już całkiem pewien.

Rano zaczął szukać kolejno według listy, najpierw w dzielnicy, gdzie młodzi Reynardowie wynajmowali mały, przeciętny bungalow. Nie znalazł tam nic szczególnie istotnego. Większość sąsiadów tylko przyglądała się, nic nie wiedzieli, nic ich nie obchodziło, niczym się nie przejmowali ani nie chcieli się angażować.

Pani Ivy z sąsiedniego domu chętna była do zrelacjonowania dawnemu koledze Warda wczorajszych porannych wydarzeń w oparciu o to, co wiedziała. Ochoczo przyjęła też pochwałę za swą postawę „miłosiernej Samarytanki”. Jednak kiedy Cliff zaczął zadawać dodatkowe pytania, na przykład o to, czy kiedy indziej słyszała krzyki i głośne awantury, pani Ivy zaczęła zamykać się w sobie. Nie. Nigdy. Nie przypomina sobie. Tak naprawdę nie zna tych ludzi. Zajrzała do ich domu tylko raz czy dwa razy. Nie, to byli spokojni sąsiedzi.

– Wie pani, że oni się rozwodzą – oznajmił jej Cliff. – Ward nie jest zbyt szczęśliwy... a właściwie jest bardzo nieszczęśliwy. Zastanawiam się tylko... Przypuszczam, że trzecie osoby niewiele mogą tu pomóc. A z pani to niewątpliwie światowa kobieta. – (Cliff był pewien, że żadna kobieta na świecie temu nie zaprzeczy. Było to tak samo nieprawdopodobne, jak zakwestionowanie jego poczucia humoru przez jakąkolwiek żyjącą osobę.) – Czy sądzi pani, że jest inny mężczyzna? – zapytał ją.

Pani Ivy zeszywniała. – Naprawdę nic o tym nie wiem – rzekła.

– Czy raczej nie chce pani powiedzieć? – zasugerował, uśmiechając się na swój sposób ciepło i z podziwem. – Rozumiem. Pani Reynard pracowała wieczorami. Zdaje się, że późno wracała do domu?

Pani Ivy odparła, że pani Reynard regularnie pojawiała się i znikwała. Możliwe, że *pan* Reynard miał bardziej stałe godziny pracy. A przynajmniej częściej chyba przesiadywał z dzieckiem i oszczędzał na opiekunce. – Ale to nie moja sprawa – podsumowała uczciwie.

Wyczuł, że rodzi się w niej zdziwienie. Dlaczego jego to obchodzi?

– To znaczy – odezwał się – że pani Reynard zostawiała dziecko pod opieką obcych?

Ale pani Ivy odrzekła, że stałą opiekunką była bardzo miła starsza pani, emerytowana nauczycielka, która mieszkała na samym końcu ulicy, odpowiedzialna osoba. Przynajmniej z tego, co wiadomo było pani Ivy. Wyraźnie wycofywała się, poskramiając język.

Cliff przeanalizował ją jako postać. W jakiej roli mógłby ją obsadzić? Płochliwa pani po czterdziestce, zaszyta w swej kryjówce, nieśmiała, która nie powie złego słowa dla uniknięcia ryzyka, jeśli nie dla zasady. Później jednak, kiedy miał już gotową fabułę, wyczuł, że zamierzona powściągliwość tej kobiety może zdradzać oznaki tego, że wie o jakichś przerażających rzeczach, tak potwornych, że nawet nie przeszłyby przez jej pobożne usta.

Podsumował więc, że cieszy go to, co usłyszał, bo krążą różne plotki. I nie było tu żadnych głośnych imprez? Żadnego pijaństwa? Żadnych kręcących się tu tajemniczych mężczyzn?

– Z tego, co *wiem*, nie było – powiedziała, a on dostrzegł, jak zaciska usta i odwraca wzrok.

Podniósł się do wyjścia, dodając, że to cudowna rzecz mieć dobrych sąsiadów i skoro plotki okazały się fałszywe, Sherry Reynard potrzebny będzie ktoś taki jak pani Ivy, żeby stanąć po jej stronie.

Zauważył, jak pocziwa kobieta wpada w panikę. Zapewniała, że naprawdę *nic* o nich nie wie.

Więc Cliff ruszył ulicą w poszukiwaniu opiekunki, dumny ze swych umiejętności. Może i pani Ivy na nic nie przyda się Reynardowi, ale zdaniem Cliffa Sherry też nie będzie miała z niej wielkiego pożytku.

Pani Norene Erskine miała sześćdziesiąt parę lat i przypominała wróbla. No tak, ta nieszczęsna Sherry Reynard. Panna Erskine była w szoku na wieść o małym, kochanym chłopczyku. Czy pan Storm wie, jak on się czuje? Panna Erskine zamierzała wybrać się do niego, ale uznała, że mądrzej będzie jeszcze z tym poczekać.

Cliff zagrał rolę osoby trzeciej, przyjaźnie nastawionej do obu stron, badającej sprawę z cichą nadzieją doprowadzenia do zgody.

Panna Erskine również nie pochwałała rozvodu. O, widziała już dzieci z rozbitych rodzin. Trajkotała, przedstawiając Cliffowi wizerunek pracującej matki, która punktualnie przychodziła do domu, ledwo łapiąc oddech, żeby upewnić się, czy jej dziecko jest całe i zdrowe. Oraz wizerunek nieodpowiedzialnego ojca, który nie zawsze spędzał wieczory w domu, a jak wychodził, to nie zawsze wracał przed północą.



Niekiedy, jak mówiła panna Erskine, dzwonili do niej, żeby wieczorem przyszła do ich domu, nawet cztery razy w tygodniu. Oczywiście, najczęściej były to dwa, trzy wieczory. O, potrafi zrozumieć, że gdyby ojciec zmuszony był siedzieć w domu co wieczór przez cały tydzień, wcale nie służyłoby to jego pracy. Podziwia artystów i pisarzy. Jednakże duże wrażenie wywiera na niej determinacja pani Reynard, żeby być z dzieckiem w ciągu dnia. Tyle kobiet dziś pracuje i zostawia swoje dzieci, które uczą się Bóg wie czego od kogoś, kto na pewno... hm... reprezentuje niezbyt wysoki poziom kultury. Oczywiście, panna Erskine nie może odżalować straconej pracy, ale mimo wszystko ma nadzieję, że kochana pani Reynard znów będzie szczęśliwa.

Miękka istota – pomyślał Cliff. Boże, niektórzy ludzie to mają życie! Jak ją wykorzystać? Coś wstrząsnęło jego umysłem, ale minęło, zanim zdążył to sprecyzować.

– A przy okazji – odezwał się – czy pani Reynard była pani winna jakieś pieniądze?

– Hm, tylko dziewięć dolarów – odrzekła panna Erskine. – Biedaczka, nie miała nawet czasu o mnie pomyśleć. Ale to naprawdę bez znaczenia.

– Nie powinna pani się martwić – pouczył ją Cliff. – Wie pani przecież, że Reynardowie należą do bogatych? Jeśli Sherry nie spłaci swoich długów, oni to zrobią.

– Naprawdę? – zdziwiła się panna Erskine, a jej głowa poruszyła się gwałtownie jak u ptaka. Jej ogromne oczy, powiększone przez okulary, popatrzyły wrogo.

Przyjął więc inną taktykę.

– Oni są bardzo przejęci, naprawdę strasznie przejęci z powodu tego chłopczyka – oznajmił jej. – Ale Sherry jest... hm... uparta. Postanowiła chyba, że nie przyjmie od nich ani grosza. Nawet dla dobra dziecka. Marny sposób na zemstę, nie sądzi pani?

– To kochany malec, taki słodki chłopczyk.

– Mam nadzieję – odrzekł Cliff – że nie będzie pani pobłażliwa, jeśli ona poprosi panią o pieniądze na życie?

– O mój Boże – westchnęła panna Erskine, chichocząc nerwowo. – Zaliczam tydzień do udanych, jeśli dam radę powiązać koniec z końcem z pięćdziesięcioma centami w kieszeni!

– No cóż – odpowiedział. – Mamy do czynienia z rozgoryczeniem. A tacy rozgoryczeni ludzie są w stanie prosić o różne zaskakujące przysługi, nie sądzi pani?

– Chyba tak... – odparła panna Erskine z zażawionymi oczyma. – Tak często człowiek chciałby być najzwyczajniej lekkomyślny w swej hojności.

– Wiem, że ma pani dla niej ogromną sympatię – rzekł współczującym tonem. – Ale mimo wszystko, skoro Reynardowie są zamożni i chętni do pomocy, to nie w porządku

zwracać się z prośbą do kogoś innego. Ona może dostać tyle pieniędzy, ile jej potrzeba. Chyba że nadal będzie się unosić... Czym właściwie...? Dumą?

– Duma bywa dość kosztowna – stwierdziła panna Erskine ponuro. – Mnie jakoś nie było na nią stać.

Cliff wziął numer telefonu do miejsca pracy Sherry, który panna Erskine, rzecz jasna, zachowała na wypadek, gdyby dziecko miało się rozchorować i tym podobne.

– Ona jest bardzo przywiązana do Johnny’ego, wie pan – oznajmiła łzawym tonem panna Erskine. – To takie śliczne dziecko. Miała zdolnego męża. Zdawało się, że byli bardzo zżyci. Nie rozumiem...

– I dlaczego to im nie wystarczało? – zastanawiał się Cliff, sprytnie udając smutek. – Mieli wszystko. Zdaje mi się, że ludzie bywają zachłanni na różne dziwne sposoby.

Po wyjściu Cliff uznał, że panna Erskine nie uda się z wizytą do szpitala. Jednak musiał przyznać, że niewiele pomogła w jego sprawie.

W Klubie rozmawiał z mężczyzną nazwiskiem Herman Dodd. – Jasne, że szkoda mi było naszej Sherry – powiedział mężczyzna. – To cholernie dobra dziewczyna. Żadnych przekrętów. Żadnych głupstw. Wykonywała swoją pracę. Pogodna, a przy tym atrakcyjna. Mam nadzieję, że wróci, kiedy jej syn wyzdrowieje.

Cliff odparł poważnym tonem, iż obawia się, że nie. Spytał o godziny pracy Sherry oraz o to, czy zdarzało się jej... hm... zostawać dłużej.

– Niech pan posłucha – odrzekł Dodd. – Kiedy dziewczyny kończą, mają już dosyć. Są zmęczone. Większość z nich to mężatki, rozumie pan, i chcą wracać do domu, niech mi pan wierzy.

– A więc żadnych... hm... spotkań?

Dodd zjeżył się. Co też Cliff sobie myśli o prowadzonym przez niego klubie? I kim w ogóle jest ten Cliff? Z Towarzystwa Obrony Moralności?

Więc Cliff odparł spokojnie: – Pracuję dla rządu.

To spowodowało, że Dodd zamknął usta i gapił się tylko.

– Chciałbym wiedzieć – ciągnął Cliff – czy zauważył pan na przykład jakiegoś stałego klienta, który zawsze siada przy tym samym stoliku.

– Niech pan posłucha – odparł Dodd. – Oczywiście, że mam tu stałych klientów. Ale nic podobnego nie zauważyłem.

– I nigdy nie widział pan – dociekał Cliff, usiłując świdrować spojrzeniem – żeby coś

sobie przekazywano? Mam na myśli, z ręki do ręki?

– Nie – odrzekł Dodd. – Przykro mi – dodał.

– Jestem wdzięczny za pańską współpracę – powiedział Cliff, dobrze wiedząc, co to słowo oznacza w obecnych czasach. A oznaczało: rób to, co ci mówię. Współpracuj. W tym słowie nie ma już miejsca na uniki. – Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie teraz jest Sherry? – spytał.

Dodd rzeczywiście bardzo chciał „współpracować”. Dał Cliffowi adres i miał ogromną nadzieję, że *on sam* nie będzie już musiał nic mówić.

Cliff odszedł, rozmyślając o dziwnych zachowaniach ludzi, którzy „rządzą sami sobą”, a ich własny rząd napawa ich przerażeniem.

Tylko jak na razie czego się doszukał? Niczego.

Wytropił więc znajomych Warda: dwa nazwiska, które ojciec Warda znał i mu podał.

Okazało się, że gnieźdzą się wszyscy razem. Znalazł tych dwóch po nazwiskach, a także trzeciego, mieszkających w walącej się ruderze, w najbardziej ohydny miejscu na plaży. Po sąsiedzku mieszkały dwie kobiety, blisko związane z towarzystwem. Cliff miał przecucie, że lokatorzy tych kwater podzieleni byli według płci jedynie w teorii i że te „zwierzęta” niekoniecznie wiązały się w stałe pary.

Każdy spośród nich był niewątpliwie wyrzutkiem. Na hippisów byli za starzy, ale bez względu na to, że urodzili się o dziesięć lat za wcześnie, stanowili ich przekonywające podobieństwo. Ich pasją była sztuka wyrażania własnego, ja”, z domieszką zdrowego kultyzmu na boku. Każdy z nich twierdził, że jest w pewnym sensie artystą i wszyscy namiętnie gardzili rynkiem komercyjnym.

Znali Warda bardzo dobrze. Potencjalnie błyskotliwy, mówili. A przynajmniej typ poszukiwacza. To przykre, że choruje. Ale gdyby zgodnie z przeznaczeniem skierował się na właściwe fale życia, nie chorowałby. *Oni* nigdy nie chorowali. Ward niekiedy skłonny był wracać na złą drogę. Oto zła strona wychowania w nadmiernym dobrobycie. Nie był taki mądry jak oni, niezupełnie.

Co do jego żony, tak, poznali ją. Ale nieczęsto ją widywali. Taka jakaś prostacka, nie? Rzadko ją spotykali, bo brała udział w wyścigu szczurów. Wieczorem nie mogła przyjść, bo pracuje. W dzień nie mogła przyjść, bo zajmuje się bachorem. Szkoda życia, nie? Współczuli jej. Jasne, że gdyby nie była taką tępą nudziarą i w gruncie rzeczy tchórzem, to i ona mogłaby dzielić razem z nimi wyłącznie dobre strony życia, chociaż z tego, co im wiadomo, kompletnie brakuje jej kreatywności.

Cliff posłuchał tego i zaraz wyszedł. Niewiele się dowiedział. A sam odór z ich

mieszkań przyprawił go o lekkie mdłości.

Umknął do baru, w którym często bywał, szukając pocieszenia, i natknął się na znajomego prawnika. Po tym jak pociągnął go za język podczas popołudniowego rytuału, Cliff dowiedział się więcej o wielkości swojego zadania niż przedtem.

Tak więc, siedząc na krześle, dumął i doznawał przerażenia. Na co do tej pory naprowadziła go jego sumienność, oprócz ucieleśnienia wszelkich cnót klasy średniej? Co za potwór z tej Sherry; Cliff miał już do niej silną osobistą niechęć. Ależ ona musi być nieznośna! Tylko dlaczego, do diabła, Emily Reynard nie trawi jej? Ta dziewczyna z pewnością bardzo przypomina Emily. Ale nieważne. Wszystko, czego się o niej dotychczas dowiedział, to w istocie takie rzeczy, które jakiś starszy sędzia uzna za bardzo szlachetne i dobre.

Najwyraźniej jawnie się nie awanturowała, nie przesadzała z piciem, nie puszczała się, i co gorsza – nie zaniedbywała dziecka. No, no. Możliwe, że miała złe i pokrętne chęci i upodobania, które odkryć mógłby jedynie prywatny detektyw, obserwując ją na okrągło. Być może Edward Reynard wyczuł jakąś ukrytą przewrotność.

Ale skoro tak, to czemu nikt inny nie wyczuł? Cliff nie mógł (mimo iż próbował) przypomnieć sobie, żeby ktokolwiek z ludzi, z którymi dziś rozmawiał, choćby napomknął o tego typu rzeczach.

A jego zadaniem było doszukać się takich wskazówek. Cliff miał czujniki na wszelkie podobne sygnały. Powinien mieć. Wiązały się z nimi pieniądze.

Z niepokojem pomyślał, że zdecydowanie nie chce, aby ta sprawa wyszła na jaw. Nie, nie. Lepiej wygrać ten zakład przy najbliższej okazji. To znaczy, jeśli w ogóle można go wygrać.

W sumie można go wygrać, w taki czy inny sposób. Dość oczywiste zdawało się to, że najpewniejszą i najszybszą metodą będzie zastawienie jakiejś pułapki na tę kobietę. Co to Cliffa obchodzi, czy walka będzie kontynuowana w najbliższej przyszłości? Albo czy zaczną podejrzewać zasadzkę? On wygra nagrodę i będzie ją miał już w kieszeni, wraz z mnóstwem podpisanych dokumentów i tym podobnych rzeczy, i nikt nie będzie mógł mu tego odebrać.

Nie potrafił wymyślić na poczekaniu żadnego sposobu na wrobienie tego cnotliwego potwora. Uznał, że postąpi właściwie, jeśli spróbuje wykorzystać jej wyniosłość jako element spisku. Śliczny, drobny mankament.

Trzeba było pomyśleć o jeszcze jednej rzeczy. Miał nie dopuścić do tego, żeby wyjechała z dzieciakiem. Tylko jak mógł ją powstrzymać, nie mając jej na oku? No dobrze. Będzie musiał podejść bliżej. Zlekceważył blakającą się po jego głowie myśl o tym, że być

może trzeba stworzyć jakieś skandaliczne okoliczności dla niej i dla siebie jako współnika drugiej strony. Po pierwsze, brakowało mu wiary w skuteczność takiego skandalu po wszystkim, co już zaszło. Po drugie, oficjalnie był już dawnym przyjacielem Warda Reynarda i czekały go zobowiązania wobec jego ojca. Jakiś bystry gość natychmiast wywęszył tu konspirację, szczególnie jeśli Edward Reynard nie nauczy się, jak skrywać swoją fanatyczną wrogość.

Tylko skąd ona się bierze? Cliff dumiał. Zbyt silna jak na zwyczajny snobizm. Reynard senior na pewno nie wyczułby teraz u Cliffa osobistej niechęci do niedorzecznej cnotliwości synowej.

Ależ z tej Sherry kompletna frajerka, skoro harowała po to, żeby płacić rachunki Warda Reynarda!

Ale do rzeczy. W porządku. Wniosek z tego taki, że Cliff powinien zbliżyć się i nawiązać znajomość pod pretekstem jej odnowienia. Musi pojawić się pod prawdziwym nazwiskiem, bo – jak sądził – ona mogłaby go rozpoznać. Musi więc zrobić to jawnie i zaufać swemu szczęściu i talentowi. Cliff Storm był przekonany co do dwóch rzeczy. Pierwsza: każdym człowiekiem da się manipulować. Druga: Cliff Storm wiedział, jak motywować ludzi i uzyskać każdy zamierzony efekt. Oczywiście, pozostawało tylko pytanie: jaki efekt?

Uważam – powiedział pielęgniarz do Emily przez uchylone drzwi – że akurat teraz nie powinna pani przychodzić, pani Reynard.

– Aha, śpi? No tak, jest jeszcze wcześniej!

– Hm, nie, proszę pani, ale sądzę... że nie powinno się go teraz zbytnio, hm, pobudzać.

– Rozumiem – odparła, przechylając pulchną twarz o drobnym nosie przypominającym dziób papugi. – Wiem, potrzebny mu przede wszystkim spokój. Spokój i odpoczynek, tak. Za nic w świecie nie chciałabym mu przeszkadzać! Ale on wie, że zawsze gotowa jestem porozmawiać z nim czy choćby tylko przy nim posiedzieć, prawda?

– Tak, proszę pani – odrzekł pielęgniarz. – Ale wydaje mi się... że teraz... chyba przyjdzie lekarz. Może trochę później.

– No cóż – westchnęła Emily – lekarzowi raczej nie jestem potrzebna, prawda? W takim razie może skoczę do znajomych na kilka partyjek brydża, na jakąś godzinkę. To niedaleko.

– Niech pani idzie, proszę pani. I proszę nie zapominać, że ja tu ciągle jestem.

– Co za ulga – rzuciła śpiewnie. – Oczywiście, pan wie najlepiej. – Odwróciła się.

Chwiejnym krokiem, na swoich wysokich obcasach, ruszyła poprawić makijaż. Brydż dobrze jej robi, chwilowa odmiana. Ward był pod dobrą opieką; nie musi czuć się winna. Jego biedne, złamane serce – mówiła do siebie – na pewno zagoi się w spokoju. Jednak mimo wszystko odczuwała lekkie zniecierpliwienie. W końcu ta dziewczyna to tylko przypadek w życiu Warda, jakkolwiek nieszczęsny i niefortunny. Musi odejść w zapomnienie tak szybko, jak tylko możliwe. On martwił się, rzecz jasna, jedynie o dziecko. Jak tylko dopilnują, żeby dziecko było bezpieczne, Ward się pozbiera. Oczywiście, że tak! Emily zdawało się, że wszystko rozumie.

Pielęgniarka zamknęła drzwi do sypialni i obejrzała się za siebie.

Ward Reynard leżał zwinięty u wezłowania łóżka, z kolanami podciągniętymi pod szyję. Uszy miał zakryte dłońmi, wysunięte łokcie sterczały na boki, mięśnie szyi były napięte. Wzrok miał błędny, nie skupiony. (Halucynacje – pomyślał pielęgniarka.) Z gardła dobywał się niezbyt głośny, urywany pomruk, odgłos niemego przerażenia. W każdej chwili mógł on teraz przerodzić się w ów dziwny chrypliwy ryk, jaki Ward kilkakrotnie już przedtem z siebie wydawał.

Pielęgniarka powiedział o tych napadach lekarzowi, ale nie zamierzał powiedzieć matce. Zdaniem pielęgniarki, starsza pani należała do wariatek, które bezceremonialnie wtrącają się, jeśli czegoś nie rozumieją.

Pielęgniarka odnosił wrażenie, że tym razem nie skłamał, bo rzeczywiście miał wielką nadzieję, że jego podopieczny nie zostanie „pobudzony” czy też innymi słowy – „sprovokowany”. Biedak cierpiał jak opętany i w każdej chwili mógł odlecieć wyżej niż latawiec, i to bez jakichkolwiek bodźców zewnętrznych.

Tak naprawdę przy innych okazjach jeszcze się to nie zdarzyło. Ostatecznie Ward bardzo powoli wychodził z tego stanu i w końcu się rozluźniał. Pielęgniarka przypuszczał, że te napady są psychogenne. Ale mimo wszystko były dziwne. Jednak przesądzenie o ich naturze nie leżało w jego gestii i powinien się pilnować, bo nie wszystko zawsze można rozpoznać.

Ostrożnie podszedł do krzesła z nadzieją, że przyjdzie lekarz i sam zobaczy, co pielęgniarka miał na myśli, jeszcze zanim minie *ten* atak. Jasny gwint – pomyślał sobie – jeśli staruszek ma rację i to ta wredna damulka, z którą się ożenił, tak go urządziła, to zastrzelić ją byłoby zbyt łagodną karą! Bo na sukę szkoda nabożów!

## Rozdział 7

W środę rano Johnny poczuł się lepiej. Nabrał już zaufania do tych, którzy zajmowali się nim, i zaczął nawet wymieniać przechwałki z leżącym obok małym chłopcem. Sherry zatem mogła teraz pozwolić sobie na odrobinę gorsze samopoczucie. Usiadła przy nim i kolejną godzinę poświęciła na listy, przepisując wszystkie trzy. Niełatwo było je napisać. Nic nie było łatwe.

Chcąc podnieść się na duchu, zatelefonowała do Allena Jordana. Ten zaś, w przypływie mocno kontrolowanego oburzenia, powiedział jej, że druga strona walczy o majątek. Jego zdaniem było to oczywiste prześladowanie i miało zagwarantować, że Sherry otrzyma wszystko, co do grosza, gdy tylko staną przed sędzią. Rzecz jasna, do tego momentu nie wolno jej było dotykać niczego oprócz rzeczy, które bezsprzecznie stanowiły jej własność. Obiecał, że ostro zawalczy o wcześniejszy termin przesłuchania i miał pewność, że to da się zrobić. Sherry podziękowała mu, usiłując nie zdradzać głosem zaniepokojenia.

A zaniepokojenie odczuwała. Świadomość posiadania wroga była bardzo silna. W południe zjechała windą, przygnębiona i przekonana, że musi coś zjeść, nawet jeśli nie była głodna. Później nie będzie mogła pozwolić sobie na jeszcze większy głód. W drodze do kafeterii natknęła się na mężczyznę ze stojącą u jego stóp walizką. Wyglądało na to, że pogrążony w myślach stoi oparty o słup. Na jej widok wyprostował się, zmarszczył brwi; następnie jego twarz rozpromieniała. – Proszę mi wybaczyć – odezwał się. – Ale czy pani nie jest przypadkiem żoną Warda Reynarda?

– Tak, jestem – odparła uprzejmie Sherry. Miał szeroką twarz, duże usta i trochę krzywy nos. Nie mogła przypomnieć sobie tej twarzy, nie całkiem. Ale może...

– Proszę posłuchać – rzekł apodyktycznie. – Nazywam się Cliff Storm. Poznaliśmy się już. Na balu sylwestrowym... hm... w którym roku? W którym roku? To było w Nowym Jorku.

– Bardzo możliwe – zgodziła się Sherry. – Nietrudno o to na dzisiejszych balach sylwestrowych. Ale przykro mi, ja nie...

– Bo wie pani, Ward i ja bawiliśmy się kiedyś w kowbojów i Indian na jego podwórzu – wyjaśnił Cliff, udając radosną ulgę na widok znajomej osoby. – Znam go, odkąd sięgam pamięcią. Co tam słyhać u Warda? I u pani? – A kiedy nie odpowiedziała mu od razu, dodał: – Wchodzi pani? Usiądźmy chociaż na filiżankę kawy. Tak się składa, że strasznie potrzeba mi towarzystwa. Można?

Sherry weszła więc razem z nim do kafeterii i usiadła obok niego przy stoliku, myśląc

z nadzieją, a jednocześnie w poczuciu winy, że jeśli postawiłby jej lunch, a ona zgodziłaby się, zaoszczędziłaby pieniądze. Przecież większość dziewcząt tak myśli, prawda?

Popatrzył na kartę dań, po czym odezwał się: – Proszę wybaczyć. Muszę być w okropnym stanie. Powiniennem być spytać, co panią tutaj sprowadza.

– Mój mały synek tu leży.

– Przykro mi.

– O, dzisiaj czuje się już lepiej – oznajmiła i złożyła swoje zamówienie kelnerce.

Cliff zamówił kawę, a potem chyba zmienił zdanie i też poprosił o kanapkę. – Pani chyba naprawdę mnie nie pamięta, Sherry. Zgadza się? Ma pani na imię Sherry?

– Zdaje się, że przypominam sobie pana imię – odrzekła.

– Oczywiście. Nie widziałem się z Wardem... Co u niego? Mówiła już pani?

– Ward jest u rodziców. Chyba lepiej będzie, jeżeli powiem, że bierzemy rozwód.

– O Boże. Nie wiedziałem. Przykro mi. – Wydawał się przygnębiony. – Ale cóż – dodał – czasami tak bywa. – Wtedy udało mu się wykrzywić usta i przyłożyć dłoń do piersi. Pośpiesznie skłonił głowę.

– Czy coś się stało? – spytała Sherry po chwili.

– Nie, nie. – Podniósł głowę i uśmiechnął się. – Kilka tygodni temu, na piętrze, trochę mnie pokroili. I właśnie pozwolili mi wyjść. Ale pod kontrolą.

– A nie powinien pan jechać prosto do domu? – spytała z troską.

– Coś pani powiem. – Bawił się sztuczkami. – Chyba muszę to komuś powiedzieć. Mówili, że wszystko usunęli, wie pani. Tak mówili. Ale okazuje się, że dla pewności powinienem chodzić na jakieś skomplikowane zabiegi. Co drugi dzień. Czy słyszy w tym pani nutkę nadziei i optymizmu?

Sherry pomyślała sobie: inni ludzie to dopiero mają problemy. Możliwe, że ja nawet nie wiem, co to znaczy mieć problem. A na głos powiedziała: – Może jednak powinien pan robić to, co mówią. – Uśmiechnęła się do niego. – Kto wie? Nawet *pan* tak naprawdę nie wie.

– Chyba nie – odparł. – Ale to jest jak stan zawieszenia. No i oczywiście nie mam ochoty wracać do pracy, proszę mi wierzyć.

Podano jedzenie.

– A gdzie pan pracuje, panie Storm?

– Mówiła pani do mnie „Cliff” – zauważył chłodno – jeszcze cztery czy pięć lat temu. Pracuję w wytwórni filmowej. Nie, nie, nie jako aktor. Za kulisami.

– I lubi pan to?

– O tak – odrzekł bez entuzjazmu. Wsłuchiwał się w jej głos, nieco chrypliwy. Nie był



to najbardziej wyszkolony głos na świecie, ale miły. Przy stole zachowywała się z należytą subtelnością. – Gdzie pani mieszka? – spytał, nagle zmieniając temat, jak gdyby czuł, że powinien zmusić się do towarzyskiej ciekawości.

– Nigdzie – odrzekła. – To znaczy, tymczasowo zatrzymałam się po drugiej stronie ulicy. W zwyczajnym pensjonacie.

– Tak? – spytał powoli. – A przyjmują tam mężczyzn? Śmiertelnie chorych? – dodał. – Dam słowo, że nie umrę na ich terenie.

Sherry odłożyła widelec, zamarła.

– O Boże – rzucił szybko. – Przepraszam. Jestem beznadziejny. Nic, tylko rozczulam się nad samym sobą. Nie powinienem pani się z tego zwierzać. Niech pani o tym zapomni, Sherry. Cofnijmy czas. Naprawdę przyszedł mi do głowy praktyczny pomysł. Skoro już muszę pojawiać się w tym szpitalu co drugi dzień...

– O tak, musi pan – przerwała mu poważnym tonem. – Nie wiem, czy są tam pokoje dla mężczyzn. Mógłby pan zapytać. To trochę dziwny, stary dom, ale jest niedrogo.

– Chyba nawet nie ma sensu, żebym oszczędzał pieniądze. Proszę, znowu zaczynam. Widzi pani, pojechałbym do domu, gdybym miał dom. A dom to miejsce, do którego człowiek wraca i w którym ktoś go wita – rzucił, oceniając przy okazji dotychczasowy przebieg swoich działań. Uznał, że nawet mu współczuła.

– Nie jest pan żonaty? – spytała.

– Byłem – odparł – ale już nie jestem. I nigdy nie będę. – Udał, że zatyka sobie usta, i po raz pierwszy zauważył trzy listy, które położyła obok swojego talerza. – Aha, potrzebne pani znaczki – oświadczył pogodnie. – Proszę pozwolić, że je nakleję.

Wziął listy i sięgnął do kieszeni po portfelik ze znaczkami. – Lotniczą? – spytał.

– Och! Dziękuję. Tak, poproszę lotniczą. – Sherry zastanawiała się, ile to zaoszczędziła.

Zwilżył znaczki językiem i umieścił je dokładnie i powoli, starając się jednocześnie utrwalić każde nazwisko i adres głęboko w pamięci. Wszystkie listy szły na wschód. Dwa do Nowego Jorku, a jeden do jakiejś nieznannej miejscowości, pewnie w północnej części stanu. – Czy mam je pani wysłać? – zapytał.

– Nie, nie. Sama to zrobię. Bardzo panu dziękuję.

– W porządku. Żeby mi się odwdzińczyć, może pani pójść ze mną na kolację, na przykład dziś wieczorem – oświadczył.

Jednak w wyrazie jej twarzy zaszła zmiana. – Raczej nie – odparła. – Wydaje mi się, że chyba nie powinnam. Ale mimo wszystko dziękuję... Cliff. Wybacz.

– No, to innym razem – odrzekł beztrzesko. – Jakie masz plany, Sherry? Rozumiem, że rozwód w toku. Prawda? Chcesz o tym pomówić?

– Nie, jeśli pozwolisz, wolałabym o tym nie mówić. Ja chyba też jestem w stanie zawieszenia. – Jej oczy nie wyrażały jednak obietnicy dotrzymania mu towarzystwa we wspólnej niedoli.

Cliff więc zrobił w swej grze przebiegły ruch. Odsunął się od stolika. Wziął rachunek.

– Nie, nie – zaprotestowała.

– Tak strasznie mi przykro – odrzekł stanowczo. – Wolałbym postawić ci dziś wieczorem dużą, wyśmienitą kolację. Ale skoro nie mogę, to musi wystarczyć. Proszę. Odnoszę wrażenie, że przynosisz mi szczęście. Byłem zagubiony i naprawdę nie wiedziałem, co dalej począć. A czym wobec tego są dwa dolary i siedemdziesiąt centów?

– Dla mnie to dużo – przyznała szczerze Sherry. – A więc jeszcze raz bardzo ci dziękuję. – Obserwowała, jak zostawia napiwek, i to całkiem niemały. Pochwalała to. Wiedziała, ile znaczą napiwki.

– Podasz mi adres tego pensjonatu? – poprosił.

Nieco zakłopotana, podała mu go wielkodusznie i bez wahania. – Wisi tam duża tablica – dodała. – Już niedługo budynek zostanie zburzony.

– Ale postoi chyba na tyle długo, na ile będzie mi potrzebny – odparł, wstając, przy czym zachwiał się, konsekwentnie odgrywając swoją rolę. – Do zobaczenia – powiedział. – Ja też chciałbym ci jakoś przynieść szczęście. – A wychodząc z kafeterii, pomyślał: banalne, ale nie jak na faceta w moim stanie.

Sherry nie uznała go za banalnego. Skoro człowiek bał się i miał żyć w ciągłym niepokojach, nic dziwnego, że zachowywał się nieco dramatycznie. Usiłowała zrozumieć, dlaczego fakt, że kolega Warda pojawił się ni z tego, ni z owego, wzbudza w niej niepokój. Przekonywała sobie, że przynajmniej to *dawny* przyjaciel, a nie jeden z tych wykolejeńców z plaży. Mówił, że nie widział się z Wardem od długiego czasu. Nie musiał wiedzieć, co się teraz dzieje z Wardem. Ani o jej obawach co do jego obecnego stanu. A jeśli ona się myli? Czy w ogóle jakimś cudem Ward jej o tym kiedyś powie?

Cliff uznał, że rozpoznanie jej przyszło mu z dziwną łatwością. Nie przypominał sobie, żeby przed laty zaobserwował ją z na tyle dużym zainteresowaniem, aby dziś rozpoznać od razu. Co w niej było takiego charakterystycznego? – zastanawiał się. Była kobietą o ładnych kształtach. Ani za gruba, ani za chuda, ani za wysoka, ani za niska. Jej figurę oceniłby na więcej niż przeciętną. Miała gładkie i lśniące włosy blond, jednak widywał już bardziej wystrzałowe blondynki. Jej twarz na wysokości oczu była raczej szeroka, o grubych kościach,

co nadawało jej niemalże słowiański wygląd. Prostaczka – skwitował. Miała jednak ładną cerę, taką drobnoziarnistą, która zawsze robi wrażenie czystej.

Jaką dałby jej rolę? W filmie fabularnym mogłaby być koleżanką, pozytywną postacią, która zawsze współczuje i troszczy się o tę bardziej interesującą bohaterkę. Dziewczyna, której nigdy nie udaje się zdobyć faceta.

Chyba jednak nie.

To dziwne, ale ona po prostu nie robiła na nim wrażenia nieciekawej kombinacji przeciętnych cech fizycznych. Ani nie wydawała mu się tak tępa, jak ją sobie wyobrażał – cnotkę ze średniej warstwy społecznej.

Dlaczego nie? To chodzi chyba o te oczy. Były niebieskie, a w dodatku zaskakująco ciemne w kontraście z tymi jasnymi włosami. To oczy strzelały iskrami, robiły wrażenie. Jej osobowość zawierała się w tych oczach.

Cliff zauważył, że jest podenerwowany. Przede wszystkim nie spodziewał się, że jego zaproszenie na kolację spotka się z odmową. Co zrobił nie tak? Absolutnie nic. Chyba że zanadto się pośpieszył. Wykorzystał jej współczucie, sądząc, że da się nabrać na jego słabość. Zdawało mu się, że co do tego miał rację.

Najwyraźniej jest ostrożna. Pilnuje się, ha! Uważa, żeby stąpać po prostej i wąskiej linii. Ale jak prosta i wąska może być ta linia? Wyjście na kolację w żadnym wypadku nie oznacza romansu. Hm, taka ostrożność była podejrzana sama w sobie, prawda?

Zatrzymał się w poczekalni szpitala, żeby zapisać w notatniku nazwiska i adresy. Chciał otworzyć te listy nad parą, bo mogły dać mu jakieś wskazówki. Jeden z nich zaadresowany był do mężczyzny. Dwa pozostałe do kobiet. Nazwiska mogą się przydać. Chwileczkę, czy nie dawało mu to pewności, że ci ludzie to jej dawni przyjaciele sprzed lat?

Tak, i najwyraźniej była w dołku finansowym. I ta jej żartobliwa uwaga o dwóch dolarach i siedemdziesięciu pięciu centach. Wiedział, że odeszła z pracy. Był pewien, że nie ma innego źródła dochodu. A to, co należało do niej i do Warda, zostanie zablokowane. Wiedział o tym.

Hm, a w dodatku zaszyła się sama w tym walącym się pensjonacie. Stan zawieszenia? Hm, trzeba pozwolić, żeby była pod presją, zamknięta, osaczona, samotna. Trzeba pozwolić, żeby zaczęło jej brakować tego, na co ma ochotę, i żeby bardzo dotkliwie odczuła ten brak. Niedługo porozmawia ze mną o tym – powiedział do siebie Cliff – bo przecież jestem tak cholernie sprytny, że zrobię z siebie najbardziej zaufanego powiernika na świecie, człowieka, który umiera!

Uśmiechnął się szeroko, przepchnął się przez drzwi, pamiętając o tym, żeby

ślimaczym tempem przejść na drugą stronę ulicy, do starego domu, który spostrzegł już wcześniej. Pomyślał o nim: cóż za świetny styl gotycko-amerykański!

Czyjś towarzysz? – spytała pani Link. – Czy któraś zna tego gościa, dziewczęta?

– Jeśli to towarzysz – odrzekła pani Kimberly – to na pewno dla tej blondyneczki.

– Ta walizka – zauważyła pani Moran – mówi raczej, że to towarzysz dla Madame.

Zatrzęsły się ze śmiechu i szastnęły kartami.

Cliff, udając, że ogląda frontowy pokój na piętrze, wciąż bacznie obserwował panią Peabody. Jeszcze zanim usłyszał jej mowę o rozdzieleniu płci, wyrecytował swoją historię umierającego człowieka. Uznał, że w innym razie pewnie wcale nie dostanie się do domu. Obsadziłby ją jako starą pannę, małomiasteczkową, którą przerażałaby każda najmniejsza plotka o tym, kto z kim poszedł do łóżka. Na to była jednak za sztywna. Za łatwo ją zszokować, pomyślał. Odpada.

Dość uprzejmym tonem, przybranym specjalnie na tę okazję, powiedział: – Jeśli pani pozwoli, bardzo chciałbym zająć ten pokój. – Ruchem ręki wskazał jedno z okien, na wprost przysłonięte wiszącą na zewnątrz tablicą. – Nie chcę być wścibski – dodał – ale czy z tej tablicy przypadkiem nie wynika, że ten dom już długo tu nie postoji?

– Postoi do wrzeźnia – odparła lodowatym tonem.

– Szkoda – mruknął – że te wspianiałe, stare posiadłości nie są w stanie przetrwać! Powiedziałbym, że na świecie potrzeba pensjonatów. Szczególnie dla ludzi samotnych.

– Nie wiem, co zrobią moje panie – odrzekła pani Peabody, unosząc obie ręce, co dodało jej wypowiedzi przestarzałego „ot co!”.

(Ależ z niej relikw – pomyślał Cliff. – Prawdziwy antyk!) – Chwileczkę, chwileczkę! – Udał podekscytowanego. – Coś mi przyszło do głowy. Mieszka tu u państwa pani Sherry Reynard? Wiem, że mieszka. Widzi pani, przypadkiem spotkałem ją w szpitalu. To ona mnie tu przysłała.

Twarc gospodyni nabrała spiętego wyrazu.

– Jestem bardzo dawnym przyjacielem rodziny jej męża – dodał szybko Cliff – i chodzi o to, że... Edward Reynard (jej teść) to akurat bardzo zamożny człowiek, ma sporo nieruchomości tu i tam. I wiem na przykład, że posiada dom podobny do tego. Powiedziałbym nawet, że taki sam, jeśli chodzi o architekturę. W każdym razie też taki duży. I wygląda na to, że jest w doskonałym stanie. Ale pan Reynard nie chce sprzedać ziemi, na której on stoi, przynajmniej na razie. Chce go zatrzymać przez kilka lat. A w międzyczasie

przecież można by ten dom zająć! Pewnie właściciel ucieszyłby się na wiadomość o kimś takim, jak pani, kto dobrze zna takie miejsca i ma doświadczenie w zarządzaniu pensjonatem. I, proszę mi wybaczyć, pani Peabody, kto robi to tak perfekcyjnie i porządnie. Zdaje mi się – ciągnął, obserwując, jak jej pociągła, pospolita twarz ożywa w zaskoczeniu i nadziei – że właściciel chętnie odda dom w ręce tak doświadczonej i niezawodnej osoby za niski, może nawet symboliczny czynsz. Tyle, żeby starczyło, powiedzmy, na zapłacenie części podatków. Niewątpliwie dom miałby dla niego jakąś wartość, gdyby był zamieszkany. A pusty dom idzie na straty. Jak nam wszystkim wiadomo.

– A gdzie jest ten dom? – spytała jednym tchem.

– Nie mogę podać pani dokładnego adresu – odrzekł Cliff – ale jest coś, co mogę zrobić. Jutro dowiem się wszystkiego o tym domu.

– O... tak... – Była całkiem wytrącona z równowagi. – Bardzo bym prosiła, panie Storm, i jeżeli jest, jak pan mówi...

– Czy to nie jest szczęśliwy przypadek? – spytał Cliff. – Jakie to szczęście, że tutaj przyszedłem! Sama pani przyzna, że na świecie zdarza się mnóstwo cudownych rzeczy!

Dobrze mu poszło, jak na faceta w obliczu śmierci.

– Mam nadzieję – mówiła, drżąc – że pokój będzie wygodny, panie Storm. Łazienka jest wspólna, ale bardzo duża i zapewniam, że przez cały czas utrzymywana jest w nieskazitelnej czystości. Będzie pan z niej korzystał wspólnie tylko z dwoma panami. Z panem doktorem Josephem Bianchi i panem Lawtonem Archerem, który zajmuje pokój z tyłu korytarza. Zawsze jestem bardzo, bardzo ostrożna przy doborze lokatorów.

– Jestem tego pewien – powiedział Cliff. – Jak pani sądzi: czy oni przeprowadzą się razem z panią, jeżeli wynajmie pani ten inny dom?

– O, panie na pewno tak – wykrzyknęła. – Są tu trzy panie, które mieszkają ze mną od lat.

– Bardzo chętnie poznam te panie – odrzekł Cliff, robiąc ukłon.

– Oczywiście, oczywiście. Na pewno, panie Storm. W każdej chwili. To są starsze panie. – Za stare na te rzeczy, mówiło zbląkanе jedno oko. – I bardzo kulturalne osoby.

Oto potęga nadziei – pomyślał cynicznie Cliff, otwierając walizkę i wyjmując jej zawartość. Spróbuje znaleźć wymarzony dom dla pani Peabody, jeśli czas mu pozwoli. A jeśli nie, to po prostu będzie grał na zwłokę.

Tymczasem pozyskał ją na stronę Edwarda Reynarda. Cokolwiek to oznacza. No cóż, nigdy nie wiadomo.

Tego wieczoru Sherry, wiedząc, że nie jest w stanie siedzieć spokojnie na widoku w kafeterii, poprosiła o kanapkę na wynos i zabrała ją do małego parku graniczącego z terenem szpitala. Tam usiadła na ławce i skonsumowała swoją kolację, a łzy płynęły jej po policzkach. Taki stan rzeczy nie wpłynie dobrze na trawienie, ale akurat tego wieczoru, kiedy słońce zaszło, musiało tak być.

Potem o zmroku przeszła na drugą stronę ulicy, z mocno zapuchniętą twarzą, mając nadzieję, że dotrze do swej celi, zanim ktokolwiek natknie się na nią w takim stanie.

Weszła szybko, przeszła obok schodów, rozświetlonych teraz lampami, i nagle spostrzegła tego mężczyznę, tego Clifforda Storma. Siedział w salonie, jak gdyby mieszkał w tym domu.

– Dobry wieczór – zawołał do niej. – Witaj, Sherry, jak się masz?

– O, witam. A więc pokój się znalazł? – spytała, odwracając częściowo twarz. – Cieszę się. Dobranoc.

On jednak był na to za bystry. – Co się stało? – spytał, wstając, zatroskany. – Coś nie tak z małym? – Podszedł do niej i wyraźnie zauważył, że mocno płakała. – Czy stało się coś złego?

– Nie, nie – odparła. – Z nim jest w porządku. Tylko... wszystko jakoś tak zważyło mi się na głowę. I tyle. A teraz przepraszam. Dobranoc.

– Nie odchodź. Usiądź – namawiał. – Siadaj proszę. Bo jeśli pójdziesz teraz i będziesz płakać na osobności, wszyscy będą przez ciebie *nieszczęśliwi*. Chyba sama rozumiesz? Opowiedz mi lepiej wszystko.

– To nic wielkiego... Hm... Tylko...

Sherry wiedziała, że starsze panie siedzą na swoim miejscu przy oknie. Nie przywitały się z nią. Tylko, oczywiście, ciszej uderzały teraz kartami o stół, bo całe zamieniły się w słuch. Sherry postanowiła nagle, że usiądzie. Płakała ze złości i nadal odczuwała złość, może więc przecież sobie usiąść, do diabła!

– Babcia Johnny’ego przyszła go odwiedzić – wyjaśniła. – I oto właśnie chodzi.

– Emily we własnej osobie, tak? – odparł natychmiast.

– O, znasz ją? Rzeczywiście. Zapomniałam.

– Intelktem to ona raczej nie grzeszy, sama przyznasz? – Cliff zniżył głos.

– Nie wiem, *jaka* ona jest – odrzekła Sherry, w ogóle nie zniżając głosu. – Ale chciałabym... o, cholera jasna! Chciałabym *mieć* tak ogromny wpływ, jaki oni mi przypisują.

– Wpływ?

– Dlaczego to *ja* jestem wszystkiemu winna? I niby dlaczego potrafię sprawić, że

ludzie zachowują się tak, jak ja chcę? Och, tak mnie to wszystko...

– I cóż takiego zrobiłaś tym razem? – spytał przeciągle, co jakby zaraz ją odprężyło.

Mimo to nie tak szybko dała się rozbawić. (Cliff dojrzał błysk w jej ciemnoniebieskich oczach i mimowolnie znalazł się w stanie gotowości.)

– Bo widzisz, Johnny tylko na nią spojrział – tłumaczyła Sherry – i dostał szału. Oczywiście, przestraszył się. I płakał. I nie mógł się uspokoić, a to niedobrze. Więc pielęgniarki wyprosiły ją.

– Jestem pewien, że Emily niezbyt się tym przejęła.

– Aha, akurat, nie przejęła się! – rzuciła Sherry. – I jak myślisz, co było dalej? To ja wpędziłam go w ten stan. To ja nastawiłam go przeciwko niej. To *ja* kazałam mu krzyczeć na widok drogiej, ukochanej babci, która w całym swoim życiu nie zrobiła nic złego! – Sherry zakryła twarz dłońmi. Teraz śmiała się i płakała jednocześnie. – Strasznie mnie to wkurza – wyznała.

– Hm – mruknął. – Emily Reynard to niemądra kobiecina. – (Poczuł, że te jasne włosy pachną.)

– Ona nie zrobiła nic złego – przyznała Sherry, ocierając twarz. – I może to najbardziej mnie wkurza. I jeszcze to, że ona najpierw wyobraża sobie, jak ktoś ma się zachować, a jeżeli ludzie nie postępują według jej oczekiwań, to nawet nie przyjdzie jej do głowy, że inni widzą świat *po swojemu*. Teraz przez jakiś czas Johnny będzie bał się przy byle okazji. To wszystko dlatego, że przedtem ktoś taki dorosły zrobił mu krzywdę. On wie o tym. Dzieci nie da się oszukać.

– A kto z dorosłych zrobił mu krzywdę? – spytał łagodnie Cliff. Nie powinien był o to pytać, ale chciał usłyszeć jej wersję.

– *Kto?* Och, tego nie pamięta – odparła Sherry. – Dzięki Bogu. I mam nadzieję, że już sobie nie przypomni i że nikt mu tego nie powie. Jednego jest pewien: że to nie ja. Poza tym, po co miałabym kazać Johnny'emu rozplakać się *bez powodu?* Ja tylko chcę, żeby dorastał samodzielnie. Ale nic z tego. Staralam się wyjaśnić jej, że on po prostu najzwyczajniej się przestraszył. Przecież ma do tego prawo. I gdyby nie weszła tak nagle... Nawet pielęgniarki o tym wiedziały. Na początku wszystkie pamiętały o tym, żeby wchodzić powoli. Spodziewały się, że nie od razu się uspokoi. A kiedy tak było, nie rzucały się na mnie i nie obwiniały mnie o to, że nastawiam małego przeciwko nim... Och, mam tak serdecznie dosyć – szlochała Sherry – bycia winną, winną, winną! O co chodzi tym ludziom? Przecież w życiu zdarzają się różne rzeczy. I przydarzają się człowiekowi. Ale potem żyje się dalej, prawda? Człowiek robi swoje. To oczywiste – dodała i westchnęła głęboko. – Popatrz na mnie, dostaję szału. I to też

mi dobrze robi. Przecież czasem trzeba się wyzalić i wykrzyczeć, tak dla zdrowia.

– Nic w tym złego – uspokajał ją. – O to cała rzecz?

– Nie wiem – odparła poważnie.

– Muszą zaraz winić cię za to, że chcesz się wyładować?

Twarz Sherry powoli wykrzywiła się w jej figlarnym uśmiechu. – Zdawało mi się, że słuchałeś – powiedziała. – Ale mimo wszystko dziękuję. – Wstała.

Cliff Storm oparł głowę o oparcie krzesła i wpatrywał się w nią. – Słuchałem – odparł nieco spięty. Czuł się zagubiony. Nie zrozumiał tego, co przed chwilą powiedziała. To go rozdrażniło.

– W takim razie dobranoc – rzekła. – Dobranoc wszystkim.

Parki wydały z siebie ciche, udawane okrzyki, jak gdyby dopiero teraz zauważyły, że tu jest.

Sherry poszła korytarzem, otworzyła drzwi do swego pokoju, zapaliła światło i weszła z uczuciem przyjemnego ukojenia.

Dobrze jej zrobiło uwolnienie emocji przed mężczyzną, który z jakiegoś powodu wydawał się łatwym rozmówcą na jednakowym poziomie. Był pewnie w wieku Warda, chociaż w pewnym sensie od niego starszy. To pewnie dlatego, że on żył swoim życiem, ona swoim, mogli swobodnie wymieniać myśli, jak równy z równym. Przyszło jej na myśl, że nie przypominał już tego samego człowieka, który dziś w południe tak bardzo rozczulał się nad sobą i bał się śmierci.

No cóż, skoro dało się go wyrwać z tej chwilowej paniki, tym lepiej dla niego, a to ją ucieszyło.

Cliff zlekceważył uczucie tajemniczego zauroczenia i zaczął analizować to, co zostało powiedziane. Trzy starsze kobiety przy karcianym stoliku słyszały każdy szczegół, tego był pewien. Czy da się to jakoś wykorzystać? Paniom kulturalnie się już przedstawił, kiedy wrócił z kolacji. Uznał, że płynące z ich starczych oczu fascynacja i zaciekawienie to typowa żalсна tęsknota za minionym życiem. (Nie zdawał sobie sprawy z tego, że Parki nigdy przedtem nie widziały, żeby młody, przystojny mężczyzna kiedykolwiek siadał wieczorem w tym salonie, i dlatego umierały z ciekawości.) Cliff sądził, że Sherry wtrąciła słówko czy dwa, którym uraziła ich wielkopańskie, delikatne uszy.

Wstał i wolnym krokiem podszedł do nich.

– Mam nadzieję, że nie zepsuliśmy paniom nastroju – odezwał się przejęty. – To po



prostu bardzo niefortunna sytuacja.

– Pan jest dawnym znajomym pani Reynard, prawda, panie Storm? – spytała pani Link, przyklepując koafiurę.

– Poznałem ją przed laty. Za to bardzo dobrze znam jej męża, który wkrótce będzie jej byłym mężem. Rozwody zawsze bywają smutne – westchnął z udawanym patosem.

– To zależy, prawda? – odezwała się pani Kimberly, klepiąc kartą o stół.

– Oczywiście, nikt z zewnątrz nie ma prawa osądzać – odparł Cliff, spoglądając ponuro w dół na swój nos. – Jak to się mówi, zawsze są dwie strony medalu. – Pogratulował sobie wyrecytowania dwóch truizmów pod rząd.

– Rozumiem, że z pańskim kolegą, jej mężem, nie jest dobrze? – dociekała pani Link.  
– Co mu jest?

– Trudno powiedzieć – odrzekł Cliff. – Jest dość mocno zrujnowany emocjonalnie. To widać. Biedak. Och, być może to banalne powiedzonko „okrucieństwo psychiczne” wydaje się śmieszne.

– „Zaiste, podli ludzie znikają, gdy nikt ich nie ściga” – powiedziała nieoczekiwanie pani Moran i wszystkie Parki pokiwały mądrze głowami.

Cliff nie mógł doszukać się w tej uwadze żadnego sensu, uznał jednak, że brzmiała jak cytat z Biblii. Prawdopodobnie dla tych staruszek słowa te miały głęboki podtekst.

– Ojciec Warda – zwrócił się do nich – to co najmniej milioner, rozumiecie panie. Jednak pewnych rzeczy nie da się kupić za pieniądze.

Parki najwyraźniej przyjęły to jako trafne spostrzeżenie.

– Nie chodzi mi o porywczosć i awantury – ciągnął. – Są inne rodzaje upokorzeń, a o niektórych z nich nie śmiałybym nawet wspominać. Strach pomyśleć, że to, co się dziś wyprawia, kiedyś nawet nie śniło się kobietom.

– Ts... ts... ts... – Wszystkie trzy panie cmoknęły z dezaprobatą.

A Cliff a ogarnęło natchnienie. – Cnotliwa niewiasta – zaintonował – jest bardziej wartościowa aniżeli rubin.

Wszystkie Parki pochyliły głowy nad stołem, jakby w modlitwie. Następnie starcza dłoń pani Moran zgarnęła trzy karty.

– O najwyższą stawkę, moja droga? – spytała pani Kimberly, unosząc policzki jak wiewiórka.

– Och, ależ z ciebie grzesznica – odparła uprzejmie pani Moran.

– To raczej *pani* Reynard jest grzesznicą, hę? – Pani Link tak trafnie nawiązała do poprzednich słów, że Cliff musiał przełknąć ślinę, kiedy dotarło do niego, że ma

odpowiedzieć.

– O, staram się nie mieć żadnych uprzedzeń – odezwał się, nieco zmieszany. – Nie miejcie jej panie za złe, że... hm... się wyraża.

– Jak tu znaleźć cnotliwą niewiastę? – rzekła pani Moran śpiewnie, jakby cytując Biblię – „skoro cenniejsza jest niż rubiny. Gdy otwiera usta, wypływa z nich mądrość, a język jej głosi prawo dobroci”. A teraz, moje drogie niewiasty – ciągnęła tym samym tonem – dajcie mi zatem trzynaste serce, którakolwiek z was je posiada.

Piszczwały i trzęsły się ze śmiechu, bo pani Moran w międzyczasie wygrała najwyższą stawkę.

Cliff oddalił się. Po chwili powiedział: – Dobranoc – i zamyślony wyszedł z domu.

Pani Kimberly, tasując karty, rzekła łagodnie: – Cholernie przydatna rzecz, te pieniądze.

– I o czym to niby kiedyś nawet nie śniło się kobietom? – spytała pani Link. – Skąd on może wiedzieć?

– Chodzi o to, że ona ma kochanka? – dodała pani Moran, parszkając cichutko. – I co z tego? Przecież mogła poszukać sobie *niejednego* od czasu, kiedy się poznali, prawda?

– Ale, ale, dziewczęta – przerwała im pani Kimberly. – Czy on nie powinien rozmyślać teraz o śmierci?

– Ho, ho! – zaśmiała się pani Moran. – Wątpię, czy akurat o tym rozmyśla.

– Ach, ty! – wykrzyknęła pani Kimberly, klepiąc koleżankę po nadgarstku. – Stajesz się taka niedobra, jak Madame.

Trzęsły się i piszczały ze śmiechu, a pani Kimberly rozdała karty.

– Czyżby miał na myśli seks? – ciągnęła pani Link. – Że to niby o tym nam się nawet nie śniło?

– Myśli, że wierzyłyśmy w *bociana* – dodała posępnie pani Moran.

Pani Kimberly dostała takiego napadu śmiechu, że musiała zdjąć okulary i przetrzeć je.

Po co ty *tam* poszedłeś? – pytał Reynard przez telefon.

– Chodzi o to – wyjaśnił bez zająknięcia Cliff – że cokolwiek wydarzyło się dawno temu, jest teraz bez znaczenia. To musi być coś aktualnego.

– No dobrze, rozumiem. I gdzie jest to miejsce?

Cliff powiedział mu, a przy tym wymienił całą listę lokatorów, nikogo nie pomijając.

– Wybrała miejsce typowe dla siebie – skwitował Reynard z goryczą. – Półgłówki,

alkoholicy, starcy i zbrodniecy.

W głębi duszy Cliff miał próżnię, która pozwalała mu dostrzec, jak działają uprzedzenia. Słyszał wrogość, która przeinacza fakty. Nawet jeśli zaznaczyłby, że Sherry wybrała pensjonat pani Peabody nie z uwagi na lokatorów, ale dlatego, że był tani i dogodnie położony, fakt ten nie zostałby nawet wzięty pod uwagę. Rzecz jasna, nie zamierzał o tym mówić. Wpadało mu podtrzymać tę wrogość.

– Tak, ma pan rację – odrzekł. – To dość podejrzane towarzystwo.

– Obie strony wniosły sprawę – oznajmił Reynard. – A my... czy raczej Ward... jako pierwszy. Ale jej adwokat nalega na szybkie przesłuchanie. Murchison twierdzi, że to już niedługo. A więc lepiej bierz się do roboty.

Cliff dorzucił jeszcze trochę dowodów swej pracowitości. Powiedział, że rozmawiał przez telefon z ludźmi ze wschodnich Stanów, którzy znają Sherry. – Ale, jak już powiedziałem – dodał – to wszystko było bardzo dawno temu. – Pomiął informację, że podczas rozmowy zamiejscowej przyszło mu do głowy zasiał ziarno niezgody, podając powód, dla którego telefonuje. Podstępna sztuczka z pracownikiem rządu udała się i zasługiwała na powtórzenie.

– Czy ty w ogóle potrafisz zdobyć coś, co się przyda? – spytał szczekliwie Reynard. – Są jakieś postępy?

– Zdaje się, że mam pewne przeczucie – odparł ostrożnie Cliff. – Nie chcę nic mówić, dopóki się nie upewnię. Rozumiem, że panu potrzebne są konkretne dowody.

– A co to jest? Coś ważnego?

Chodzi ci o coś skutecznego, pomyślał Cliff. – Jak zdobędę dowody – powiedział – będzie to coś wystarczająco ważnego. Ale to... hm... podchwytliwa sprawa.

– W takim razie naciskaj dalej – nakazał Reynard.

Cliff obiecał, że tak zrobi, po czym odłożył słuchawkę.

Tak naprawdę nie miał żadnego przeczucia.

Poza tym był poirytowany, że znalazł się na stanowisku fachowego pracownika, który znał się na rzeczy lepiej niż jego pracodawca. Pomysły Edwarda Reynarda na podjęcie skutecznych kroków były okropnie przestarzałe.

Emily Reynard powiedziała do męża: – Czy nie byłoby lepiej odłożyć przesłuchanie do czasu, kiedy Ward całkiem wydobrzeje? Czy pan Murchison nie mógłby tego odroczyć?

Na co jej mąż odrzekł: – Z drugiej strony dobrze byłoby załatwić sprawę Johna,

jeszcze *zanim* będzie gotów opuścić szpital.

– No tak, o tym nie pomyślałam – przyznała.

– Zostaw to mnie – nakazał ze złością. – Mam ją na oku.

– Myślę też, że Ward czuje się coraz lepiej z dnia na dzień – oświadczyła Emily, ponieważ sama bardzo tego pragnęła. I natychmiast zaczęła pociągać nosem.

– Daj spokój – skarcił ją mąż.

– To dlatego, że ona jest... tak fatalną pomyłką. A przecież na świecie jest tyle sympatycznych dziewcząt. Bałam się jej od samego początku. Coś mi mówiło...

– To on był głupi – rzucił szorstko Edward Reynard. – Ale teraz już zdaje sobie z tego sprawę.

Cliff Storm wyszedł z budki telefonicznej i trafił do miłej knajpki. Zaczął rozmyślać o starszych paniach. Musiał przyznać, że źle je obsadził. Bezmyślnie przyjął wskazówki ze scenariusza pani Peabody. A skoro nie są to stare, łagodne kocice, wytworne i pruderyjne, za jakie je miał, to w jakich rolach je teraz obsadzi?

Hm. Trzy starsze panie, o nieco ostrych językach, nadawałyby się na przekonywających świadków, prawda? A w gruncie rzeczy przecież już nimi były. Obserwowały, słuchały – jak typowi świadkowie. Jaki więc epizod zainscenizuje dla nich jako świadków?

Był już niemalże przekonany, że wrobi tę dziewczynę, tę Sherry. Musi tylko całe swoje umiejętności skupić na obmyśleniu metody.

## Rozdział 8

W czwartek rano Sherry przeliczyła gotówkę. Miała pięćdziesiąt dwa dolary i trzydzieści pięć centów. I *musiała* kupić kilka rzeczy w aptece. Ale zaoszczędziła na wczorajszych posiłkach. Darmowy lunch i tylko kanapka na kolację. Teraz jednak była okropnie wygłodniała.

Doktor Bianchi wychodził właśnie, kiedy zjawiała się w publicznej części domu. Radośnie ją przywitał i pożegnał, a jego bystre, brązowe oczy pobieżnie zmierzyły całą jej sylwetkę. Sherry uśmiechnęła się do niego szeroko.

Pani Peabody samotnie trwała na swym posterunku w jadalni, ale prawie natychmiast

pojawiła się Elsie z dzbankiem pełnym soku pomarańczowego.

– Dzień dobry – odezwała się do nich Sherry pogodnym tonem. – Ładna sukienka, Elsie – zwróciła się do nieszczęsnej dziewczyny, nie mogąc opanować chęci ożywienia tej pozbawionej wyrazu twarzy. – Dobrze ci w różowym – dodała.

A ponieważ nie było natychmiastowej reakcji, Sherry przypomniała sobie, jak młody lekarz powtarzał wypowiedziane zdanie. Elsie najwyraźniej jednak *słyszała* już za pierwszym razem i jeśli odczekało się chwilę, reagowała.

– Dookoła kołnierzyka miałam pióra – odezwała się po chwili. – Na dole sukienki też.

– Tak? – spytała Sherry, zastanawiając się, czy to faktycznie reakcja na jej komentarz.

– A potem oni przyjechali i zaczęli strzelać do butelek – dodała Elsie dziecięcym tonem, ale z pewnym ożywieniem.

Sherry uświadomiła sobie, że to odpowiedź. Teraz ona otrzymała dowód chęci zaprzyjaźnienia się. Jednak poczuła się zagubiona. Spojrzała na jej matkę.

– Telewizja – wyjaśniła pani Peabody ze smutkiem w błędnym oku.

– O, to musi być bardzo ciekawe! – odparła natychmiast Sherry. – To byli kowboje, prawda?

Twarz Elsie niemalże tryskała radością.

(Cliff Storm stał w przejściu, wstrzymał się jednak od powitania i milczał, żeby przez chwilę posłuchać.)

– Uderzyłam jednego butelką. Rozbiła się – mówiła Elsie z przejęciem.

– I upadł? – spytała Sherry.

– Och, tak, i wtedy podarł mi sukienkę.

– Coś takiego! – zdziwiła się Sherry. Nie mogła już kontynuować tej fantazji, ale zaskoczyła ją spójność w opowiadaniu fikcji. Uśmiechnęła się do dziewczyny i wzięła swoją szklankę.

Elsie otworzyła usta, żeby mówić dalej, ale jej matka, nieporuszona faktem nawiązania rozmowy, przerwała: – No już, nalej panu Stormowi soku, Elsie. – I od razu powtórzyła te same słowa. Dziewczyna zamrugła oczami i usłuchała.

Wtedy Cliff przywitał się. Sherry była nieco zaskoczona – czy raczej rozbawiona – słysząc, jak pani Peabody pieszczotliwie przemawia do swego nowego lokatora (a w dodatku mężczyzny). Zastanawiała się, czy rzucił na nią jakiś indiański urok. Nie był przecież bezpłciowy. W gruncie rzeczy posiadał jakąś ciemną moc, która powinna była wzbudzić podejrzliwość gospodyni. Trudno było zachować w pamięci fakt, że miał jakiegokolwiek kłopoty zdrowotne. Dziś rano był to już zupełnie inny człowiek. Jak na mężczyznę w swoim

wieku odznaczał się zbyt staroświeckimi manierami.

Nadeszły Parki, a w ślad za nimi Lawton Archer, spowity w jakieś tragiczne szaty, niewidzialne, a jednak wyczuwalne przez wszystkich. Elsie zbliżyła się do niego z lekko rozchyłonymi ustami, szeroko otwartymi oczami, sapiąc cicho. Aktor z trudem pohamował zażenowanie, kiedy nalewała mu sok. Na to gospodyni była wyczulona, ale przygotowana. Rzeczowym, dwukrotnie wydanym poleceniem wysłała córkę do kuchni.

Nic nie uszło uwadze Cliffa Storma. Sherry, która doszła do wniosku, że nawet rozmiękły tost może być całkiem wyśmienity, z zadowoleniem zauważyła, że Cliff jest dziś gotów poddać się ocenom. Patrzyła, jak przechodzi test, okazując Parkom poważanie, jak gdyby zrobione były ze starej porcelany. Następnie przekazał Sherry (której przeczucie mówiło, że wcale takie nie są) ledwo zauważalnym błyskiem w oku, że jego zdaniem też nie.

Kiedy Sherry odeszła od stołu, tłumacząc się ważną sprawą, mimowolnie odczuła, że wszystko ma się ku lepszemu. Towarzystwo Cliffa Storma przy śniadaniowym stole oznaczało wyraźną poprawę.

Cliff pośpiesznie dokończył śniadanie i, rzucając pani Peabody spojrzenie, które wywołało u niej rumieniec, oznajmił, że na niego też czekają ważne sprawy.

Po jego wyjściu gospodyni zwierzyła się Parkom. Jest dom! I tak się składa, że pan Storm coś o tym wie. Wszystko to zdawało się zbyt piękne, żeby było prawdziwe! Miała jednak nadzieję, że panie nie poczyniły żadnych konkretnych planów na jesień.

Pani Link oświadczyła, że nie jest pewna. Trochę się wahała. Pani Kimberly przyznała, że niezbyt chętnie uda się do domu starców i może... A gdzie jest ten dom? Pani Peabody odparła szczerze, że nie zna jeszcze jego dokładnego położenia. Ale pan Storm, biedaczyna, poszedł wszystkiego się dowiedzieć. Jakież to przeuroczy dżentelmen, prawda? I jaki życzliwy!

Pani Moran stwierdziła, że niewątpliwie będzie miał z tego prowizję, i dodała, że chociaż miała wprawdzie przeprowadzić się do domu syna, to synowa chyba nie obrazi się, jeśli pani Moran zmieni zdanie. Zobaczy jeszcze.

Nad stołem w jadalni zawisła mgielka nadziei i oczekiwania.

Sherry udała się do jubilera i zaoferowała tam swój pierścionek. Mężczyzna był niechętny do zawierania z nią transakcji; nie zajmował się tego typu zakupem. Ale posłał ją do kogoś, kto być może byłby zainteresowany. Ten drugi mężczyzna był chętny, ale cena, jaką podał, wprawiła ją w szok. Zawsze była pewna siebie i dumna z tego, że nosi na palcu diament wart

osiemset dolarów. A ten człowiek zaoferował jej czterysta siedemdziesiąt pięć dolarów. To chyba za mało. Kiedy tak oświadczyła, wzruszył ramionami i powiedział, żeby próbowała sprzedać go po wyższej cenie, ale wątpi, czy dostanie za niego dużo więcej, bo żeby dostać za niego choćby *trochę* więcej, będzie musiała się długo i mozolnie naszukać. Oczywiście, wybór należy do niej.

Sherry przemyślała to i była skłonna uwierzyć. Nie stać ją było, na przykład, na bilety autobusowe, żeby jeździć po mieście. Policzyła więc w myślach i postanowiła, że lepiej będzie, jak weźmie to, co w tym momencie może dostać.

Był na tyle uprzejmy, żeby pójść z nią do sąsiedniej filii banku i dopilnować, aby czek został spieniężony – ta uprzejmość sprawiła, że Sherry zaczęła obawiać się, że sprzedała pierścionek po zbyt niskiej cenie. Ale było już po wszystkim.

Następnie pojechała autobusem do biura linii lotniczych, wypytała dokładnie o podróż z dzieckiem poniżej czterech lat. Johnny mógł lecieć za darmo i siedzieć jej na kolanach. A gdzie niby miałby siedzieć? – pomyślała Sherry rozradowana. Kupiła więc za gotówkę bilet do Nowego Jorku na klasę turystyczną i wsunęła go w bezpieczne miejsce, do najgłębszej, zapinanej na zamek kieszeni w torebce. I zaraz poczuła się lepiej!

Resztę pieniędzy za pierścionek musi zachować na opłaty za leczenie szpitalne. Uznała, że w sam raz wystarczy na ich pokrycie. Gdyby cokolwiek poszło źle w kwestii rachunku oszczędnościowego lub opóźniło przesłuchanie, Sherry nie zamierzała zostać bez pieniędzy na Johnny'ego. Bez względu na wszystko, tyle musi mieć.

Teraz tylko pragnęła, aby Johnny mógł prosto ze szpitala udać się na samolot. W Nowym Jorku zatrzymają się u jej najlepszej przyjaciółki, Pat Sims (obecnie Anderson), aż do czasu, kiedy Sherry zacznie zarabiać. Jeśli Johnny zniesie podróż, a ona przemęczy się jakoś do wyjazdu, niewykluczone, że wszystko się ułoży i nie będzie trzeba liczyć na żadne inne sprzyjające okoliczności.

Zatelefonowała do pana Jordana, żeby dowiedzieć się, co się dzieje. Poinformował ją, że jej sprawa doczekała się kontry, co i tak nie ma znaczenia. Wciąż miał nadzieję na szybkie przesłuchanie. Znów oznajmił jej, że stara się o to. Skorzystał też z okazji, aby ostrzec ją, że sędzia ma obowiązek (czy wiedziała o tym?) poczynić starania w kierunku pogodzenia stron.

Sherry oświadczyła, że trudno. Sędzia straci tylko czas.

Jednak stojąc przy krawężniku i czekając na autobus do szpitala, musiała bardzo usilnie powtarzać sobie: – Nie! Nie! Nie!

Och, ale gdyby tylko mogła... Była kiedyś taka stara piosenka. Ward ją lubił. „Wiej, wiej, zachodni wietrze. I niech spadnie drobny deszcz...” No, może niezupełnie tak. Ale ciąg

dalszy... ciąg dalszy pamięta bardzo dobrze: „Chryste, obym w swoim łóżku spał! I ukochaną w swych ramionach znów miał!”

Ale nie! Nie! Nie!

Kiedy nadjechał autobus, wślizgnęła się do środka, pograżyła się w smutku, tęsknocie i poczuła się tak, jakby miała z tysiąc lat.

Gdy dotarła do szpitala, nastąpiła już pora obiadowa, poszła więc do kafeterii – najtańszej jadłodajni, na jaką w pobliżu trafiła. Była bardzo głodna, wybrała jednak danie niskokaloryczne ze względu na mniejszą cenę. Może trochę schudnie? No dobrze, nazwijmy to dodatkową korzyścią.

Nie mogła przestać myśleć o pieniądzach. Nie tknie pozostałych pieniędzy za pierścionek na swoje utrzymanie, chyba że nie będzie miała wyjścia lub zacznie jej doskwierać głód. W przyszłym tygodniu znów trzeba będzie opłacić czynsz, ale do tego czasu nadejdzie pocztą pożyczka od jednego lub kilku przyjaciół i Sherry da sobie radę. Tymczasem: pięćdziesiąt dwa i trzydzieści pięć, minus bilety autobusowe (dolar i dziesięć centów), minus obiad za siedemdziesiąt pięć centów i jeszcze minus napiwek, ponieważ Sherry (i to akurat ona) nie mogła nie zostawić napiwku...

Chwileczkę! Kiedy skończyła jeść, odszukała kierownika kafeterii. Czy przypadkiem nie potrzebuje doświadczonej kelnerki? Mężczyzna przeprosił, ale powiedział, że nie.

Sherry westchnęła, mimo wszystko podziękowała mu i poszła na górę do Johnn’ego. Wciąż miała pięćdziesiąt dolarów i dwadzieścia pięć centów. (To dość dużo – powiedziała do siebie.)

Cliffa Storma nie było w kafeterii. Zastanawiała się, czy jest gdzieś w budynku na jakimś zabiegu. Chyba mam obowiązek go pocieszać – mówiła do siebie – i pozwolić stawiać kolacje... Zrobiła dziwną minę. Cóż, łatwo jest popatrzeć na to od tej strony. Większość dziewczyn nie Sprzeciwia się. To dlaczego ona odrzuciła jego zaproszenie?

Fakt faktem, Sherry nie była już dziewczyną. Nie jesteś ani panną, ani żoną, ani wdową, maleńka – przypominała sobie. – Oto twój stan zawieszenia.

Kiedy dotarła na oddział, pewna kobieta, którą Sherry zauważyła już wcześniej, a która przychodziła w odwiedziny do innego dziecka, zobaczyła ją i ruszyła w jej stronę. Była bardzo młoda, miała czarne włosy z trudem upięte w misterny kok, co zapewne trwało całe godziny.

– Niech pani posłucha – odezwała się do Sherry. – Wychodzę dziś z jednym facetem, on ma kolegę... Idziemy wieczorem do miasta, tak około dziewiątej... I mam kogoś przyprowadzić. Może chciałaby pani pójść na podwójną randkę?



– O, raczej nie, dziękuję – odparła pośpiesznie Sherry. – Nie mogę.

Dziewczyna poruszyła szczęką, jak gdyby żuła gumę. – W porządku – rzekła i wzruszyła ramionami. – Ja tylko spytałam.

Dlaczego *ja*? – pomyślała Sherry. Dziwne. Skąd wiedziała, że spośród wszystkich obecnych tu kobiet, akurat *ja* nie wracam do domu, do męża i pozostałych dzieci?

No, no – dumiała. – Słowo szybko się rozchodzi. A doktor Bianchi usłyszał pewnie w pensjonacie o moim rozwodzie. I wspomniał o tym którejs z pielęgniarek? Nie brzmi to zbyt przekonywająco, ale czy jest jakieś inne wytłumaczenie? Ów incydent spowodował, że poczuła się dziwnie.

Przygotowała się na długie popołudnie, myśląc, że kiedyś, któregoś dnia, znów przydarzy jej się coś podobnego, a wtedy pójdzie. Ale nie teraz. Nie w takim okresie. I jeszcze długo nie. Czy ja wyglądam – pomyślała smutno – czy ja już wyglądam na taką, co to „poluje”?

Kiedy wyszła na korytarz, żeby wypożyczyć z półki pluszową zabawkę, dziewczyna z dużą fryzurą rozmawiała w budce telefonicznej. Zobaczyła Sherry i odwróciła się plecami. Sherry nie wyczuła w tym gniewu. Raczej ostrożność, jak gdyby Sherry potrafiła czytać z warg. Weź się w garść – powiedziała sobie Sherry. – Co ty, dostajesz świra?

Mimo wszystko było to... hm... dziwne.

Cliff Storm miał bardzo pracowity dzień.

Wychodząc wcześniej z pensjonatu, uświadomił sobie, że Parki (Joe Bianchi zaznajomił go z aktualnie używanymi tu przezwiskami i wydały mu się one zabawne) siedziały bezpiecznie w jadalni, a Sherry poszła załatwiać swoje sprawy. Wykorzystał więc okazję, by zakraść się od drugiej strony budynku i obejrzeć dokładnie z zewnątrz pokój Sherry, dawniejszą werandę.

Tak, były tam kiedyś drzwi. Cliff zauważył, że były zamknięte na klucz. Klucz wciąż tkwił od wewnątrz, a drzwi zabito gwoździami. Nie były to duże gwoździe. Przydałoby się udostępnić Sherry jakieś tajemne wyjście lub wejście. A wtedy on, kierownik sceny, powiedziałby: „Widzicie? Myśleliście, że jest zamknięta ze wszystkich stron, a tymczasem nie!” Albo mógłby powiedzieć: „Widzicie? Wam się zdawało, że jej nie ma, a ona jest!”

Wtedy wzdrygnął się z odrazą, bo przecież – na miłość boską – był człowiekiem o twórczej wyobraźni, a nie cieślą. Postanowił zaatakować gdzie indziej. Może nie będzie musiał robić sobie tyle kłopotu.

Wsiadł do samochodu, który zaparkował na ulicy, a ponieważ nie miał gdzie zaatakować, ponownie ruszył na plażę. Nie było tam nikogo prócz jednej z kobiet, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami na środku podłogi w starej rudерze. Ubrana była w trykotowy strój i waliła w tamburyn. Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem. Mówiła sama do siebie, podekscytowana. Nie rozumiał jej.

Przez chwilę przyglądał się jej. Następnie chytrze wyciągnął z niej, co prawda, tylko potoczną nazwę zażytego przez nią narkotyku, a oprócz tego źródło zaopatrzenia. Znajdowało się ono w tym samym pokoju, w blaszanym pudełku, w którym leżało kilka drobnych kostek cukru (przypuszczał, że każda z nich jest nasączona) oraz garstka twardych cukierków. Cliff cichutko wykradł po dwie sztuki z każdego rodzaju. Trudno było wyczuć, czy kobieta jest świadoma jego postępowania, czy nie. W każdym razie nie protestowała. Nie komentowała. Nie reagowała na niego. Zdawało się, że brakuje jej przysłowiowej piątej kleпки i Cliff uznał, że to w sumie bardzo interesujące.

Nie wiedział, co zrobić z łupem. Czuł się jak generał, który ustawia swoje wojska. Czy może jak zwyczajny śmieciarz, który zawsze uważa, że wszystko może się przydać.

Następnie pofatygował się z wizytą do agenta nieruchomości w odpowiedniej dzielnicy miasta, żeby znaleźć wolny i należycie stary dom na sprzedaż. Cliff przedstawił agentowi sytuację: ma kupca. Jednak umowa zależy od decyzji pewnego małżeństwa, które być może zainteresowane będzie otwarciem pensjonatu. Obiecał, że ich tu przyśle. Czy mógłby ustalić spotkanie na wieczór, żeby pokazać dom? I czy jest w nim prąd?

Mężczyzna odparł, że jest, obiecując gorliwie o każdej porze pokazać pani oraz jej mężowi tę przepiękną, starą posiadłość, tak ogromną, jakich dzisiaj już się nie buduje. (Innymi słowy – tę gigantyczną chałupę.) Cliff odparł, że jego zdaniem pani na pewno nie podejmie decyzji bez zgody męża, mąż z kolei nie zawsze, rzecz jasna, ma czas w godzinach pracy. Cliff oddzwoni.

Późniejszym popołudniem z radością zauważył, jak pan Peabody popycha odkurzacza w korytarzu na piętrze. Cliff nadszedł akurat, chwając się pod kartonem szkockiej..

– Co pan powie – wysapał i położył ciężar na łóżku – na takie zabezpieczenie przed długimi, chłodnymi kwietniowymi wieczorami w naszym klimacie południowych Stanów?

Zaintrygowany pan Peabody zbliżył się do drzwi pokoju Cliffa.

– Nie sądzę – ciągnął Cliff – żeby ucieszyło to pańską żonę. Gdzie można to dobrze schować? *Por favor, amigo?*

– Ona mało co sprząta tu, na górze – odrzekł gospodarz wyschłymi wargami.

– Czy aby na pewno? Mam nadzieję, że pan nie z tych, co skarciliby mnie za to, że

skorzystałem z okazji. Proszę bliżej, no, zapraszam. Wypróbujmy i przekonajmy się, czy mnie nie orznęli. Bez lodu. Ale to tym lepiej na prawdziwą degustację, nie? Bo lód paraliżuje kubki smakowe.

Cliff podał mężczyźnie na wpeł pełną szklankę, którą pan Peabody wziął bez cienia zażenowania.

– Nie uwierzy pan – zagadywał Cliff – jak tanio to zdobyłem. I nawet jeśli jest z przemytu, co mnie do tego? Naklejki są normalne. Chyba tylko lepiej będzie, jak pozbędę się tego kartonu. Jeśli myśli pan – ciągnął Cliff, już kładąc się na łóżku ze szklanką w ręce – że to przyspieszy mój koniec, niech pan da spokój. Ależ to byłaby śmierć, co?

Pan Peabody odrzekł, że nie ma zwyczaju winić innych za sięganie po łyk eliksiru pocieszenia.

– Niech pan weźmie sobie ćwiartkę. Proszę bardzo. Albo nawet dwie. Właśnie sobie pomyślałem, że nie wiem, czy zostanę tu na tyle długo, żeby wypić to wszystko sam.

Pan Peabody robił wrażenie zszokowanego i popijał duże łyki dla otuchy.

– I żadne panie nie przychodzą tu, na górę, co? – dociekał Cliff. – Szkoda. A wie pan, która z tych kobietek najchętniej zagłąda do kieliszka? Pani Reynard.

– Serio? – zdziwił się pan Peabody. – No, to niech sobie porządnie płucze usta, i tyle. Bo pani Peabody może ją wyrzucić.

– Serio? – zawtórował smutno Cliff. – Szkoda. Ale facetów to nie dotyczy, co? Czy może jednak? A jak to jest z panem?

– Ze mną? – Pan Peabody musiał jeszcze bardziej się rozluźnić, a przyszło mu to bez trudu. – Słuchaj pan, nie myśl pan sobie, że nie wiem, jaką mam do tego słabość – przyznał gospodarz. – Ale mężczyzna musi coś mieć. – Siedział na krześle z prostym oparciem, łokcie oparł o kolana, dłońmi zaś obejmował i pieścił szklankę. Spojrzał na Cliffa, lekko zawstydzony. – A poza tym – dodał śmiało – ależ to byłaby śmierć!

Słowa te nabrały teraz wielkiej mądrości. Wypili więc toast.

– Słuchaj pan, panie Storm, a ten dom? To znaczy, pan naprawdę uważasz, że moglibyśmy... – Oczy gospodarza stały się nieco wilgotne i patrzyły psim wzrokiem.

– Oczywiście – odparł Cliff. – Dzisiaj rano znów go oglądałem. To bardzo ładna okolica. Właściciel jest wstępnie zainteresowany. Teraz pan i żona musicie tam jechać i sami go obejrzyć. Przekonacie się, czy wam odpowiada. Jestem pewien, że pan zna się na swoich interesach.

Oczy pana Peabody nabiegły łzami. – Słuchaj pan – powiedział. – Mam nieszczęśliwe dziecko. Życie ze mnie uleciało. *Ja* tu tylko robię generalne sprzątanie, to wszystko. I to jest

właśnie całe *moje* zajęcie. Można powiedzieć, że jestem dozorcą. To są całe moje interesy. – Zdawało się, że pan Peabody dostanie napadu płaczu.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – przerwał Cliff – ale czy kiedykolwiek myśleliście o tym, żeby posłać waszą córkę... Elsie, tak?... do jakiejś szkoły? Są chyba takie miejsca, gdzie byłoby jej dobrze?

– Och, przecież jej *jest* dobrze – zaszlochał pan Peabody. – Ogląda tylko telewizję i jest zadowolona. Ech, te szkoły. Drogie są, panie, jak cholera. Kiedyś o tym myśleliśmy. Pani Peabody, rozumiesz pan, nie chce prosić o pomoc władz stanu czy hrabstwa. Ale te prywatne szkoły, co to się nazywają zawodowe... Za drogo. Widzisz pan, Elsie jest trochę... to znaczy, ona nie jest *obłąkana*. Mówię panu, panie Storm, bardzo chciałbym gdzieś ją posłać. Tutaj nic a nic się nie nauczy. Ech, ja tam uważam, że ta cała telewizja jest żalosna. To nie jest życie dla niej. To nie życie... Ale wie pan, panie Storm, co mnie najbardziej przeraża? Chodzi o to, rozumiesz pan, ona zaczyna... Jest coraz starsza. Zauważył pan chyba, jak snuje się przy tym facecie z pokoju na końcu korytarza? Oczywiście, *on* jest nieszkodliwy. Chyba domyślił się pan.

– Tak – odparł spokojnie Cliff. – I zastanawiałem się, dlaczego pańska żona zgodziła się na to, żeby tutaj mieszkał.

– Możliwe – wyjaśnił ponuro pan Peabody – że ona nie wie. Ona tylko uważa, że to dżentelmen. Bo tak się zachowuje, mówi, i tak dalej. Ona widzi, że mu się to nie *podoba*. Sama uważa, że to ładnie. Ale tak czy inaczej, nie każdy będzie taki nieszkodliwy.

– Wiem, co pan ma na myśli – odrzekł Cliff. – I ma pan rację. To niebezpieczne. Czytałem gdzieś, że takie dziewczęta jak Elsie są bardzo narażone. Ona nie umiałaby się bronić. I nawet by nie rozumiała, biedne dziecko.

Pan Peabody szlochał już bez opamiętania.

Cliff nappełnił szklanę. – Człowieku, tego ci trzeba! – powiedział. – I zdaje się, że te szkoły kształcą takich ludzi, a potem znajdują im jakąś łatwą pracę. Tak byłoby o wiele lepiej, na pewno. I tak się składa, że znam akurat kilku ważnych... myślę, że mógłbym pociągnąć za sznurki. Mam przecucie, że pan Edward Reynard mógłby tu pomóc. Bardzo udziela się w wielu akcjach dobroczynnych w mieście.

– Dobry z pana człowiek, panie Storm – wykrztusił gospodarz, gdy już odzyskał głos. – Nie rozumiem, dlaczego zawraca pan sobie głowę dwojgiem zupełnie obcych ludzi. *Dobry* człowiek! Niech panu Niebiosa pobłogosławią, panie Storm.

– Ej, daj spokój, *amigo* – rzucił Cliff. – Nie uwierzę w Niebiosa, dopóki nie stanę u ich bram. A poza tym pewnie wcale tak daleko nie zajdę, nie? Ale może lepiej prowadzić się tu

stosownie na wypadek, gdyby okazało się, że i tam są takie zasady...

Doszedł do wniosku, że pan Peabody też już prowadził się stosownie, o tak.

Po chwili ze swego pokoju wyszedł Lawton Archer i skierował się do łazienki, która znajdowała się w połowie korytarza. Gdy tylko się stamtąd wyłonił, Cliff zawołał do niego: – Może i pan się do nas przyłączy?

Archer odparł, że łyczek to z chęcią wypije. Był ponury jak zazwyczaj, jego kruczoczarne loki sterczały w nieładzie, a głos miał nienaturalnie głęboki.

– Co tam w teatrze? – zagadnął Cliff. – Czy raczej w kinie?

Po głowie chodziła mu myśl, że wkrótce będzie miał możliwość zatrudnić aktora. Ale nie teraz. Obawiał się, że Archera nie da się wykorzystać. W końcu interesy to interesy. Cliff nie miał zamiaru stawiać ani *siebie*, ani *swego zysku* z tego zakładu w ryzykownej sytuacji. Nieszczęsny Archer to już było za wiele. Jego tragiczna poza zdradzała zapewne jego sposób radzenia sobie z największym problemem, ale Cliff nie mógł pozwolić sobie na współczucie względem niego.

– A wie pan – odezwał się leniwie – że ma pan tu koleżankę z branży? Naprawdę. Z tego, co pamiętam, Sherry Reynard też kiedyś pracowała w show-biznesie.

Ciemne oczy Archera błysnęły na chwilę. – Przyznam, że miło byłoby porozmawiać czasem z kimś, kto mówi tym samym językiem – powiedział sztywno. – A tutaj nie ma takich okazji.

– A pani Peabody to nigdy nie wychodzi? – spytał Cliff wesoło. – To znaczy, niewiedza nie boli, prawda?

Gospodarz zanadto już się rozkleił, żeby zaprzeczyć, że skłonny jest zgodzić się z tym. Jednak zebrał się na lojalność i przyznał, że przez większość czasu są raczej skazani na pobyt w domu z powodu Elsie.

Następnie rzucił Archerowi dziwne spojrzenie, chwycił pełną butelkę whisky, schował ją pod pachę i pod sweter, i odszedł cicho.

– Trudno nie zauważyć, jak nasza Elsie zawsze mięknie w pana obecności – zwrócił się Cliff do aktora. – Pan też chyba to dostrzega.

W jego głosie nie zabrzmiała nawet nutka ironii, ale mimo to aktor zeszywniał.

– Będę chyba zmuszony poszukać sobie niedługo nowego lokum. To już się stało krępujące i męczące. Biedna, niewydarzona istota – mówił. – Człowiek w ogóle nie powinien okazywać takim ludziom sympatii. – Jego oczy patrzyły wyzywająco. *Nie okazuj mi sympatii* – ostrzegały. – Szkoda, powiedziałbym – ciągnął, a powieki opadły mu. – Ale tak być nie może...

– Hej, co mnie ominęło? – Joe Bianchi uśmiechał się szeroko w drzwiach.

Na to Archer czmychnął do swojej nory, Joe zaś wszedł, wciąż uśmiechając się szeroko, i został poczęstowany drinkiem.

– Czemu taki nie pójdzie do swoich? – spytał Cliff. – Co on sobie wyobraża, męczennik jeden?

– No właśnie – odparł pogodnie Joe. – Wbił sobie do głowy, że cały świat jest przeciwko niemu. Ale przynajmniej ma o czym rozmyślać, rozumie pan.

Cliff wywnioskował już, że Archer na nic nie przyda mu się w jego intrydze.

– No cóż – odezwał się leniwie. – A co do płci przeciwnej, jakie są szanse zwabienia tej... naszej blondyneczki, która lada chwila zostanie słomianą wdówką?

– Niech pan o tym zapomni – odparł Joe. – Madame ma koci słuch. I proszę mi wierzyć, usłyszysz każde skrzypnięcie na tych schodach, choć wydaje się to niemożliwe. Niby całkiem niewinna kobietka z tej Madame.

– Rozumiem, co pan ma na myśli – odrzekł Cliff. – A wam to chyba marnie płacą, co?

– Dziwi się pan, dlaczego mieszkam w tej ruderze – podsumował Joe. – I chyba trafił pan w samo sedno.

– To może pożyczkę? – zasugerował beztrąsko Cliff.

– Nie – odpowiedział natychmiast Joe. – Ja nie potrzebuję. Kombinuję zaraz, jak odłożyć moje nieuczciwie zdobyte zyski, gdy tylko zakręcę coś na boku... – A po chwili dodał: – Jak pan się czuje?

– Nie powiem, żeby bolało – odparł Cliff, który cały czas pił wraz ze swymi gośćmi.

– A kto jest pańskim lekarzem? Elwood?

Cliff nabrał czujności. – Aha – mruknął, udając bardziej podchmielonego, niż faktycznie był. – Nie powiem. Moje wnętrze pozostaną... o, to jest stosowne słowo... tajemnicą pomiędzy mną a nim. Po co jakiś nadgorliwy smarkacz, jak ty, będzie mi tu próbował określać stan rzeczy?

– Dobrze już, dobrze – rzekł Joe sympatycznym tonem. – Chciałem tylko wiedzieć, czy ma pan do niego chodzić co godzinę, o pełnych godzinach, i dlaczego. A tak przy okazji: o co panu chodziło z tą pożyczką? – dodał, zaciekawiony.

Cliff zaczynał wnioskować, że Joe Bianchi jest trochę za bardzo *nadgorliwy* i uznał, że młody lekarz też na nic mu się nie przyda. – Och, nie wiem – wyrzęził. – Ostatnio przepelnia mnie chęć spełniania dobrych uczynków. No, a ile takich talii kart marnują te pańskie przyjaciółki, Parki, w ciągu roku?

– A kto by tam liczył? – zdziwił się Joe.

– One nigdy nie wychodzą z tego przeklętego domu, nie? Chyba że idą na posiłek.

– O, pewnie, że wychodzą. Organizują wielkie wyjście do kina, mniej więcej raz w miesiącu. To cała wyprawa. Wybierają się na seans o siedemnastej i wtedy nie trzeba stać w kolejce, rozumie pan? A z drugiej strony, żeby nie zemdleć z głodu... – Joe miał niezły ubaw; oczy mu błyszczały – ...wcinają przed wyjściem, mówiąc, że to przekąska. Później, oczywiście, po seansie, ponieważ przekąska się nie liczy, idą na kolację. Już *im* się krzywdza nie dzieje, niech mi pan wierzy. To fajne stare babki.

– Ale i tak nie pojmuję, dlaczego pan tu mieszka – odezwał się Cliff, jakby roztargniony.

– Ani ja – odparł mu szybko Joe – nie pojmuję, dlaczego taki facet jak pan, który jeździ takim wozem, szwenda się po tej dziurze.

– O, mam swoje powody – rzucił Cliff pijackim tonem. – Może skazuję się na cierpienie. I jest w tym pewien przesąd. Jeśli dosyć się nacierpię, to nie będę musiał umierać.

– Cóż, w takim razie miłej zabawy – odpowiedział pobłaźliwie Joe i odszedł.

A Cliff pomyślał, obrażony: Dziś nie muszę udawać, że idę do tego cholernego szpitala, nie? Powiedziałem chyba, że co drugi dzień?

Położył się na plecach i rozmyślał. Uznał, że powinien znów zatelefonować do starego Reynarda i zdać mu relację. Czuł się jednak zbyt rozleniwiony, by zawracać sobie tym głowę. Przez cały dzień tylko się obijał. Zabawne – pomyślał – jak czasami wszystko się układa.

Tylko o co, u diabła – zachodził w głowę (przerzucając myśli na inny tok) – chodzi tej małej Sherry, że pozwoliła sobie tak zdrzeć z Reynardami? Musi być po prostu głupia. Przecież na pewno wyszłaby na tym lepiej. Dlaczego nie chce mieszkać w ich ogromnym domu i być obsługiwana przez ich służbę? I nie pracować? Czemu nie może mieć i rybki, i akwarium, jak mówi przysłowie? Nie rozumiał, dlaczego Sherry nie miałaby dostać tego, czego chce, gdyby podeszła do sprawy taktownie.

Z drugiej jednak strony, jeśli poważnie liczyła na to, że Ward kiedykolwiek zacznie odnosić sukcesy jako pisarz (na miłość boską!), to z pewnością jest głupia. Co to za pomysł, żeby tyrać za nędzną pensję, uziemiona fatalną rutyną, dzień i noc? Co ona sobie myśli? Że to szlachetność? Bezinteresowność?

No i co z nią teraz będzie? Znalazła się w niezłych tarapatach, o tak. Kompletnie splukana, z chorym dzieciakiem pod opieką, bez żadnej pomocy i w stanie wojny z potęgą. Ścierać się z kimś takim jak Edward Reynard, który był chętny, żądny i gotowy zniszczyć ją. Zapędziła się w kozi róg i nawet nie ma kto jej pomóc. Idiotka!

Cliff zaczął fantazjować. Wyobraził sobie scenę, w której Sherry wpadła w histerię,

przeklinała, wrzeszczała i dostawała szału w obecności jakiegoś sędziego. Zaprzeczała, zaprzeczała, wyprowadzona z równowagi jakimś skandalicznym kłamstwem.

Tak, kłamstwem. Cliff wzdygnął się i usiadł. No dobrze, więc miał pewien pomysł. I udało mu się tanim kosztem. Za cenę odrobiny szkockiej. Skrupulatność zawsze popłaca. Pobudza procesy twórcze. Skrawki i kawałki zaczynają układać się w całość.

Szalony pomysł! Tak, szalony, bo żaden młody Amerykanin z krwi i kości nie uwierzy w to ani przez chwilę. Jednak ludzie z tego domu uwierzą. Edward Reynard uwierzy. I najprawdopodobniej jakiś sędzia też. W sumie to całkiem niezły pomysł.

Nie zamierzał jednak się spieszyć. Jeszcze nie teraz. Na razie nie bardzo wiedział, jak to rozegrać. Nie był nawet pewien, czy spróbuje. Sam fakt, że *coś* wymyślił, poprawił mu nastrój.

Westchnął. Przede wszystkim – pomyślał – zanim cokolwiek zrobię, muszę odblokować te cholerne drzwi, które prowadzą do jej pokoju od podwórza. Tylko jak ja się tam dostanę i zrobię to, biorąc pod uwagę hałas i tym podobne? Chyba że wykombinuję, jak pozbyć się z domu wszystkich lokatorów.

Aha, i oto mały problem. Już wcześniej próbował go rozwiązać. Mógłby, na przykład, bez problemu wyekspediować państwa Peabody w każdej dogodnej dla niego chwili. (Najlepiej o zmroku – pomyślał.) Tylko co z Parkami? Na kolację wychodziły nieregularnie. To nie było pewne. Nie, trzeba wywabić je z domu w miarę wcześniej i na tyle długo, żeby starczyło mu czasu przed przyjściem Sherry Reynard. Wiedział, że przychodzi około siódmej. Wiedział, że jej harmonogram wpleciony jest w rytm szpitalnego życia. *To* było pewne. Z przyjemnością usiadł więc w ciszy i zaczął opracowywać plan usunięcia z domu wszystkich niewygodnych mu osób.

Potem, czyniąc okrutne wysiłki, aby zneutralizować oddech, zszedł na dół do salonu i zajął się Parkami. Miał już w głowie załączek pomysłu na to, co z nimi zrobić. Wierzył, że da radę zaimprovizować.

## Rozdział 9

Po drugiej stronie ulicy zajechały trzy karetki, jedna za drugą, a Parki przekonane były, że zdarzył się jakiś straszny wypadek. Liczyły ofiary i oceniały szanse przeżycia każdej z nich.



Cliff musiał zaczekać, aż przebiegnie ostatnia grupa ludzi w białych kitlach, zanim przyciągnął uwagę kobiet.

Lecz kiedy skoncentrowały się na nim, zapragnęły czegoś się dowiedzieć. Ciekawe były, gdzie jest ten dom, o którym on wiedział.

– Założę się, że nie ma frontowego okna, jak ten – powiedziała pani Link, wzdychając.

– A po drugiej stronie ulicy na pewno nie będzie szpitala – dodała pani Moran, zarzucając głową.

– A mnie się zdaje, że to ładne, podmiejskie osiedle – odezwała się pani Kimberly z lekką ironią. – Może troszkę zapuszczone? – Wlepiała swe niebieskie, starcze oczy w jego twarz.

Cliff mimowolnie poczuł się rozbawiony. Był też zadowolony z siebie, że znalazł już dom, który mógł teraz opisać. Oplącało się zwracać uwagę na szczegóły, o tak.

– Z tego, co wiem – odezwał się – *jest* tam dość przytulny pokój, doskonały do gry w karty. – Oświadczenie to nie wywołało radości na twarzach pań. Cliff zatem uciekł się do kłamstwa. – Z widokiem na ulicę – dodał i zauważył, że zostało to przyjęte trochę lepiej. Jednak skarcił sam siebie. Po co się wygłupiać i prowadzić z tymi starszkami głupią, bezsensowną grę? Grę? – pomyślał. O, wróciło. To ciekawe, jak jego wrodzona pomysłowość podchwytuje te szczegóły.

W międzyczasie, myśląc o czym innym, oznajmił zgodnie z prawdą: – A po drugiej stronie ulicy jest kościół.

Na te słowa ich twarze przybrały wyraz nadziei i życzliwości, którego nie mógł nie zauważyć. Przez krótką chwilę był zdziwiony.

– Rozdajcie karty – odezwała się pani Moran, wzdychając.

Cliff jednak miał swój plan. – Rozumiem – powiedział – że panie nie mają nic przeciwko zakładom, tak dla zabawy, od czasu do czasu. Skoro panie mówią, że *złożyłyby się* o to czy o tamto. – Uważał, żeby wypadło to żartobliwie.

– To zależy – odparła pani Moran z nieufnością w oczach.

– Powiem paniom, co chcę zrobić – powiedział, chwytając krzesło z prostym oparciem i przyciągając je do ich stolika. – Kupię talię Canfielda. Jaka stawka? Powiedzmy pięćdziesiąt pięć. Panie płacicie mi piątkę za każdą kartę, jaką zabiorę. Oczywiście, każda z pań pojedynczo. Kto za Canfieldem? – Wziął karty od pani Link i zaczął tasować.

– Gramy – powiedziała natychmiast pani Kimberly.

A Cliff wesoło informował, kto przekłada, rozdaje i rozgrywa trzy hazardowe partyjki Canfielda kolejno przeciwko niemu. Kobiety trzęsły się ze śmiechu i wydawały się wielce

rozbawione, kiedy udało mu się przegrać wszystkie trzy zakłady.

Wtedy Cliff oparł się na krzesło i powiedział: – Mówią, że jak pech w kartach, to szczęście w miłości. W takim razie spójrzmy. Pani Kimberly jestem winien... Zabrałem sześć kart, prawda? Razy pięć, to trzydzieści. Czyli jestem pani winien dwadzieścia pięć. Pani Link nie poszło najlepiej. Pani jestem winien dwadzieścia, proszę pani. I jeszcze pani Moran. Tu prawie mi się udało. Pani dostanie tylko dziesięć dolarów. Przykro mi.

Wszystkie zapiszczały. Zaraz, zaraz, jakie dolary! Myślały, że chodziło mu o centy. O nie, nie, panie Storm! Nie stać nas na grę za takie pieniądze. Były bardzo przejęte.

A Cliff powiedział: – Niech mi panie wierzą, dostałem porządną nauczkę. Ależ to frajerska gra, nie? Może więc pójdziemy na kompromis? Proszę mi pozwolić spłacić dług – chociaż tak – i zaproponować paniom bilety do kina. Panie wybiorą film. I dogodny termin. A mnie to wyjdzie taniej. I tyle.

Wreszcie zgodziły się, że jeżeli na pewno zapamięta tę nauczkę, pozwolą mu się zaprosić... hm... może w sobotę? Chodziły zazwyczaj na seans o siedemnastej.

– Świetnie – odparł. – Łakocie też zostaną wliczone. Nalegam. – Po dalszych przekomarzaniach na temat różnic między dolarami a centami, przekonał je, aby każda przyjęła dziesięciodolarowy banknot.

Następnie wyszedł z domu i zatelefonował do agenta nieruchomości. Cliff powiedział, że najemcy, o których wspominał, będą mogli obejrzeć dom w sobotę, między siedemnastą trzydzieści a siedemnastą czterdzieści pięć. Czy będzie to możliwe?

– W sobotę! – jęknął agent. – Przecież ten facet pracuje w soboty... Może w niedzielę?

– Odpada – odrzekł stanowczo Cliff. – To religijni ludzie. Niech pan spróbuje w sobotę wieczorem, dobrze? A tymczasem może pan szykować papiery do depozytu. Zdaje mi się, że to pewna sprawa. Ci ludzie niewątpliwie dostrzegą tam dla siebie sporo korzyści, jeśli, oczywiście, nie znajdą nic innego, zanim pan się z nimi spotka.

– No cóż, z przyjemnością oprowadzę ich w sobotę, jeśli to jedyny termin, który im pasuje – odrzekł mężczyzna. – Czy ja mam gdzieś nazwisko tego pańskiego, hm, klienta?

– To niejaki pan Edward Reynard – oznajmił Cliff.

– Aha, rozumiem – rzekł mężczyzna. – Cenę już chyba panu podawałem...

– Biorąc pod uwagę, że to Reynard, może pan podbić ją o kilka tysięcy – zasugerował delikatnie Cliff. – I niech to zostanie między nami.

Śluby tam będą – zaczęła pani Link, kłapiąc górną sztuczną szczęką z zadowoleniem.

– I chrzty? – dodała pani Kimberly. – Będzie ich co najmniej kilka. A do tego, rzecz jasna, nabożeństwa różne...

– Nie zapominajcie o próbach chóru i pogrzebach – odezwała się pani Moran. – Cholernie dużo dzieje się w takim kościele. Ho, ho. – Jej pulchne ramiona zadrżały. – Zdaje mi się – dodała, poważniejąc – że będzie na co popatrzeć.

Plasnęły kartami.

– Na kartach to on się nie zna – wybuchła nagle pani Link. – Kiedy grał ze mną, trzy razy nie udało mu się położyć dobrej czarnej karty na czerwoną, żeby dostać króla.

– Ha, a ja miałam trzy piki i cztery karo, i żadnej z nich nie wyjął – dodała pani Kimberly, ożywiona. – Śmiałam się sama do siebie.

– Ze *mną* aż tak bardzo się nie wygłupiał – oświadczyła pani Moran.

Karty padły, klap klap.

– Okazuje się, że niezły z niego żartowniś, prawda? – stwierdziła w zamyśleniu pani Moran. – A gdzie się podziały jego maniery towarzyskie? Kto chce się założyć o to, że to powierzchowny typek?

Gdy Sherry wróciła, jak zwykle, o siódmej, na stoliku pod lustrem znalazła list. Był miejscowy. Upłynęło zbyt mało czasu, żeby otrzymać odpowiedź z Nowego Jorku. Weszła do salonu i przywitała się z Parkami, rozdzierając jednocześnie kopertę. W środku był czek od pana Dodda z Klubu. Na osiem dolarów i pięćdziesiąt centów.

Na jego widok skrzywiła się, uśmiechnęła się do pań, poinformowała je, że Johnny czuje się już na tyle dobrze, że jest niegrzeczny, poczęstowała je karmelkami z małego pudełka, które kupiła w kafeterii, i poszła do swego pokoju. Powinna umyć włosy i zrobić małe pranie. Jednak usiadła tylko na łóżku i wpatrywała się w ścianę.

W tej samej chwili Cliff Storm był w kuchni i rozmawiał na temat domu. Zapytał, ile tu wynosi czynsz (lustrując jednocześnie wzrokiem prywatne „królestwo” pani Peabody) i oznajmił, że w nowym domu na pewno będzie on nieco niższy. Pan Reynard wyremontuje go, rzecz jasna, i być może dokona kilku drobnych zmian.

I czy państwo Peabody mogliby pojechać zobaczyć dom w sobotę późnym popołudniem, na przykład około osiemnastej? Agent, który ma klucze, to niezwykle zapracowany człowiek i proponuje najwcześniejszy termin, jaki mu odpowiada. A tak, oboje. Pan Reynard chciałby, żeby decyzję podjęli razem. Cliff powiedział agentowi, że pani Peabody jest doświadczoną gospodynią domową, a pan Peabody to majster od wszystkiego.

*Oni* nie będą mieli nic do czynienia z agentem. Cliff zajmie się wszelkimi kontaktami z panem Reynardem.

Trochę mu było przykro, mówił, że w sobotę nie będzie mógł pojechać razem z nimi, ale i tak nie zna domu. To jak, są umówieni?

Pani Peabody przewróciła oczami. Nie była pewna, czy oboje mogą wyjść z domu w tym samym czasie.

– Chodzi o Elsie? – spytał Cliff. Ze swojego miejsca mógł zajrzeć do małego pomieszczenia (dawniej pokoju dla służby?), który najwyraźniej służył wyłącznie jako sala telewizyjna. Była tam Elsie. Jej niskie krzesło stało zbyt blisko odbiornika; jej za duża głowa jakby tam zastygła. Oto całe jej życie.

– Wiecie państwo – mówił dalej Cliff. – Myślę, że *mnie* uda się zostać tu do państwa powrotu, a wrócić państwo szybko. Na pewno przed ósmą. A ja mógłbym przecież wszystkiego dopilnować. A poza tym co takiego może się stać? Ona będzie oglądała sobie programy, prawda?

Odpowiedzieli, że oczywiście, że tak. Elsie to bardzo grzeczna dziewczynka – posłuszna, nie sprawia kłopotów. Obawiali się tylko jakiegoś nagłego wypadku. Gdyby zdarzył się, na przykład, pożar, Elsie ich zdaniem nie będzie nawet świadoma niebezpieczeństwa. Zazwyczaj jednak przebywa tam, gdzie teraz. I jeśli pan Storm nie ma nic przeciwko...

Cliff pomyślał o ludziach, którzy mieli psy. Przypomniał sobie, jak właściciel zaznajamiał go z psem obronnym jako kogoś, kogo nie trzeba się strzec, bo to swój. Właśnie tak państwo Peabody zaznajomili go ze swoją córką. Uświadomił sobie, że od tej chwili będzie mu posłuszna, zwłaszcza wtedy, gdy wyda jej polecenie dwa razy, jak jej matka i ojciec.

Postarał się przyjąć dobronudną, a zarazem lekko surową postawę. Uznał jednak, że rozwiąże w ten sposób wszelkie problemy z Elsie. Ona zrobi wszystko, co on jej powie. I wykorzysta ją; musi ją wykorzystać. Była jak ludzka glina, która wpadła mu w ręce.

A państwo Peabody zaczęli wychwalać pana Storma, że jest tak życzliwą osobą, jakiej od dawna nie spotkali, i niewątpliwie prawdziwym przyjacielem.

Cliff bronił się przed pochwałami. Następnie powiedział: – A tak przy okazji, skoro już mowa o przyjaźni, to może powinienem powiedzieć coś państwu na temat pani Reynard. Jak widzę, ostatnio wydaje mnóstwo pieniędzy tu i tam. Banki raczej nie mogą jej tutaj znaleźć. A ja bym nawet nie pomyślał, że ma tak świetną zdolność kredytową. Mówię państwu po przyjacielsku; być może warto o tym pamiętać.

Tu mała uwaga, tam drobna sugestia; nigdy nie wiadomo – powiedział sobie w myślach. W jego mrocznym umyśle rodził się jakiś pomysł z pieniędzmi.

Uwolnienie się od dalszych wylewności potrwało długą chwilę. W końcu udało mu się pójść z powrotem do salonu.

Panie przemówiły od razu.

– Przyszła – oznajmiła pani Kimberly.

– I już jadła – dodała pani Link.

– I dostała list – podsumowała pani Moran – z czekiem.

A Cliff tylko stał i wpatrywał się w nie. Wreszcie ocknął się i powiedział: – Aha! Chodzi o panią Reynard? Och, oczywiście, dziękuję. – Przybrał ironiczny uśmiech (taką miał nadzieję) i dodał: – Dobranoc paniom – po czym szybko wyszedł.

Jak to się stało, że tak łatwo zdradził się ze swoim zainteresowaniem?

A niech to diabli!

Słuchaj no, koleś – zaczęła Sonia – skąd taka pewność, że *tobie* wolno wparować tak nagle...

– Bo mnie wolno – odparł.

I rzecz jasna, miał rację. Sonia to nieskomplikowana osoba.

Na świecie roiło się od takich jak ona.

W swojej małej klitce Sherry czuła się przygnębiona. Zmartwiła się tymi ośmioma dolarami i pięćdziesięcioma centami. Smuciło ją też to, że sprzedała pierścionek. Kiedy spienięży się coś, co uważało się za swoje zabezpieczenie, przestaje ono istnieć.

Powiedziała sobie, że będzie trzeba po prostu wrócić do pracy. Wrócić do Klubu. Przeżyje jakoś dzięki tamtejszym napiwkom, i w ogóle dlaczego sądziła, że Johnny będzie jej potrzebował w nocy? Tam, gdzie przebywał, miał dobrą opiekę; nie musiałyby nawet zatrudniać opiekunki. Mogłaby być przy nim w ciągu dnia, tak jak przedtem. O tak, jutro zatelefonuje do pana Dodda. Rzecz jasna, nie wypada prosić o dawną pracę tylko na parę dni. Wkrótce będzie musiała wyjechać. Ale on chyba zrozumie.

W tej chwili przypomniała sobie, że jest winna pannie Erskine dziewięć dolarów. Spojrzała na czek i pomyślała: „Brakuje mi tylko pięćdziesięciu centów.” Ale wtedy jej umysł zaprotestował. Niech Ward zapłaci. Przecież żyje, prawda? I nadal jest ojcem Johnny’ego.

Pobłażając sobie, opadła na łóżko i przytuliła policzek do taniej, bawełnianej narzuty. *Przecież żyje*. Chciała wiedzieć, jak się czuje. To dlatego między innymi była wściekła na

Emily Reynard, bo ta nie chciała powiedzieć ani słowa o stanie zdrowia Warda.

Sherry uznała, że lepiej nie telefonować do nich do domu i nie pytać, jak Ward się czuje. Mogłoby to tylko rozbudzić coś, czego nie powinno się rozbudzać. Mogła mieć pokusę, żeby wrócić. I nie ma sensu udawać, że to jedynie pokusa. Możliwe, że udział Johnny'ego w całej tej scenie da się określić jako wypadek. Możliwe, że da się rozważyć powrót, nawet do tego domu. Wiedziała, że Ward jej potrzebuje, prawda? Mogła udać, że to jego potrzeba sprowadziła ją z powrotem. Mogła też udać, że to ona potrzebuje Warda. *Mogła* wydostać się z tego fatalnego stanu zawieszenia i osamotnienia. By spróbować jeszcze raz? Spróbować jeszcze raz? Jeszcze jeden raz? Och, to pokusa każe sądzić, że takie postępowanie będzie dobre i czule.

Jednak nie wolno jej tam pójść. Ma rację? Tak, ma rację.

Sherry zaczęła płakać. Płakała długo, bo rzeczywistość musiała być brutalna. Bardzo brutalna, o tak, i przez jakiś dłuższy czas wcale nie będzie lepiej. A może już nigdy nie będzie lepiej.

Po ciemku Cliff odezwał się do Soni: – Słuchaj, laleczko, niedługo poproszę cię, żebyś zrobiła dla mnie kawał przez telefon.

– Co? Co takiego? – zamruczała leniwie Sonia. – Komu?

– Dam ci numer i nazwisko tej kobitki. I napiszę ci, co masz mówić.

– Mam nadzieję, że to będzie złośliwe – odrzekła. – Mówisz, że kobitka?

– Nie zdradzę ci, co to za gra – rzucił Cliff. – Ale bądź spokojna. To będzie aż nazbyt złośliwe.

– Świetnie. Więc dlaczego mi nie powiesz?

Cliff westchnął i przewrócił się na drugi bok.

Wchodząc o czwartej rano po skrzypiących schodach w domu pani Peabody, Cliff przywołał w pamięci fakt, iż przy nocnej kolacji, w zaprzyjaźnionym gronie konkurentów, dawał do zrozumienia, że szykuje się jakiś interes. Rzecz nie w tym, co powiedział, lecz w jaki sposób zachowaniem ujawnił, że spodziewa się wzrostu akcji. Oczywiście, nikt w to nie uwierzył. Aluzji do potencjalnej przewagi nigdy w tej branży nie brano pod uwagę. Na dobrą sprawę często traktowano je jako przejaw autentycznej desperacji. I właśnie dlatego było to niezwykle urocze – niezwykle urocze! – gdy okazywało się, że taka aluzja zawierała w sobie prawdę.

Pomyślał sobie, że udało mu się osłodzić nieco smak nagrody.

Rano trzeba będzie znowu zadzwonić do Reynarda. I zabrać się do rzeczy. Wygląda na to, że powinien głęboko przeanalizować ten szalony pomysł i postarać się dopracować szczegóły. *Ma Elsie. Elsie jest bezbronna.*

Bo jeśli nie to, to co? Co innego mógłby zrobić?

Mając już wybrany cel, trzeba pomyśleć dalej. Najlepiej, żeby Sherry Reynard robiła wrażenie kogoś, kto dopuścił się czynu, który jakiś sędzia, jakiś nieczuły (zapamiętać to) przedstawiciel Społeczeństwa (przez duże „S”) niewątpliwie uznałby za godny potępienia.

Tylko co to mogłoby być, do diabła? Co w dzisiejszych czasach Społeczeństwo uważa za godne potępienia? Jedyne fizyczne lub psychiczne upośledzenie mogłoby, rzecz jasna, wykluczyć jej opiekę nad dzieckiem. Ale Cliff nie może przecież okaleczyć jej fizycznie. Oczywiście mógłby, przynajmniej na jakiś czas, wytrącić ją z równowagi psychicznej przy pomocy jakiegoś narkotyku. Ta myśl przez cały czas chodziła mu po głowie. Jednak musi być coś więcej.

A gdyby znalazła się w więzieniu? Tak. To było dobre. I podziałałoby na Społeczeństwo. A więc przestępstwo? Tak, ale to oznacza, że trzeba je popełnić. A Cliffa nie interesowało popełnianie przestępstw po to tylko, żeby zrobić ją jako ich sprawczynię. To byłoby dla niego za wiele. A jeśli już o tym mowa, to jakie przestępstwa w dzisiejszych czasach Społeczeństwo bezwzględnie potępia?

Znęcanie się nad starszymi osobami na ulicy? Podpalanie budynków? Nie bądź niemądry. Chwileczkę. Przecież w tym przypadku mogłoby to być przestępstwo majątkowe.

Położył się do łóżka; myśli miał klarowne i smutne.

Ale jednocześnie – wnioskował, rozmyślając dalej – powinien obrócić przeciwko niej jakąś silną emocję, która wciąż istnieje w sercu ogółu.

I co to miałyby być? Strach? Przed bombą, na przykład? Przecież nie może jej zmusić do tego, a potem dokąś odesłać i oznajmić, że uciekła, chociaż zamachowców bezwzględnie potępiano. Ale co innego? Cliffowi nic nie przychodziło do głowy.

Kiedyś jednak istniało coś takiego, jak presja publicznej dezaprobaty. Pewnych postępów „unikano”, nie tylko z obawy przed nieprzestrzeganiem prawa, ale dlatego, że sprawca na zawsze utraciłby coś, co kiedyś uważano za cenne – swoją reputację.

Cliff skłonny był wierzyć, że pewne przestępstwa nadal spotykają się z dezaprobatą społeczną. Na przykład porwanie postrzegano jako coś potwornego.

Nie, zapomnijmy o tym. Nie może przecież zrobić z Sherry porywaczki. Mimo wszystko przysłała mu w związku z tym do głowy pewna myśl.

Coś mu zaświtało; w jego głowie zrodził się nietypowy pomysł. Ucieczka! Ucieczka z miejsca wypadku! Niewybaczalny grzech kierowcy!

Tak bardzo go to ucieszyło, że natychmiast zapadł w smaczny sen.

## Rozdział 10

Przy śniadaniu w piątkowy rano nastąpiła seria drobnych konfliktów.

Doktor Bianchi, jak zwykle, wyszedł wcześniej, a Cliffa na dole nie było. Kiedy Elsie przysłała nalać Lawtonowi Archerowi soku pomarańczowego, w chwili hipnotycznego uwielbienia przypadkiem wylała mu kilka kropel na ramię, na co Archer gwałtownie odsunął krzesło od stołu i odezwał się głosem nieoczekiwanie wyższym o oktawę: – Pani Peabody, przykro mi to mówić, ale mam inne plany. Muszę powiadomić panią, że w ciągu tygodnia wyprowadzam się stąd.

– Wyprowadza się pan w ciągu tygodnia – powtórzyła złośliwie pani Peabody, a w jej lewym oku zabłysła złość.

A skoro wypowiedź została powtórzona, dotarła ona do Elsie. Zarzuciła do tyłu swą dużą głowę i zaczęła cichutko wyć, jak pies do księżycy. Było to szokujące, przykre, niesmaczne, żalotne i nieznośne.

Archer wstał i najzwyczajniej się wymknął. Pani Peabody podniosła się, pochwyciła Elsie, wyprowadziła ją z jadalni i zabrała do kuchni. Po chwili zjawił się pan Peabody, zataczając się i, ku wielkiemu zaskoczeniu, zasiadł pijany przy dzbanku z kawą. Jednak kilka sekund później pojawiła się znów pani Peabody i nakazała mu wracać na swoje miejsce jedną surową komendą.

Podczas całego tego zamieszania Parki piły i jadły w czujnym milczeniu, Sherry zaś przyglądała się z otwartymi ustami.

– Pani Reynard! – W głosie gospodyni brzmiała furia, a Sherry pomyślała sobie: „Co ja takiego zrobiłam?...” – Proszę mi dzisiaj zapłacić czynsz za kolejny tydzień, jeśli łaska.

– Dzisiaj? – zdziwiła się Sherry. – Przecież tydzień jeszcze nie minął.

– Wiem – odparła chłodno właścicielka – ale jeżeli chce pani mieszkać w tym pokoju przez kolejny tydzień, wynajem proszę opłacić teraz. Inaczej nie obiecuję, że pokój będzie nadal do wynajęcia.

– Tak, chciałabym zostać tu jeszcze przynajmniej przez tydzień. A więc to chyba bez



znaczenia. – Sherry z trudem przełknęła ślinę. Ostatnio nie ruszała się nigdzie bez swojej torebki, bo miała w niej bilet i pieniądze za pierścionek. Był tam również czek. – Czy przyjmie pani część kwoty czekiem? – spytała. – Wystawiony jest na moje nazwisko.

– Raczej nie – burknęła pani Peabody.

Sherry odliczyła więc dwie dziesiątki i pięć banknotów jednodolarowych i wręczyła je właścicielce, która podziękowała jej lodowatym tonem.

– Pokwitowanie nie będzie mi chyba potrzebne – rzuciła Sherry, sama nieco zdenerwowana. – Te panie będą moimi świadkami.

– Oczywiście, że przyniosę pani pokwitowanie – odrzekła pani Peabody ze złością. Wstała i wybiegła do kuchni.

– Co ja zrobiłam, że tak się na mnie wścieka? – zwróciła się Sherry do Parki.

Parki nie odpowiedziały. Co dziwne, dalej piły i jadły w milczeniu.

No cóż! Sherry musiała zadzwonić, i to natychmiast, jednak nie chciała korzystać z telefonu w holu przy wejściu.

Poszła do szpitala, dodając i odejmując po drodze. Wcześniej miała czterdzieści osiem dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów, jeszcze z wczorajszej kolacji. Dodać osiem pięćdziesiąt (był jednak problem ze spieniężeniem tego czeku). Ale teraz, po odjęciu tej horrendalnej sumy dwudziestu pięciu dolarów, bilans wynosił trzydzieści dwa czterdzieści pięć.

Skorzystała ze szpitalnej budki telefonicznej i zadzwoniła do pana Dodda. Ku jej zaskoczeniu, nie był on szczególnie zadowolony z tego, że dzwoni, a ponadto nie chciał, żeby wróciła do pracy. Płatał się, jękał, owijał w bawełnę, ale całkowicie jasno dał jej to do zrozumienia.

Nie powiedział jednak, *dlaczego*.

Sherry odwiesiła słuchawkę i zastanawiała się, co się dzieje. O co tu chodzi? (Miała już tylko trzydzieści dwa dolary i dwadzieścia pięć centów.)

Johnny brał w tej chwili poranną kąpiel, więc Sherry wyszła na zewnątrz i powoli udała się do graniczącego z terenem szpitala niewielkiego parku. Przez jakiś czas przechadzała się alejkami. Listy do Nowego Jorku wysłała pocztą lotniczą w środę. Na pewno do czwartku doszły. Być może już dziś, w piątek, otrzyma odpowiedź.

Listonosz przychodził każdego ranka niemal punktualnie o dziesiątej, więc na krótko przed tą godziną Sherry ruszyła prosto z powrotem do pensjonatu.

Parki nie stawiały się jeszcze na swoim „posterunku”. Sherry usłyszała szum odkurzacza w swoim pokoju. Drzwi były otwarte. Elsie, pod okiem swojej wszechobecnej

matki, często zajmowała się sprzątaniem na parterze. Obie na pewno były w środku.

Sherry usiadła więc w salonie. Wkrótce potem pan Peabody zataczającym się krokiem wyszedł z jadalni i powitał ją kumoterskim spojrzeniem.

– Proszę, proszę! Pani sama, he? Ale okazja, droga paniusiu. Może strzeli sobie pani jednego po przyjacielsku ze starym? – Pod pachą miał prawie pełną butelkę. – No dalej – zachęcał ją. – Mam tego jeszcze więcej.

W jego oczach dostrzegła smutne przeświadczenie, że ten dzień już upłynął i umknął mu. Ale jednocześnie zdawał się być przekonany, że nawet o tej porze rano Sherry na pewno dokucza przeraźliwe pragnienie.

Podziękowała, odmawiając najtaktowniej, jak umiała. Ale on nalegał. Sherry wycofała się więc i stanęła za zasłoną, w zakazanej części budynku, ustalonej przez właścicieli jako „męska”.

W tym momencie, w dalszej części korytarza, po przeciwnej stronie zasłony pojawiła się pani Kimberly. Bo pan Peabody zaczął szlochać z żalu. Twarz pani Kimberly nabrała wyniosłego wyrazu. Sherry poszła więc do swojego pokoju. Pani Peabody trzymała ścierkę do kurzu i przecierała nią klosz z góry na dół. Elsie posuwała odkurzacza do przodu i do tyłu, z urzeczoną miną.

– Aha – powiedziała właścicielka. – Chodź, Elsie, pani Reynard chce wejść do pokoju. – Pani Peabody wyłączyła urządzenie stopą. Kiedy hałas ucichł, Elsie podniosła głowę i popatrzyła głupawo.

– Proszę jej pozwolić skończyć – odezwała się Sherry. – Usiądę sobie w kącie. Czekać tylko na pocztę.

– Rozumiem – odparła właścicielka. – Ale przecież zapłaciła pani za swoją prywatność. – Wybiegła wzburzona za drzwi i odeszła.

Sherry zauważyła, że kobieta miała nieodpartą ochotę jeszcze bardziej się rozzłościć, a w szczególności dlatego, że brakowało jej powodu. Sherry natomiast wytężyła słuch, aby sprawdzić, czy pan Peabody ciągle szlocha. A jeżeli tak, i jeżeli powie, że „paniusia nie chciała z nim wypić” czy coś podobnego, znów wyjdzie na jaw „potęga zła” Sherry Reynard. A jakże! Wstrzymała oddech, żeby się wsłuchać, i podskoczyła, kiedy pani Link przechodząc, zajrzała do pokoju.

Panowała tam niepisana zasada (z tego, co dowiedziała się Sherry), że w tym skrzydle budynku panie nie rozmawiały. Ta część przeznaczona była na prywatność i odpoczynek od rozmów. A więc nie odezwała się. Tęga, starsza pani też nie. Wkrótce jednak Sherry uświadomiła sobie dwie rzeczy: pan Peabody najwyraźniej odszedł, a ona sama zachowywała

się dokładnie tak, jak gdyby z jakiegoś powodu była winna.

Otrząsnęła się i ujrzała Elsie, która wciąż tkwiła tam, otępiała i zapomniana. – Pokój wygląda bardzo czysto i porządnie, Elsie – powiedziała do niej Sherry, uśmiechając się. – Bardzo czysto i porządnie.

Twarz dziewczyny rozpromieniła się, a Sherry pomyślała: biedactwo. Gdyby tylko ktoś poświęcił jej trochę więcej uwagi, to może...

Wtedy w drzwiach stanęła właścicielka i nakazała Elsie opuścić pokój, tak jakby to Sherry tego sobie życzyła i wielce tym uraziła panią Peabody.

Więc Sherry siedziała sama i rozmyślała. Mimowolnie czuła, że wokół niej dzieje się coś dziwnego. Odnosiła wrażenie, że wszyscy obrócili się przeciwko niej. – No, no! Daj spokój, mała – skarciła się głośno. Wiedziała bardzo dobrze, że człowiek nie powinien mieć tego typu odczuć i nigdy nie wolno się do nich przyznawać. Paranoja? Urojone prześladowanie? Powinna mieć się na baczności.

O dziesiątej wyszła z pokoju. Parki usadowiły się już przy oknie. Odwróciły twarze bez wyrazu, a ich oczy zdawały się błyszczeć od podejrzliwości.

Nie, nie, to *nieprawda* – tłumaczyła sobie Sherry. Powiedziała im, że czeka na pocztę. Czy już nadeszła?

Tak, nadeszła. Ale listu dla pani Reynard nie było.

– Spodziewa się pani czegoś ważnego? – spytała pani Kimberly, wyginając szyję, ściągając w dół mały podbródek i uwydatniając drugi.

– Tak – odparła Sherry. Po czym, rzucając się ślepo na cień, który zdawał się ją otaczać, dodała: – A *pani* co do tego? – I natychmiast pożałowała. – Przepraszam, pani Kimberly – powiedziała zmienionym głosem. – Tak, to dla mnie bardzo ważne. Spodziewam się listu od przyjaciółki.

– Takie są najlepsze – podsumowała powściągliwie pani Moran.

– Zgadza się. Przepraszam.

Sherry wyszła i przeszła przez ulicę. Ile razy przechodziła wtedy, tym wąskim traktem? I ile razy będzie jeszcze musiała chodzić tak tam i z powrotem, do środka, na zewnątrz, na górę i na dół, tą samą drogą? Czy to wytrzyma? Czy *to* ją mierzi?

Była skłonna zgodzić się z panem Peabody. Ten dzień przepadł. Zapowiadało się na Smutny Piątek.

Siedząca przy oknie pani Kimberly nie zdołała zachować milczenia, zabierając damę pik. Była przygnębiona i niewątpliwie trochę obrażona. Koleżanki nic nie powiedziały. W końcu pani Kimberly, której twarz uniosła się w uśmiechu, spytała: – A ile to ja mam lat?

– Wystarczająco dużo – odpowiedziała jej czule pani Moran.

– To młodzi przywiązują do wszystkiego zbyt wielką wagę – rzuciła leniwie pani Link. – Biedaczyska. Rozdawaj karty.

Kiedy skacowany Cliff Storm wydzwignął się wreszcie z łóżka o jedenastej przed południem, wyszedł z pensjonatu i nawet nie wyjrzał zza rogu ściany, żeby przywitać się z paniami.

Idąc chodnikiem, ruszył w lewo, opamiętał się, zmienił kierunek i powoli, nieoczekiwanie o wiele mniej energicznym krokiem poszedł w stronę skrzyżowania przy szpitalu, zmienił jednak zdanie i nie przeszedł na drugą stronę.

– Coś się dzieje – zauważyła pani Moran, ujmując rzecz krótko i zwięźle.

Kiedy w południe, w ten Smutny Piątek, przyszedł lekarz, Sherry nie zdołała wydobyć z niego nic konkretnego odnośnie daty wypisania Johnny'ego ze szpitala. Wkrótce zaczną go wyprowadzać z łóżka. A potem zobaczą. Lekarz był zadowolony ze stanu zdrowia Johnny'ego. Tylko tyle mógł na razie powiedzieć. A Sherry nie mogła winić lekarza za to, że nie może jej podać dnia ani godziny.

W szpitalnym biurze nie mogła też uzyskać żadnych konkretnych informacji o końcowym rachunku kosztów leczenia. Nie była w stanie podać im czasu trwania leczenia, więc nie miała możliwości wywierania na nich presji. To nie ich wina. To po prostu straszny pech dla Sherry.

Na obiad zjadła niskokaloryczne danie, zdając sobie sprawę, że powstrzymywanie się od jedzenia jest głupotą, chociaż przerażała ją fakt, że tych pieniędzy ma tak niewiele. Wciąż zdawało jej się, że jeśli przy wydatkach osobistych sięgnie po pieniądze za pierścionek, narazi się na brak gotówki w najbardziej krytycznym momencie.

Co jeszcze miała do sprzedania?

Sherry nie posiadała zegarka. Nie miała też żadnej innej wartościowej biżuterii. Zaczęła przywoływać w pamięci wyposażenie w swoim poprzednim miejscu zamieszkania. Czy jest tam coś, do czego ma prawo i co mogłaby zamienić na gotówkę? Może jakieś urządzenie? – zastanawiała się. Na przykład toster. Był to prezent ślubny. Pat Sims (obecnie Anderson) dała go jej.

Sherry pomyślała, że lepiej będzie zapytać najpierw pana Jordana, chociaż rozmowa telefoniczna wyniesie ją dziesięć centów.

Pan Jordan oznajmił, że trochę martwi go to, co się ostatnio dzieje w domu.

– *Ostatnio?*

Tak, zdaje się, że pani Emily Reynard, nieco arbitralnie, postanowiła bez porozumienia z innymi, że wszystko ma zostać wywiezione na przechowanie. Właściciel chciał się tego pozbyć, w przeciwnym razie domagał się zapłacenia czynszu za kolejny miesiąc. Opłaty za przechowanie będą trochę niższe niż czynsz za wynajem lokalu, w którym nikt nie mieszka, ale Reynard nie ma do tego prawa. Jego adwokat, Samuel Murchison, też się przejął. Zatelefonował do Jordana i zapewnił, że jego klient bez problemu zobowiązuje się pokryć koszty przechowania. A więc w zasadzie może to się obrócić na korzyść Sherry. A jeśli bardzo chce zdobyć te przedmioty, trzeba będzie postarać się o pisemną zgodę i tak dalej.

– Nie, nie – zaprotestowała Sherry. – Myślałam o tym, żeby sprzedać coś, co do mnie należy, bo jestem kompletnie spłukana. Ale boję się, że to, co za to dostanę, nie warte będzie całego zachodu.

Adwokat był zaniepokojony. O co jej chodzi? Jak bardzo spłukana? A ma przynajmniej najedzenie i dach nad głową?

Odpowiedziała szczerze: – Mam pieniądze zaoszczędzone na szpital. Ale poza tym cienko przędę, naprawdę.

– Rozumiem – odparł. – Chciałem zasugerować, że Reynardowie powinni dowiedzieć się o pani trudnej sytuacji. Musieliby chyba coś z tym zrobić. I na dobrą sprawę trudno mi uwierzyć, że zależy im, żeby pani w ten czy inny sposób cierpiała.

(Za to ja mogę w to uwierzyć – pomyślała Sherry.) – Wolałabym nie zwracać się do nich – powiedziała. – Zawsze mogę skorzystać z tych odłożonych pieniędzy. Przecież nie umrę z głodu. A poza tym poprosiłam o pomoc kilku przyjaciół. Odpowiedź dostanę pewnie jutro. Ale czy pan naprawdę uważa, że mogę dostać coś z oszczędności bankowych? Czy mogę na to *liczyć*, panie Jordan?

– Oczywiście – odpowiedział. – A z całą pewnością na ich połowę. Być może z punktu widzenia prawa nie należą one do pani, ale moralnie jak najbardziej. Zarobiła je pani, prawda? Jestem prawie pewien, że każdy sędzia, właśnie ze względu na to i na zachowanie drugiej strony, przyzna pani całość i wszystko, co jest częścią wyposażenia.

– Wie pan – przyznała słabym głosem – ja już sama nie wiem, czym tak się przejmowałam.

– A przy okazji – odrzekł – mam też dobre wieści. Termin przesłuchania ustalono za

tydzień, licząc od wczoraj.

– O, naprawdę? – Ciężar spadł jej z ramion. – Czyli na czwartek? Na przyszły czwartek?

– Właśnie. Na czternastą trzydzieści. Oczywiście, ja panią wezwę. – Tu dodał jej kilka objaśnień.

– Co tylko pan chce – westchnęła Sherry. – Och, co za ulga. Teraz mam wrażenie, że zniosę wszystko.

Odłożyła słuchawkę i zajęła się liczeniem. Trzydzieści jeden dolarów i dwadzieścia pięć centów (po obiedzie i rozmowie przez telefon). W porządku. Dziś wieczorem kolacja, obiad w czwartek... A więc wystarczy na posiłki przez sześć dni. No, nie jest tak źle, ponad pięć dolarów i dwadzieścia centów dziennie! Niskokaloryczne danie wyniosło ją dolara (z napiwkami), a na wieczór miała co najmniej dwie możliwości za półtora dolara (z napiwkami). O rany – pomyślała Sherry. – Mogę przetrwonąć nawet dwa dolary i siedemdziesiąt centów codziennie! Hurra!

Wypadła na korytarz i zderzyła się z Joe Bianchim, który zaraz też objął ją ramionami i nie chciał wypuścić. Ponad wszelką wątpliwość sytuacja ta przerodziła się w ostry flirt. Zrobiło się zamieszanie.

Ale Sherry otrząsnęła się z zaskoczenia, wyslizgnęła się szybko i zwinnie, nie urażając go. Joe był w tych sprawach na tyle obeznany, że od razu zrozumiał, o co chodzi, bez obrażania się.

– Och, sorry bardzo – odezwał się. – Chyba jakieś małe nieporozumienie. Ale dobrze tu pani, nasza laleczko?

Sherry uśmiechnęła się do niego szeroko, odpowiedziała, że świetnie, i wyraziła nadzieję, że jemu także. I odeszła.

Jednak siedząc przy łóżku Johnny'ego, kiedy bawił się kredkami i najwyraźniej wystarczała mu sama jej obecność, Sherry mimowolnie rozmyślała o pewnych rzeczach.

Dziwne! Jak to się stało, że młody lekarz zbliżył się do niej tak gwałtownie i bez jej zachęty? I dlaczego wcześniej pan Peabody był taki pewny, że ona potowarzyszy mu przy popijawie? I z jakiego powodu właścicielka naskoczyła na nią, żeby zapłaciła czynsz z góry, jak gdyby Sherry była jakąś łazęgą? Czyżby ktoś rozpuszczał złośliwe plotki na temat Sherry Reynard?

Och, daj już spokój – powiedziała sobie. – Lepiej przestań myśleć, że cały świat *jest* przeciwko tobie. Przecież ty wcale nie jesteś aż taka ważna, maleńka. To prawda, że na razie idzie ci trochę ciężko. Ale *nie daj się* zdołować.

Uznała, że pani Peabody, zdenerwowana nagłym wymówieniem Archera, po prostu wyładowała się na Sherry, a to przecież ludzka rzecz. Biedna kobieta ma swoje zmartwienia z powodu sytuacji finansowej.

A z kolei pan Peabody nie wiedział chyba, która jest godzina. To tylko przyjazny pijaczyna. A Joe Bianchi musiał się zachowywać jak typowy praktykant, chcący coś poderwać. A Parki? Interesowały się nią dlatego, że interesują się wszystkim. Nie mają *nic innego*. Tak więc wszystko dało się jakoś wytłumaczyć, i tylko Sherry nie powinna była odzywać się tak opryskliwie do pani Kimberly, ale poza tym – czym tu się przejmować?

W jednej chwili wstała i przeszła przez oddział tam, gdzie dziewczyna o wspaniałych, czarnych włosach pochylała się akurat nad małym pacjentem.

– Dzień dobry – odezwała się Sherry. – Dobrze się pani bawiła? Dziewczyna poruszyła szczęką.

– Wczoraj wieczorem – przypomniała jej Sherry.

Odruch żucia ustał. – Aha. Tak, chyba tak. – Skrzywiła się nagle. – Nie poszliśmy.

– Dlaczego? – spytała Sherry otwarcie.

– Nie wiem. To miało być na koszt firmy tego faceta.

– Jakiego faceta?

– Nie wiem, proszę pani. Pani... Reynard, tak?

– I dokąd on chciał nas zabrać? – dociekała Sherry.

– Nie wiem – odparła dziewczyna. – Do jakiejś knajpy, żeby się zabawić. – Spuściła oczy. – Robi się nudno, kiedy człowiek jest rozwiedziony, a dzieciak ciągle choruje i nigdy nie ma się czasu na rozrywkę. – Jej twarz przybrała posępny wyraz. Odwróciła się.

– Chyba tak – przyznała po chwili Sherry.

Wróciła na swoje miejsce, nakazując sobie ostrożność. Jej brak może wywołać poczucie winy. Sherry powinna to wiedzieć.

Uspokoila się, postanawiając, że będzie naprawdę bardzo ostrożna. Noce będzie spędzała w wynajętym pokoju – dawnej werandzie, jak w sterylnym więzieniu. Za dnia będzie przebywać w szpitalu, gdzie też jest dość sterylnie. Już niedługo. Jak tylko sąd wyda decyzję, przyzna jej opiekę i pieniądze, wszystko pójdzie łatwiej. Powinna jakoś wytrzymać do przyszłego czwartku. Na pewno nie wybierze się na żadne podejrzane randki w ciemno. Byłoby to po prostu bardzo głupie.

A więc przetrwać stan zawieszenia? Przetrwać czas, który włókł się jak powolny ścieg? Momenty wielkiej radości na widok wracającego do zdrowia Johnny'ego. A oprócz tego godziny czuwania przy dziecku, dostosowywanie swojego języka do jego słownictwa,

przesadna radość i rozpromienienie na oddziale przy innych matkach, które też nie traciły humoru. I przy innych dzieciach, małych dzieciach, często przygnębionych, niekiedy cierpiących, którym Sherry nie mogła pomóc.

Sherry pomyślała, że wolałaby kopać rów gołymi rękami. Albo pragnęła być, jeśli nie pielęgniarką, to chociaż asystentką. Ale jej praca to Johnny. W pewnych sprawach tylko ona mogła mu pomóc, nikt inny. Problem w tym, że nie była chyba w stanie zająć się *niczym innym*.

Nie stać jej było na to, żeby zadzwonić do którejś z dziewcząt z pracy, umówić się na obiad, na zakupy czy pojeździć autobusem po mieście. Musi przebywać na tej ulicy lub gdzieś w pobliżu. I na dobrą sprawę w dzień nie mogła nigdzie się wyrwać.

I te długie, płytkie okresy nicości między jednym a drugim. Noce, wieczory...

Wieczorami nie mogła nawet czytać. Zakurzone tomiska pani Peabody na oszklonych półkach były po prostu bardzo starymi, kiepskimi powieściami wiktoriańskimi o rozwlekłej fabule. Nie mogła tego znieść. Nie miała ze sobą karty bibliotecznej, a poza tym do biblioteki trzeba było jechać autobusem i płacić za bilet. Magazynów nie chciała. Przeczytała wszystkie szpitalne. Nie miała radia. Nie mogła nawet odmalować sobie paznokci. Nie stać jej było na zmywacz. I nie miała nawet tyle, żeby kupić talię kart.

Przypomniały jej się Parki i dziwnym trafem wczuła się w ich położenie. No tak, może przecież spacerować po parku, siedzieć w szpitalnym holu czy w salonie pensjonatu i obserwować, jak żyją inni.

Ale na to jest jeszcze za młoda! Młoda, stęskniona, rozmarzona, spragniona, ale w potrzasku. Zawieszona w próżni. Na jakiś czas. Tylko na jakiś czas. Czas ma to do siebie, że upływa – tłumaczyła sobie. Świat się kręci. To nie potrwa wiecznie.

Tego wieczoru Cliff Storm przywitał ją poirytowany. – Ile dni musiałbym czekać po tym, jak zaproszę cię na kolację? Jesteś udziałowcem tej kafeterii czy co? Zawsze kiedy uda mi się cię złapać, żeby zamienić z tobą słówko, jesteś już po obiedzie.

– Przykro mi – odparła Sherry. – Taki już ze mnie żarłok. – Jednak serce w niej podskoczyło i prawie zaśpiewało z uciechy na to spotkanie.

– Niech się pan umówi z nią na jutrzejszy wieczór – odezwała się cierpko pani Kimberly spod okna.

Sherry była zaskoczona. Wiedziała, że Parki mają zwyczaj obserwować i podsłuchiwać, ale rzadko kiedy się wtrącały.



Cliff Storm pstrykał palcami. – A niech to szlag! Jutro nie dam rady. Może w niedzielę? – Uśmiechał się do niej promiennie. Wydawało się to bardzo miłe.

– Dziękuję – odparła Sherry. – Z chęcią. – Odczuła ogromną ulgę. Czemu nie? Przecież ten facet nie stanowi zagrożenia. – Ale ostrzegam, że do niedzieli – dodała figlarnie – może ze mnie zostać skóra i kości.

– Chyba nie na poważnie? – spytał szybko. – Bo skoro tak, to ja...

– Nie, nie, nie na poważnie – uspokoiła go. I usiadła. Nie zaszkodzi troszkę pożartować, i to z kimś z tej samej epoki, szczególnie tutaj, gdzie trzy przyzwoitki przysłuchiwały się każdej sylabie.

– Może mógłbym jakoś zaradzić? – Cliff usiadł na tej samej sofie, ale o metr dalej. Dobrze wiedział, że nie powinien pchać się bliżej. Chciał tylko wiedzieć, ile ma pieniędzy.

– A mógłbyś spieniężyć mój czek? – spytała, nagle olśniona.

– Oczywiście.

Podpisała czek, a on dał jej osiem dolarów i pięćdziesiąt centów. Podziękowała mu serdecznie. Zapamiętał kwotę, bardzo niewielką. Jej lewa dłoń, ogołocona ze wszystkiego prócz prostej obrączki ślubnej, znalazła się przed jego oczyma, ale nie skwitował tego.

– Sherry – powiedział – czy mogę zapytać cię o coś, co nie jest moją sprawą?

– Tak – odparła. – Oczywiście, mogę nie odpowiedzieć.

– Dlaczego nie pławisz się w ogromnej forsie? Przecież staremu Reynardowi nie zostało już tylko ostatnie sto tysięcy, prawda?

– To nie ma nic wspólnego ze mną – odpowiedziała powoli.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego. Dlaczego, na przykład, nie pozwolisz Reynardowi opłacić leczenia? Dlaczego... Przepraszam, ale trochę mnie tym zdumiewasz...

Patrzyła na niego, zamyślona.

– Czego tak bardzo się boisz? – dociekał niecierpliwie.

– Na pewno widziałeś się z nimi – odparła. – Więc możesz się chyba domyśleć.

– Posłuchaj, Sherry – powiedział szybko Cliff. – Przecież piekielnie ciężko będzie ci samej wychowywać dzieciaka, prawda?

– Na pewno – odrzekła miłym tonem, ale on prawie skulił się pod spojrzeniem jej ciemnoniebieskich oczu.

– Wiem, że to nie mój interes – dodał, odwracając wzrok – ale kiedy pomyślę o wykształceniu, podróżach, korzyściach, jakie mogliby zapewnić temu dziecku. Zgoda, to tylko ciąg banałów. Ale czy oni *nic* nie znaczą?

– Oczywiście, że znaczą – odpowiedziała poważnie.

– Ale ty i tak go nie oddasz – stwierdził stanowczo.

– Nie – odparła spokojnie.

– Posłuchaj, skoro już dyskutujemy – ciągnął, nakłaniany osobistą ciekawością. – Czy nie przyszło ci do głowy, że kiedyś będziesz chciała ponownie wyjść za mąż?

– Prawdopodobnie tak będzie – przyznała Sherry, patrząc przed siebie smutno i spokojnie.

– Czasami – dodał – mężczyźni woleliby... hm... nie brać na siebie odpowiedzialności za syna innego faceta. Nie chcę być... Pewnie jestem diabelnie wścibski i wredny. Ale chodzi mi o *ciebie*.

– Tak sądzisz? – spytała szeptem. Wyglądała na ubawioną. (Przez nią czuł się jak palant, do cholery!)

– Och, za słabo się staram zrozumieć twój punkt widzenia – rzucił cierpko. – Ale co z karierą? Mogłabyś przecież znowu odnosić sukcesy w show-biznesie, skoro zawsze tego chciałaś. I robić wszystko, do diabła. Bo, mówiąc całkiem poważnie, myślę, że mogłabyś zdobyć tyle pieniędzy, ile ci potrzeba, żeby nie martwić się o utrzymanie przez najbliższe kilka lat.

– I jak miałabym to zrobić? – spytała.

– Po prostu powiedz Wardowi, że na określonych warunkach dostanie chłopaka.

(Jeśli ją do tego *namówi*, to będzie się liczyło, prawda?)

Zaskoczyła go. – A czy Ward rzeczywiście go chce? – spytała żałośnie.

– Naturalnie – odparł Cliff.

– Miałam nadzieję, że nie – przyznała. – Jak on się czuje?

– W gruncie rzeczy jest przywiązany do łóżka. A Emily czytała mu na głos.

Zobaczył, że oczy Sherry wzbierają łzami.

– Czy ty naprawdę myślisz – spytał, rozjuszony z jakiegoś powodu – że skoro ludzie chcą łożyć na dziecko, kupować mu wszystko, co dobre, to jest w tym coś złego? Dlaczego jesteś taka podejrzliwa i wyniosła? I stary, i Emily przywiązani są do chłopca, prawda?

– Ward też – dodała łamiącym się głosem. – Ty nic nie rozumiesz. – Jej powieki skryły te oczy.

– Zgadza się – przyznał oschle po chwili. – Nigdy nie byłem matką.

– Nie mogę oddać Johnny'ego Wardowi – wyszeptała. – Gdybym mogła, nie musiałabym tego wszystkiego robić.

– Ej, rozchmurz się! – rzucił, zaskoczony. – Powinienem był trzymać moją niewyparzoną gębę na kłódkę. Dalej, chodźmy gdzieś i pogadajmy. O czymś innym. Bo jak

nie, to obawiam się, że zaczniesz wyć.

– To bardzo trudne – powiedziała. – Muszę przyznać.

– Dlaczego, Sherry? – Cliff przysunął się bliżej.

Wyprostowała plecy i delikatnie się odsunęła. Wyczuła i uświadomiła sobie, że przeszedł między nimi prąd; dała mu więc jasno do zrozumienia, że to absolutnie nic nie znaczy.

– Chciałabym nadal być żoną Warda – powiedziała. – Nie wiedziałeś o tym? Ale nie mogę.

– Dlaczego nie? – zapytał niecierpliwie Cliff.

– Nie powiedział ci? – zdziwiła się. – Proszę cię, wybac mi, ale nie będę już więcej o tym rozmawiać.

– W porządku – odparł natychmiast. – W takim razie odpuśćmy to sobie. Więc co powiesz na mój nowy pomysł? Chodźmy...

– A jak twoje leczenie? – przerwała mu Sherry.

Cliff zamrugał. Do diabła, prawie całkiem zapomniał. Co więcej, nie powinien kłamać, bo Parki zorientują się. Nawet nie przeszedł przez główne drzwi szpitala i nie miał ani jednego powodu, żeby wchodzić tam innym wejściem.

– Zaczyna się jutro – oznajmił. – I ja też nie chcę o tym mówić. Umowa stoi?

– A poinformowali cię, że przesłuchanie odbędzie się w czwartek? – spytała, zmieniając temat.

– Nie – odparł, zdziwiony. – Nie poinformowali.

Sherry wstała. – Musisz mi wybaczyć – powiedziała – ale w tej chwili żaden *inny* temat rozmów nie przychodzi mi do głowy. W niedzielę pójdzie mi lepiej – obiecała, życząc Parkom dobrej nocy, na co odpowiedziały chórem. I poszła do swojego pokoju.

Cliffowi, który podniósł się uprzejmie, zabrzączały w kieszeni drobne. Wolnym krokiem podszedł do stolika karcianego. – Dziwaczka z niej – oznajmił z żalem.

– Jestem skłonna uwierzyć – odezwała się surowo pani Moran – że pan nigdy nie był matką.

– Nie, nie – odparł. – Rozumiem. Nie to mnie dziwi. Ci ludzie są dobrzy, godni zaufania, zamożni. A ona... słyżałyście panie... mówi, że nie chce nawet rozwodu. Widocznie coś tu nie gra.

– Osobiście – odezwała się pani Link – nie słyżałam jeszcze o przypadku rozwodu w sytuacji, gdy wszystko gra.

– Ale wiecie panie – ciągnął Cliff jak we śnie. – Zastanawiam się, czego nie

powiedział mi jej mąż...

– Och, nie, to niemożliwe! – rzuciła pani Kimberly z okrzykiem zadowolenia, wsuwając dwójkę karo pod trójkę.

– A z pana to stary plotkarz, prawda, panie Storm? – dodała łagodnie pani Moran.

Zawyła syrena. Parki pochylili się i skupili na oświetlonym miejscu wokół wejścia do pogotowia.

Cliff opuścił je. Czuł się zmęczony. I na dobrą sprawę zniechęcony. Uznał, że lepiej walnąć się do łóżka. Najwyraźniej starzeje się.

Pomysł, który przyszedł mu do głowy nad ranem, wymagał rzecz jasna dopracowania. Myślał o tym, żeby załatwić dwie rzeczy jednym sposobem, ale w jego głowie nie wykształcił się żaden plan. Pomysł z ucieczką z miejsca wypadku oznaczałby jego fizyczny udział w zbyt dużym stopniu. A drugi pomysł – czy w gruncie rzeczy jakkolwiek inny pomysł – oznaczałby, że musi osobiście rzucać wierutne kłamstwa przeciwko Sherry w bezpośredniej konfrontacji. I musiały to być kłamstwa, prawda? Więc co z nim nie tak? Przecież im bardziej niesamowite i niewiarygodne będą jego machinacje, tym lepiej.

Bardzo pragnął jednak mieć już gotowy, konkretny spisek. Jeszcze się nie wyłonił. Cliff jeszcze go nie miał.

Poszedł korytarzem na piętrze i zobaczył, że drzwi pokoju znajdującego się w połowie są otwarte. Paliło się światło, ale nikogo nie było. Na podłodze stała mała, czarna torba lekarza.

Cliff pomyślał: A może Sherry wpadłaby za posiadanie narkotyków? To było przestępstwo. A jeśli, na domiar złego, narkotyki zostały skradzione? Więc może Cliff powinien wyjąć coś interesującego z torby doktora Bianchi i podłożyć w pokoju Sherry? (Do którego planował uzyskać prywatny dostęp nazajutrz wieczorem.) Joe łatwo dałby się podburzyć i zacząłby ją podejrzewać. Cliff mógł odegrać rolę oburzonego obrońcy niewinnych i doprowadzić do przeszukania. Może to wcale nie taki zły pomysł. I prosty! Tak!..

Cliff wszedł do pokoju Joe.

Drzwi do łazienki otworzyły się z piskiem. Kiedy Joe go zauważył, Cliff stał przy komodzie.

– Witam – odezwał się Joe, uprzejmie udając brak zaskoczenia.

Spryt Cliffa skierował jego uwagę na pierwszy przedmiot na widoku. – Czy mogę pożyczyć od pana nożyce? – spytał. – Skoro już pan tu jest, nie muszę ich podkradać. – Podniósł je z blatu komody. Wyglądały na lekko sfatygowane i okrutnie chirurgiczne. – Czy

takie zazwyczaj są sterylne?

– Proszę się nie krępować – odparł Joe. – Ta para jest wadliwa.

– Co pan powie – zdziwił się Cliff. – O rany, ale wzrok! – Leniwie przesunął końcówkami pod paznokciem. Czarna torba znajdowała się teraz przy stopie Joe. – Co wy tam macie w tych waszych torbach? – zapytał. *On* sam nie wiedział. Nie było czasu zajrzeć.

– Plastry – odparł Joe. – Cóż by innego?

– A może tak by mały kieliszeczek na noc? – zauważył Cliff, gwałtownie zarzucając głową na zachętę.

– Przydałby się – odrzekł Joe.

Trzymając nożyce, Cliff ruszył pierwszy do sypialni na początku korytarza. Ależ był głupi. Joe nie nosiłby ze sobą środków halucynogennych. Kogoś, kto bierze dostępne od dawna, typowe narkotyki, można rozpoznać naukowo. Podobnie jak kogoś, kto nie bierze. Cliff musi więc myśleć naukowo.

Niedługo potem Joe powiedział: – A tak przy okazji, miał pan błędne wycucie czasu, przyjacielu. Nasza Sherry aż tak nie szaleje. Może kiedyś zacznie, ale na razie nie.

– Niestety – odparł z wściekłością Cliff. – To raczej taka wabiąca śpiewem syrena! I tyle.

– No, no, no – zamruczał łagodnie Joe.

– Właśnie – odrzekł Cliff, przebiegle odzyskując równowagę. – Gdyby nie to, że umieram...

– Więc niech się pan jeszcze trochę pomęczy – przerwał mu beznamiętnie Joe. – To może wcale nie będzie pan musiał umierać.

Gdy odszedł, Cliff otworzył kolejną butelkę.

Właśnie przyszedł mu do głowy pewien niezawodny sposób na wygraną nagrody. Przecież mógłby ją zamordować! Problem w tym, że był zbyt inteligentny.

Nie brać na siebie odpowiedzialności za wychowywanie syna innego faceta, he? – powtórzyła pani Link swoim ospałym tonem, przyglądając kosmyk za uchem.

– Zanadto wybiega w przyszłość, jak na śmiertelnie chorego, prawda? – dodała pani Moran, rzucając przyjaciółkom znaczące spojrzenie. – Ale nie *umówi się* z nią jutro wieczorem...

– A pan Peabody dostanie delirium tremens – oświadczyła żwawo pani Kimberly – jeśli pan Storm nie przestanie pić go whisky. Nie będzie wiedział, jak trafić na piętro, kiedy

pójdzie obejrzyć ten dom.

Wszystkie jednocześnie zanosły się śmiechem, choć umiarkowanym.

– Wiecie co, dziewczęta – odezwała się potem pani Moran. – Ja myślę, że przed tym filmem powinnyśmy dobrze się najeść.

Wszystkie mądrze pokiwały głowami. Coś tu się działo. W tym domu. Ale ubaw!

## Rozdział 11

W sobotę rano nie było poczty dla pani Reynard.

Spacery po parku stały się samotną rozrywką. Może potrzeba praktyki, żeby usiąść i obserwować, jak żyją inni. Nikt nie rozmawiał z Sherry. I ona z nikim nie rozmawiała. Zobaczyła jedną znajomą osobę, ale sama nie została zauważona. To był bardzo niewielki park. Doszła do wniosku, że może obejść go spacerem w dziesięć minut. Zauważyła też, że spacer na powietrzu powodował u niej głód.

Po południu (żeby – jak sobie mówiła – nie dostać szału) Sherry poszła do drogerii i kupiła zmywacz do paznokci, różne przybory i nową buteleczkę jasnego lakieru, odczuwając tę samą grzeszną przyjemność, jaką odczuwa każda kobieta, gdy kupuje rzeczy, na które jej nie stać i których wcale nie potrzebuje, tylko najzwyczajniej ma na nie ochotę.

Tego wieczoru, według ustalonego harmonogramu, Sherry przeczytała Johnny'emu bajkę, ułożyła go do snu, zjadła swój okropny posiłek i wróciła do pensjonatu, nie mogąc ani przez chwilę pojąć, dlaczego w salonie było tak pusto.

Wtedy zdała sobie sprawę z tego, że we wnęce przy oknie brakowało Parek. I przez to cały dom zdawał się opuszczony. Z początku pomyślała: Och, cudownie! Wkrótce jednak to zaczęło wydawać się jej niepokojące.

O co tu chodzi? – zastanawiała się. Przez chwilę była nawet gotowa rzucić się biegiem z powrotem przez ulicę do bezpiecznego szpitalnego holu. Co się ze mną dzieje? – myślała. – Przecież to niedorzeczne! Czego tu się bać? Co takiego może się wydarzyć? Nic! Chyba że jestem na tyle głupia, aby na to pozwolić.

Weszła do swego pokoju, ale zaraz wyszła i zdecydowała się usiąść na małej, dwuosobowej kanapie w salonie, skąd widziała zarówno wejście do korytarza, jak i sklepienie przejście do jadalni. Jakoś nie miała ochoty na to, żeby coś wyłoniło się niepostrzeżenie za jej plecami. Nasłuchiwała. Muzyka w oddali? Telewizor Elsie? W takim razie jakaś żywa istota

jest tu obecna.

Cliff Storm stał na piętrze przy schodach i zachowywał się cicho. Wyglądając zza szyldu na dachu werandy, widział, jak Sherry wyszła ze szpitala. Słyszał, jak weszła do domu. Wiedział, że teraz jest na dole, sama.

W domu nie było nikogo oprócz córki właścicielki, po drugiej stronie kuchni. Archer nie wrócił jeszcze ze spotkania, na jakie Cliff umówił go z pewnym facetem z branży, który – z tego, co powiedział Cliff – być może zaoferuje mu rolę. Więc Archer poszedł z wdzięcznością.

Cliff spędził ostatnią godzinę na analizowaniu swego wspaniałego osiągnięcia. Idealnie. Usunął ludzi, powysyłał ich stąd tak jak tego chciał. Zrobił to pokrętnymi metodami, sypiąc stekiem kłamstw. I w gruncie rzeczy zrobił to nie bez wysiłku.

Tylko co tak naprawdę udało mu się osiągnąć?

W sumie siedem minut, przy świetle dziennym (ponieważ był zanadto przejęty, żeby czekać do zmroku), zajęło mu wejście do pokoju Sherry, wyciągnięcie gwoździ z drzwi prowadzących na podwórze, wkręcenie w otwory samych główek gwoździ, sprawdzenie, czy drzwi się otworzą (niezbyt głośno), zamknięcie drzwi na klucz, wyjęcie klucza z zamka i włożenie go do kieszeni. A następnie przeszukanie rzeczy należących do Sherry.

Otworzył leżącą na dnie szafy walizkę i znalazł upchane w niej chłopięce ubrania. Na wieszakach wisiało niewiele innych i nie było w nich ukrytych kieszeni. W szufladach komody nie kryło się nic tajemniczego prócz zwyczajnych kobiecych sekretów. A druga walizka, która stała w rogu, była pusta.

I co z tego miał? Dobrą zabawę – pomyślał ponuro. To prawda, że przez cały ten czas był podekscytowany, miał przyspieszony puls, wysuszone gardło, płytki oddech oraz uczucie przyjemnego strachu, typowe dla dziecięcego złodzieja. I wciąż nasłuchiwał, czy nie nadchodzi doktor Bianchi, którego obsadził w roli groźnego dorosłego. Akurat Joe zwróciłby najmniejszą uwagę na jakiś daleki trzask odrywanego od drewna gwoździa! Joe jednak przychodził i wychodził nieregularnie, był więc jedyną osobą, której miejsca pobytu Cliff nie był w stanie przewidzieć ani narzucić.

Jednak w trakcie tych siedmiu minut Joe akurat nie przyszedł do swego pokoju. Tak więc Cliff wykonał plan bezpiecznie i w krótkim czasie. Od tamtej chwili zadawał sobie pytanie, czy takie wyglupy przystoją dorosłemu mężczyźnie i przyszłej figurze.

Teraz więc mógł wejść do pokoju Sherry niezauważony, ona zaś (teoretycznie) też mogła potajemnie wychodzić i wchodzić, chociaż, rzecz jasna, ona o tym nie wie. Jednakże osiągnięty efekt naprawdę wydawał się nieproporcjonalny w stosunku do wysiłku.

No dalej, wyciśnij coś jeszcze z tej sytuacji. Jakby tu wykorzystać obecność Sherry na parterze, zupełnie samej?

Usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach frontowych i cofnął się. Wszedł Lawton Archer.

Cliff usłyszał powitanie Sherry.

– O, dobry wieczór, pani Reynard. – Aktor zawahał się. – A gdzie są wszyscy?

– Też chciałabym wiedzieć – odparła Sherry.

Cliff uświadomił sobie, że Archer przechodzi przez salon, podszedł więc na palcach aż do podestu schodów.

Teraz słyszał, jak Sherry mówi: – Czy pan naprawdę się wyprowadza, panie Archer?

– O, tak. O, tak. Koniecznie.

– Znalazł pan inne lokum, tak?

– Niezupełnie – odrzekł Archer. – Rozważam możliwość powrotu do Nowego Jorku.

– *Ja* też tam wracam – oświadczyła ciepłym tonem. – Jak tylko będę mogła stąd się wyrwać.

– Naprawdę? – Archer najwyraźniej przysiadł się na pogawędkę. – Trudno się dziwić.

Człowiek nie powinien pogarszać sobie warunków życia, prawda?

– Pewnie, że nie – przyznała Sherry. (Co takiego jest w jej głosie? – zastanawiał się Cliff. Ten facet to niezły dupek. Ona chyba nie bierze go za takiego, na jakiego on się zgrywa, co?)

– Kształciłem się z klasyków, wie pani – odezwał się tubalnie Archer. – A tutaj mało kto ich szanuje.

– Tak? – zdziwiła się Sherry. – A to przecież bardzo duże miasto. Myślałam, że grają tu sztuki różnych gatunków.

– Och, jest tu, zdaje się, kilka małych teatrów, gdzie podejmuje się próby wystawiania klasycznych dramatów, ale to totalne kliki, wie pani. A ten ktoś – Archer użył rzeczownika „ktoś”, jak gdyby był to niecenzuralny wyraz – kto zaproponował mi rolę, teraz niedawno... Wyobraża pani sobie, co to było? Jakaś rólka w jednym odcinku serialu telewizyjnego. Miałem zagrać starego, zmęczonego, stereotypowego dziadka, hazardzistę z parowca na rzece Missisipi.

Da się tutaj obsadzić role – pomyślał sobie Cliff. – Nie ma jak autentyczny pozer.

– I nie przyjął pan? – dziwiła się współczującym tonem Sherry.

– O nie, nie – odparł szybko Archer. – Przypuszczam, że byłyby z tego pieniądze. Pewnie mógłbym tu wyszkolić się na hazardzistę z parowca na Missisipi i być pod ręką, kiedy go potrzebują, co akurat zdarza się zbyt często. To bardzo miło ze strony pana Storma, że



wysłał mnie tam, ale obawiam się, że on nie do końca zdawał sobie sprawę... – Archer westchnął i życzliwie zwrócił swoją uwagę na nią. – Słyszałem, że pani też występowała na scenie. W Nowym Jorku?

– Och, nie, nie występowałam – zaprzeczyła Sherry. – Niezupełnie.

– Bo ktoś... Chyba pan Storm? On chyba mówił coś o show-biznesie.

– Aha, *tam* próbowałam – przyznała Sherry. – Trochę.

– Wydaje mi się, że człowiek nie powinien zniechęcać się współczesnym systemem wartości, ale to trudne, prawda?

– Jeśli chodzi o mnie – odparła pogodnie Sherry – po prostu nie byłam dość dobra.

– No, bez przesady. – Archer jednak był podejrzliwy.

– Coś panu powiem, ja chciałam tylko tańczyć w zespole w nocnym klubie. No i co? Okazało się, że od razu, gdy tylko rozpoczęli próbę, myliły mi się kroki... i to za każdym razem! – Sherry wybuchła śmiechem.

Cliff, który podsłuchiwał na schodach, napomknął sam do siebie, że dopiero teraz po raz pierwszy usłyszał jej śmiech.

– O rany – jęknęła – te układy taneczne! Gorsze niż służba wojskowa.

– Chyba źle zrozumiałem – odrzekł Archer niezadowolonym tonem. – Zdawało mi się, że była pani aktorką teatralną.

– O, do diaska – pisnęła Sherry radośnie. – Na pewno nie ja. A nawet gdybym mogła zajmować się tym, nie byłabym chyba w stanie wytrzymać takiego życia.

– Jeśli wolno spytać – powiedział Archer złowieszczo kurtuazyjnym tonem, gotowy na zniewagę – co pani ma na myśli, mówiąc „takie życie”?

– Chodzi o to, że to strasznie trudne, prawda? Próby, ćwiczenia. Głosu, ruchów, mózgu i całej osobowości. I trzeba harować jak wół. Tylko – dodała – nie rozumiem, dlaczego ludzie tak mówią. Nigdy nie widziałam, żeby wół harował choćby przez chwilę. – I znów się roześmiała.

Cliff usłyszał dziwny odgłos. To tragiczny próbował wtórować jej swoim śmiechem. Cliff słyszał nawet, jak tamten eksperymentuje ze zmianą tempa, z różnorodnością dźwięków gamy. Z początku był zaskoczony, a potem rozbawiło go to, zgiął się wpół i oparł o poręcz.

Zaraz jednak wystraszyło go dochodzące z parteru nucenie. Poza jego polem widzenia coś się poruszyło, po czym pojawił się pędzący na schody Archer. Za nim człapała Elsie Peabody, która zawsze poruszała się powoli.

Archer wskoczył na górę, wpadł na Cliffa i obiegnął go prędko bez słowa przeprosin. Zniknął na górze.

Cliff stłumił salwę śmiechu i zszedł na dół.

Elsie kręciła się przy słupku od poręczy. Była posłuszna. Miała zakaz wchodzenia po schodach na górę. Wciąż jednak nuciała do swego ukochanego.

– Chodź, Elsie – powiedział do niej Cliff. – Wracaj do drugiego pokoju.

Dziewczyna, reagując z opóźnieniem, zrozumiała treść polecenia, zamrugła i posłusznie poszła przodem do salonu. (Jego stworzenie.)

Sherry przysiadła na krawędzi małej, różowawej sofy. – Cześć – odezwała się. Już się nie śmiała.

Cliff też już całkowicie się opanował i potrząsnął smutno głową za plecami niedorozwiniętej. – O nic się nie martw, Elsie – powiedział. – Sherry chce z tobą porozmawiać. Prawda, Sherry?

– Oczywiście, że tak – odparła natychmiast Sherry. Wyciągnęła rękę jak do małego dziecka. – Chodź, usiądź i powiedz mi... Gdzie jest twoja mama? Gdzie jest twój tatuś?

Elsie, kołysząc swymi przysadzistymi biodrami, podeszła do Sherry. – Wyszli – powiedział łagodnie Cliff, stojąc przy lustrze i nie ruszając się z miejsca – a ja, cholera, obiecałem, że jej dopilnuję. Przepraszam. Myślałem, że ogląda telewizję.

Sherry jednak dostrzegła, jak bezbarwne rzęsy Elsie drżą jakoś dziwnie. Nagle przyszło jej do głowy zjawisko podwójnej świadomości. Dziewczyna musiała usłyszeć głos Archera. Na pewno ma bardzo wyczulony słuch. Widocznie istnieje tu zaburzenie związku między postrzeganiem zmysłowym a odbiorem informacji przez mózg. Czy może tylko reakcja *mózgu* jest spowolniona? Czy biedactwo wie więcej, niż się zdaje, rozumie więcej, niż jest w stanie wyrazić? Czy posiada szybki, zwierzęcy zmysł postrzegania świata, przytłoczony wielkim ciężarem, który przeszkadza, frustruje, upośledza, a jednocześnie pozwala żyć? Niesamowita męka – pomyślała. Tak jak u Warda? Serce jej się krajało. Och, biedactwo. Biedactwo.

– Chcesz jeszcze pooglądać telewizję, Elsie? – spytała delikatnie Sherry. – Czy może wolisz po prostu porozmawiać ze mną przez chwilę? To porozmawiaj ze mną. – Sherry poklepała drugą połowę siedzenia małej sofy. – Co dziś widziałas w telewizji?

Twarz Elsie ożywiła się trochę, jak przedtem. Przechyliła głowę, a jej uszy zdawały się tęsknie nasłuchiwać upragnionego tonu. – Ja śpiewałam – odezwała się. – Ja śpiewałam. – I zaczęła wymachiwać rękoma jak znana piosenkarka.

– O! O! – zawołała Sherry, robiąc uniki i śmiejąc się. – Ej! – Złapała rękę Elsie, żeby powstrzymać jej ruch. Elsie wydawało się to przyjemne. Jej gruba ręka zeszywniała.

I zmysł dotyku też? – pomyślała Sherry.

– A jak się nazywa ta piosenkarka? – spytała.

Ale Elsie, nawet po tym, jak Sherry powtórzyła pytanie, nie potrafiła przypomnieć sobie nazwiska. Oparła się o obicie. – Ja śpiewałam – zamruczała i zaczęła kołysać rękę Sherry.

Sherry nasłuchiwała uważnie, zastanawiając się, czy dziewczyna ma głos. – A lubisz śpiewać?

– Ja śpiewałam – powtórzyła Elsie.

Cliff Storm, zafascynowany, zaabsorbowany oglądaniem tej sceny, autentycznie się przeraził, kiedy drzwi za jego plecami otworzyły się i weszły Parki: pani Kimberly truchtem, pani Link stąpając ciężko, a pani Moran swym tajemniczo zwinnym, powłóczystym krokiem. Ich starcze oczy zabłysły natychmiast, jak gdyby (aha!) przyłapały ich na czymś.

– Szybko panie wróciły – zauważył uprzejmie.

– Zrezygnowaliśmy z drugiego filmu. – Pani Kimberly uniosła policzki jak wiewiórka, a w jej jasnych oczach błyszczała nadzieja.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Cliff. Z jakiegoś powodu był rozdrażniony. Podszedł szybko do Elsie, mocno chwycił ją za drugą rękę i pociągnął do góry. – No, bądź grzeczna – powiedział. – Bądź grzeczna, Elsie. Wystarczy już. Powinnaś iść do swojego pokoju. Grzeczna dziewczynka. Mamusia zaraz przyjdzie. Mamusia przyjdzie.

Była uległa wobec jego stanowczości. Wyprowadził ją przez jadalnię i usłyszał jeszcze, jak Sherry mówi: – Biedactwo! Czy jej nie wolno nigdzie wyjść, rozejrzeć się, rozerwać się trochę?

Nie słyszał, co odpowiedziały Parki.

Bo nie odpowiedziały. Sherry, czując się z jakiegoś powodu speszona, wygładzała spódnice. Ktoś stworzył tu dziwną atmosferę.

Parki ruszyły w stronę swego stolika. Trajkotały owinięte etolami.

– Naprawdę smutno tu jakoś – powiedziała Sherry – kiedy pań nie ma.

Wszystkie popatrzyły na nią poważnie.

– Dobrze się panie bawiły? – ciągnęła uparcie.

– Obejrzałyśmy film – powiedziała pani Moran.

– Bardzo ciekawy – dodała pani Link.

– Miejscami – podsumowała pani Kimberly.

Następnie siedziały i wpatrywały się w nią jak sowy.

Sherry wstała nieco chwiejnie i oświadczyła, że powinna już pójść i pomalować sobie paznokcie. Życzyła im dobrej nocy.

Nie bardzo wiedziała, czego od niej oczekują. Jakiejś rozrywki?

W tej samej chwili weszli państwo Peabody. Pan Peabody przemaszerował swym marynarskim krokiem do kuchni. Mijając Sherry, rzucił jej nieco ponure spojrzenie. Pani Peabody wydawała się podekscytowana. – O! – powiedziała. – Dobrze jest. Świetnie! Dobranoc. – Jej dziwne oczy unikały wzroku innych. Odeszła.

Sherry poszła do swego pokoju, wyjęła zakupy, zmyła z paznokci stary lakier, a następnie opłowała je i doprowadziła do porządku. Ale kiedy przyszło do nakładania nowego lakieru, zauważyła, że jej ręce zbyt mocno się trzęsą.

Dorwany w kuchni Cliff zmuszony był wysłuchać entuzjastycznych komentarzy pani Peabody na temat Domu. (Teraz już przez duże „D”.) Odpowiedział, iż cieszy go to, że spodobał im się. Obiecał też, że porozmawia z panem Edwardem Reynardem możliwie najszybciej. Nastąpiło starcie dwóch interesów: gorliwej ciekawości pani Peabody, dla której Dom oznaczał zyski w przyszłości, oraz niechęci Cliffa do dalszych rozmów na ten temat, ponieważ był on już w pełni zadowolony z istniejącego stanu rzeczy.

Cliff zmienił więc temat i zaczął mówić o Elsie, że poszła na chwilę do salonu, ale była tam pani Reynard, więc Elsie miała dobrą opiekę. Właścicielka zaledwie rzuciła okiem na tył głowy córki, opanowała jednak niecierpliwą chęć uzyskania pewności co do wynajmu Domu. Musiała jeszcze kilkakrotnie podziękować panu Stormowi, a pan Peabody przytakiwał tylko, nadrabiając godziny rozstania z alkoholem.

Kiedy Cliff wreszcie wyszedł, natknął się na Parki, które najwyraźniej go wyczekiwały. Chóralnie wyraziły wdzięczność za miły wieczór. A potem siedziały tylko, z etolami na ramionach, każda z nich kurczowo trzymała torebkę w pomarszczonej jak skóra jaszczurki dłoni, a trzy pary oczu patrzyły w niego wyczekująco.

Usiadł i łagodnym tonem oznajmił: – Widzę, że nasza Elsie zadurza się w pani Reynard. I chyba nic w tym złego. – Obserwował je. Wcale nie zareagowały. Przekrzywił głowę, dziwiąc się ich milczeniu.

– No więc jak się spodobał dom? – zaczęła w końcu pani Moran.

– Aha. O, bardzo się spodobał – odrzekł.

– I wezmą go? – spytała pani Link.

– Sądzę, że tak.

Pani Kimberly rzuciła przyjaciółkom znaczące spojrzenie. – No, dziewczęta. – Podniosła się.

Kiedy już wyszły, Cliff miał niejasne wrażenie, że informacje o domu są dla nich ważne. Nasłuchiwał zaraz głosów zza zasłony, z kwater dla kobiet.

Nie usłyszał nic.

W końcu wyszedł z domu drzwiami frontowymi. A niech to szlag trafi. Nie był pewien, czy nad wszystkim panuje. Nie był pewien, czy Parki nie są bliskie odkrycia prawdy, że nimi manipuluje, a co więcej, że manipuluje też państwem Peabody. A jeżeli spekulują na ten temat, czy Sherry Reynard tego słucha?

No i co z tego? A nawet jeśli zda sobie sprawę z jego machinacji? Być może nie będzie to miało żadnego znaczenia dla rezultatów – wyjaśnił sobie. Więc dlaczego się niepokoi?

Zamierzał pójść do Soni, ale doszedł do wniosku, że nie ma ochoty, i zaszył się w barze. A niech to szlag trafi. Oto rozłożył planszę (ładne odniesienie do szachów) i poprzestawiał figurki, ale figurki nie chciały stać na swoich miejscach. Niektóre przemieściły się poza możliwość wszelkiego ruchu i (jak mimowolnie uznał) nieprzepisowo.

Skąd mógł wiedzieć, co się dzieje w niedostępnych kwaterach dla kobiet?

Nic się tam jednak nie działo. Każda z pań miała swoją celę, w której się zamknęła. Sherry Reynard także.

## Rozdział 12

W niedzielę rano, kiedy Emily była w kościele, przyszedł lekarz. Po chwili poprosił Edwarda Reynarda na parter do gabinetu i rozmawiał z nim przez dość długi czas. Na piętrze w fotelu przyczał się pielęgniarz i patrzył. Na parterze ojciec jakby skamieniał. Chwilę później Reynard zatelefonował do Murchisona do domu i otrzymał kilka szczerych odpowiedzi.

Następnie zadzwonił do pensjonatu pani Peabody i poprosił Cliffa Storma.

– Jeśli w ogóle coś znalazłeś, chciałbym wiedzieć, co to dokładnie jest – powiedział surowo.

– Dobrze – odparł szybko Cliff. – Spotkajmy się u pana w biurze jutro rano.

– Chcę wiedzieć *teraz*.

– Rozmawianie przez telefon jest niewskazane – odrzekł Cliff. – A pan, jak sądzę, przygotuje pewne dokumenty, które muszę zobaczyć?

– Rano – rzucił niechętnie Reynard. – Na sto procent.

Wyznaczyli godzinę. Cliff jednak czuł, że pod naciskiem. Nie lubił, jak go poganiano.

Reynard powiedział do swojej żony, która właśnie wróciła z kościoła, że obawia się, iż choroba Warda potrwa dłużej, niż przewidywano.

Popatrzyła na niego okrągłymi, przerażonymi oczami.

– No, no – rzucił niecierpliwie. – Na litość boską, nie płacz. Przecież dobrze wiesz, że ma samych najlepszych lekarzy i że zrobią wszystko, co trzeba. Płacz nic nie pomoże. Bądź cierpliwa.

Jej wargi drżały. – Wyzdrowieje – wykrztusiła. – *Wiem* to na pewno!

– A tak przy okazji – powiedział – może miałabyś ochotę na małą niedzielną partyjkę? Państwo Tandy coś wspominali.

Teraz Emily wiedziała już, że to naprawdę ciężka choroba. Było gorzej, niż jej mówił.

Odparła jednak pogodnie: – O, to bardzo miło! Czy mam zadzwonić do Geraldine?

Tak było o wiele łatwiej. On nie musi słyszeć, jak ona płacze. A Emily wcale nie musi płakać. Tak więc bez słowa oszczędzili sobie nawzajem bólu, udając, że ona nie wie.

Tej niedzieli Sherry dziarsko wróciła do pensjonatu godzinę wcześniej niż zazwyczaj. Skoro tu jest szósta, to w Nowym Jorku będzie dziewiąta. Nie za późno. Ani nie za wcześnie.

Przecież w niedziele przez cały dzień obowiązują niższe taryfy telefoniczne. Pomyślała, że może zamówić rozmowę zamiejscową jedynie za dolara. Prawda? Albo jeszcze inaczej: jeśli zadzwoniłaby na koszt rozmówcy, nie płaciłaby wcale. Nie była jednak pewna, czy niższe taryfy obowiązywały także w przypadku rozmów na koszt rozmówcy.

Pozbyła się zmartwień o koszt rozmowy. Musi zdobyć informacje, a że jest spłukana, więc zadzwoni po prostu na koszt rozmówcy. Jeśli pieniądze idą już pocztą, to dobrze. A jeśli nie, postara się to przyspieszyć. Gotówkę można przesłać telegramem. Gdy tylko ją otrzyma, natychmiast wyprowadzi się stąd. Znajdzie jakieś małe, umeblowane mieszkanko, do którego w razie potrzeby będzie mogła zabrać Johnny'ego. A jeżeli pani Peabody nie zwróci jej tych dwudziestu pięciu dolarów, Sherry uznała, że nie będzie to miało żadnego większego znaczenia.

Głupia byłam, jeśli chodzi o pieniądze – powiedziała sobie. – Mam obsesję na ich punkcie. To przecież niedorzeczne. Co ja wyprawiam? Zaprzątam sobie głowę drobnymi zadaniami arytmetycznymi po to, żeby nie musieć myśleć?

Poszła od razu do telefonu w holu i zamówiła rozmowę na koszt rozmówcy do pana Corneliusa Fowlera. Był to najstarszy spośród wszystkich jej przyjaciół, a ponieważ na ślubie jej dziadków pełnił rolę świadka, był prawie jak rodzina. Dla kogoś takiego jak on pożyczka

pięciuset dolarów byłaby niczym. Już dawno przeszedł na emeryturę i prowadził dostatnie życie, chociaż z jego zdrowiem było nietęgo. Był to zarazem przyjaciel, którego najprawdopodobniej można było zastać w domu.

Zastała go w domu. Odebrał. Sherry usłyszała głos telefonistki, która zapytała, czy pan Fowler przyjmie rozmowę na swój koszt od pani Sherry Reynard w Los Angeles. Ku swemu ogromnemu zdumieniu usłyszała, jak swym słabym, starym głosem mówi: – Nie, nie przyjmę. Nie, nie chcę mieć żadnego kontaktu z panią Reynard.

Czuła się zaszokowana. On tymczasem odłożył słuchawkę. Pomyślała: – Powinnam była wydać tego dolara. Tylko co takiego stało się staremu panu Fowlerowi?

Wyczuła naciągający nad nią jakiś cień. Spojrzała w górę. Cliff Storm opierał się o poręcz tuż nad jej głową.

– Och, wybacz – odezwał się. – Nie chciałbym przeszkadzać. – Po czym zszedł schodami na dół, wyminął ją zwinnie i wszedł do salonu.

Sherry wyjęła spod ramienia torebkę i przeliczyła drobne. W porządku, miała pięć ćwierćdolarówek i jeszcze jedną niezbędną dziesiątkę.

Ludzie faktycznie robią się zrzędlivi na starość – uznała. Zamówiła kolejną rozmowę, tym razem do dawnej współlokatorki – najlepszej przyjaciółki, która obecnie nosiła nazwisko Anderson po mężu Royu.

Ale to nie Pat odebrała telefon. Odebrał jej mąż.

– Roy, tu Sherry. Dawniej Sherry Coleman.

– Rozumiem. – Ton jego głosu był chłodny.

– Słuchaj, napisałam do Pat. Czy mogę z nią porozmawiać?

– Nie ma jej.

– A czy dostała mój list, Roy?

– Chyba tak – odparł zimno.

– Chciałam tylko powiedzieć, że to, o co ją prosiłam, jest mi potrzebne naprawdę pilnie i natychmiast. Jak myślisz, czy mogłaby mi to wysłać *telegramem*? Przyjeżdżam na wschód, gdy tylko...

– Pat nie ma ochoty odpowiadać na twój list.

W tym momencie Sherry wyraźnie usłyszała w tle głos Pat: – Roy, kto to?

– Proszę, pozwól mi porozmawiać z Pat.

– Raczej nie – odrzekł Roy. – Skoro zadajesz się z podejrzanymi ludźmi, Pat nie będzie się w to mieszać.

Rozłączył się.

Sherry odłożyła słuchawkę na widełki. Jej pieniądze wpadły z brzękiem.

Nie chodziło jednak o pieniądze. (Zapamiętaj sobie – mówiła do siebie. – Za bardzo przejmujesz się pieniędzmi.) Mimo wszystko traciła ducha. Dokąd zabierze Johnny'ego, kiedy już dotrze z nim do Nowego Jorku, skoro Pat nastawiona była przeciwko niej?

– Nie chce mi się w to wierzyć – powiedziała na głos.

– Kłopoty? – Cliff już znowu tam stał.

– Mam wrażenie – odparła powoli – że ktoś próbuje odciąć mnie od świata. – Uśmiechnęła się do niego. – To chyba niepoważne?

– Idziemy na kolację, prawda? – spytał.

– Oczywiście. Będę gotowa za piętnaście minut. – Rozłożyła ręce i popatrzyła na nie. – Chciałam polakierować paznokcie, ale jestem tak diabelnie głodna, że nie chce mi się czekać, aż wyschną.

– Stek? – zaproponował Cliff, rzucając nieco chytre spojrzenie. – Rostbef? Czy może wolisz kaczkę w pomarańczach?

– Co to za podejrzani ludzie, z którymi *ja* rzekomo się zadaję? – spytała, ściągając brwi.

– Przeróżni. – Spoglądał w dół na czubek jej głowy.

Poruszyła się, odsunęła i podskakując, znalazła się w salonie. Parki siedziały, ściskając w dłoniach swoje karty.

– Zgadnijcie, panie, czego właśnie się dowiedziałam – powiedziała Sherry radośnie. – Żeby się wzbogacić, wystarczy nie przejmować się pieniędzmi. – Uśmiechnęła się do nich promiennie i odeszła znowu w podskokach, żeby wystroić się na randkę z kolacją. Umierała z głodu! A płacił kto inny.

Cliff zabrzączał drobnymi. Wolnym krokiem zszedł z powrotem do salonu i usiadł w oczekiwaniu.

Karty tylko plaskały. A kiedy Parki skończyły partyjkę, Pani Kimberly w milczeniu zapisała wynik.

– Kto wygrywa? – zawołał do nich Cliff, zdziwiony brakiem zwykle następującego potem śmiechu i szczebiotu.

Pani Link dotknęła włosów. – Gra jeszcze się nie skończyła – orzekła.

– „Lepsze jest trochę jarzyn z miłością” – zacytowała pani Moran – „niż tłusty wół z nienawiścią”. – Zdawało jej się chyba, że powiedziała coś pikantnego.

– Rozdaj karty – nakazała pani Kimberly. Pokiwała kilkakrotnie głową. – W kartach jest szczęście – dodała.



Biedne, stare wariatki – pomyślał Cliff. – Odbiło im!

– Wobec tego wszystkim życzę szczęścia – powiedział sympatycznym tonem.

– Właśnie – odrzekła tajemniczo pani Link.

Kiedy pojawiła się Sherry, Cliff gotów był przysiąc, że wszystkie trzy starały się posłać jej „znaczące spojrzenie”. Ale Sherry była zbyt rozradowana.

Wybrał dobrą i bardzo spokojną restaurację w pobliżu. Posadził Sherry Reynard w przytulnym kącie sali bankietowej i zamówił koktajle.

Miała na sobie czarną suknię; pamiętał, że wisiała w szafie. Na wieszaku nie wyglądała tak elegancko jak teraz. Sherry umiejętnie nałożyła makijaż. Była pewna siebie. Nie wyglądała na dziewczynę z farmy.

Nie potrafił pojąć, co, do diabła, miała na myśli, mówiąc o tym nie przejmowaniu się pieniędzmi. Cliff wiedział, jakie nieprzyjemności spotkały ją przez telefon. Wiedział też, kto odciął ją od tych ludzi. On sam to zrobił swoją małą siekierką.

Sherry jednak wydawała się zrelaksowana. Wypiła swój koktajl ze smakiem i bez trudu odmówiła kolejnego. Mimowolnie pomyślał, że na pewno podjęła jakąś decyzję. Może zamierzała wziąć te pieniądze i oddać dziecko. Jeśli tak, to powinien dowiedzieć się o tym i ustalić, jaki on mógł mieć na to domniemany wpływ.

Zapytał więc, jak się czuje Johnny. Johnny czuł się bardzo dobrze. A kiedy będzie mógł wyjść ze szpitala? Tego nie była pewna.

Cliff oświadczył, że być może któregoś dnia wpadnie do chłopca z wizytą. Czy to jest możliwe? Oczywiście, że tak. A czy Cliff lubi dzieci? Musiał przyznać, że niewiele ich zna.

A czy ona potrzebuje może pieniędzy? Na pewno nie, bo skoro ma tyle, że jej wystarczy, to znaczy, że ma majątek.

Nie potrafił jej rozgryźć. Nie był w stanie zrozumieć tego, że ona nie wie, na jakim świecie żyje.

Zaczął więc zadawać pytania o ambicje pisarskie Warda. – Czy uważasz, że on naprawdę ma talent, Sherry?

– Oczywiście, tak mi się przynajmniej zdawało – odparła. Uśmiechnęła się. Podano jedzenie. Było doskonale: ogromne porcje. Sherry skosztowała i oświadczyła z entuzjazmem: – To jest wspaniałe!

Powiedział, że go to cieszy, i faktycznie cieszyło. Co za przyjemność nakarmić autentycznie wygłodniałą kobietę!

Jednak nie przyszedł tu po to, żeby miło spędzać czas.

– Jaki masz talent? Zainteresowanie? Hobby? Chodzi mi o to, czy zajmujesz się czymś

kreatywnym? – dociekał.

– O rany – jęknęła – zupełnie niczym. Przecież nie każdy musi być artystą. A wręcz lepiej, żeby nie wszyscy nimi byli.

– Chcesz mi powiedzieć – ciągnął Cliff, rozbawiony wbrew sobie – że nie jesteś jedną z siedemnastu milionów kur domowych, które zajmują się ceramiką? Więc jak ty chcesz wyrazić samą siebie?

– Mój problem polega na tym – odparła ze swym figlarnym uśmieszkiem – że nie rozumiem, jak, do licha, człowiek może w ogóle zapanować nad wyrażaniem samego siebie. Czy jest coś, co nas nie wyraża?

– No – odpowiedział – daj spokój. Wiesz przecież, o co chodzi. Człowiek może być zbyt nieśmiały, żeby pokazać swoją prawdziwą naturę albo wyrazić najgłębsze myśli. Boi się odstawać od normy i tak dalej.

– Tak, wiem – przyznała. – Ale wtedy człowiek wyraża swoją nieśmiałość, skoro taki jest.

Cliff musiał się roześmiać.

– No – powiedział – a weźmy na przykład tego faceta, Race’a Rhode’a. (Co *to* w ogóle za imię?!) Oto przykład wyrażania samego siebie. – Rhode był jednym z ludzi z plaży, rzeźbiarz. – Czy to tylko pozerstwo? – spytał ją.

Sherry nieprzerwanie jadła swój rostbef. Była rozluźniona. Jedzenie było dobre, a jej apetyt jeszcze lepszy. Jednak powoli okazało się, że kiedy już odrzuciła niepokój, który mógłby być jedynie ucieczką, a nie rzeczywistością, i kiedy wybiła sobie z głowy tę frapującą arytmetykę, jej umysł znów pracował i dodawał kolejną sumę.

Oto Cliff Storm wymienia nazwisko Race’a Rhode’a. To też trzeba wliczyć. Wliczyć w sumę wydarzeń wczorajszego wieczoru i jeszcze innych, tych z wczorajszego ranka, na przykład.

Wczoraj rano podczas spaceru po parku widziała, jak Cliff Storm wyszedł ze szpitala tylnym wyjściem i ruszył biegiem przez ulicę, w stronę oddalonej części parku. Zastanawiała się wtedy, dlaczego poszedł tamtędy, skoro jego samochód stał zaparkowany przed pensjonatem. Dziwiła się, dlaczego nie poszedł do samochodu na skróty przez park. Doszła do wniosku, że akurat wtedy nie chciał czy też nie musiał jechać samochodem. Jednak zupełnie niechcący zauważyła, że zawsze gdy chodzi pieszo, stawia szybkie i krótkie kroki. W jego ruchach nie było nic wskazującego na nieudolność czy ostrożność. Wtedy jednak głębiej się nad tym nie zastanawiała. Ale teraz tak.

Cliff widział się z Wardem. Na pewno spotkał się też z Edwardem Reynardem. Pewnie

niedawno odwiedził także Race'a Rhode'a? A teraz chciał odwiedzić Johnny'ego!

Ogromne zaciekawienie Cliffa Storma tyłoma sprawami dotyczącymi Sherry Reynard zaczynało być coraz mniej przyjemne. Archer Lawton też powiedział jej, że to właśnie Cliff wspominał o jej nieudanych krokach w show-biznesie. A więc Cliff Storm *rozmawiał* o niej w pensjonacie. I był właściwie jedynym, który najprawdopodobniej nakładł innym lokatorom do głów różnych rzeczy o Sherry, bo jako jedyny spośród nich poznał ją już wcześniej.

Do czego to wszystko prowadzi?

Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór, wiedziała, że to Cliff zafundował Parkom kino. To Cliff umówił państwa Peabody na wizytę w jakimś domu. To Cliff wysłał aktora na rozmowę. Czy miał w tym wszystkim jakiś cel? Czy był jakiś *powód*, dla którego wywabił wszystkich z domu?

Niemożliwe, żeby cały świat był przeciwko niej. Ale jeden człowiek na tym świecie zdecydowanie tak. Jej zagorzałym wrogiem był Edward Reynard. Aż tu nagle zjawia się Cliff Storm, dawny przyjaciel rodziny, tak bardzo, bardzo zainteresowany, tak bardzo, bardzo ciekawy, tak bardzo, bardzo nią pochłonięty.

Czyżby Edward Reynard wykorzystywał przypadkową obecność Cliffa Storma w pensjonacie? Jak? Czy Cliff miał mieć Sherry na oku? Czemu to miało służyć? A może miał wpakować ją w kłopoty?

To naprawdę podłe myśleć o kimś w ten sposób. A jednak wczoraj wieczorem Cliff Storm zaplanował wszystko tak, że każdy z tych ludzi musiał gdzieś wyjść. Co też mogło się wydarzyć w tym pustym domu? Być może – pomyślała – biedna, niedorozwinięta Elsie, która wkroczyła tak nieoczekiwanie, pokrzyżowała jakiś przygotowany przez niego plan. Coś, co miało związek z Sherry i jej spotkaniem sam na sam z Archerem Lawtonem? O, na pewno nie! To nie mogło być to. Być może Archer po prostu za wcześnie wrócił. Ale chwileczkę! Kto *był* w tym domu (oprócz Elsie)? Sherry Reynard i Clifford Storm.

Co to w ogóle za pomysły? Dlaczego siedzi tu, w ekskluzywnej restauracji, je kolację i wymyśla fantazje o konspiracji i prześladowaniu?

Jednak nie potrafiła zapomnieć tej jego bieganiny, tego kręcenia się po domu wczoraj. Pomyślała w duchu: w porządku, może to i głupie wyobrażać sobie, że ktoś cię prześladowa, jeśli to nieprawda. Ale jeśli to prawda? Jest pewien połowiczny test, którego można użyć. Skoro rzeczywiście miał operację i faktycznie poddawany jest teraz zabiegom, tym najbardziej przerażającym, w takim razie jego obecność w pensjonacie jest następstwem jego przypadkowego spotkania z nią tamtego dnia, i wówczas nic się nie da udowodnić. Ale jeśli on kłamie?

Ależ nie! Jak mógłby kłamać? Bo *gdyby kłamał*, byłaby to diabelnie nietypowa sprawa. A wtedy przyszło jej na myśl, że doszłaby do wniosku (tak, właśnie!), iż jest on agentem Edwarda Reynarda, a co za tym idzie, także jej wrogiem.

Wzdrygnęła się na tę myśl. Cliff jednak przecież nie potrafił osobiście czuć wrogości w stosunku do Sherry Reynard. Nawet mnie nie zna – pomyślała. – I może wcale nie wie, w czym rzecz. Jest przecież człowiekiem. Może więc mu powiem?

W odpowiedzi na jego pytanie odezwała się: – Nie wiem, czy Race Rhode jest pozerem. Nie jestem pewna, co to znaczy. I w ogóle niezbyt dobrze znam tych ludzi. Ale bardzo żałuję, że Ward zadał się z nimi. Czy ty wiedziałeś – dodała, przypatrując mu się – że Ward przez jakiś czas zabawiał się narkotykami?

– Tego nie wiedziałem – odparł Cliff i pomyślał: „Ale wcale się nie dziwię”.

Zebrał myśli i dodał: – A czy ty też próbowałaś?

– O rany – pisnęła. – *Nigdy*.

– Dlaczego? Nie chodzi o to, żeby przesadzić. Ale tylko spróbować?

– Wcale nie jestem ciekawa, jakie to uczucie – odrzekła. – Cały ten pomysł nie wydaje mi się pociągający.

I mnie też nie – pomyślał Cliff w przyływie zadowolenia.

– Ciekawe, czemu pociągał Warda? – drażył.

– Nie wiem. Pociąga całe mnóstwo ludzi. Prawda jest taka, że chcą być sobą, wyzwolić się albo rozwinąć.

– Chyba tak – wycedził Cliff, a ona odwróciła do niego twarz i uśmiechnęła się nagle.

– Pojmujesz to? – spytała. – Bo ja nie. Po prostu nie mogę pojąć, o co im chodzi. Kto chciałby być szmacianą lalką?

– Co masz na myśli przez...

– Tak to sobie wyobrażam. Posłuchaj. Jeśli ktoś jest szmacianą lalką, to wszystko może go powalić, a wtedy spada tam, gdzie go rzuca. Tak *musi* być. Bo nie ma szkieletu. I może narkotyki faktycznie sprawiają, że człowiek widzi i słyszy więcej, i tak dalej, ale pozbawiają człowieka szkieletu, *a ja* tego nie chcę. I nie dociera do mnie to, że dzięki nim człowiek wyzwala się albo jeszcze bardziej staje się *sobą*. Moim zdaniem to droga donikąd.

Cliffowi zakradła się do głowy dziwna myśl. Pomyślał, że ma całkowitą rację. O narkotykach miał dokładnie takie samo zdanie. Nigdy go nie pociągały. Właściwie alkohol też nie. Pilnował się i co jakiś czas dawał sobie z tym spokój. Nie podobało mu się, kiedy coś miało nad nim władzę. A narkotyki, szczególnie te uzależniające, były jego zdaniem dokładnie tym, czym je określiła. „Drogą donikąd”.

Jednak najdziwniejsze było to, że Sherry wydała mu się bardziej odpowiednia dla niego samego niż dla Warda. Ward był słaby. A ona była... Do diabła, ona była twarda. Na swój własny sposób. Protestancka moralność, cokolwiek to było, ona to miała. A Cliff Storm, rzecz jasna, też był twardym facetem.

– Całkowicie się zgadzam – szepnął natychmiast.

– Oczywiście, rzecz się rozbija o znaczenie – powiedziała, zaskakując go. – Im chodzi o to, żeby *czuć się* wolnymi. Ja z kolei chcę *być* wolna. I tu jest drobna różnica.

– Możliwe – mruknął.

– Wiesz, głowę daję, że to naprawdę stwarza poczucie wolności, pozbycie się wszelkich trosk, czasu, konfliktów, a potem człowiek najzwyczajniej upada, zawsze, kiedy coś go kopie lub powala, bo pochłonięty jest skakaniem po sferze własnej świadomości. O rany, nie chciałabym tak.

– A co ty definiujesz jako *wolność*? – zapytał ją.

– Wybór – odparła natychmiast.

– Wolna wola? – Uśmiechnął się do niej.

– Ward mówi, że to tylko złudzenie – powiedziała Sherry. – A ja na to: w porządku, w takim razie ja *wybieram to* złudzenie. – Popatrzyła na niego figlarnie. – Czasami mąciłam mu w głowie. – Jej twarz posmutniała. – To pewnie dlatego niezbyt często rozmawialiśmy ze sobą.

Cliff nalał do kawy śmietanki. – No dobrze. Ale co, jeśli człowiek sam wybiera żywot szmacianej lalki?

– Ej, to nie fair – rzuciła. – Oczywiście, że można... raz czy dwa. Żywy człowiek może przecież wybrać śmierć... tylko raz. Ale wtedy to już koniec.

Nic nie odpowiedział; jego wyraz twarzy nie zmienił się; myślał: Do diabła, zgadzam się.

Sherry przerwała mu: – Och nie, nie słuchaj mnie! – Pochyliła się w jego stronę. – Przepraszam! Ale ze mnie idiotka! Nie powinnam była tego mówić.

– Dlaczego nie? – spytał zdziwiony, dostrzegł jej odmienny wyraz twarzy i zrozumiał, że właśnie popełnił błąd. – Niekiedy nie ma wyboru, sama przyznasz – odrzekł, wzruszając ramionami. – Nie ma sensu narzekać.

– Nie – powtórzyła. – Nie ma sensu narzekać. Oczywiście, że nie ma wyboru, przynajmniej w pewnych sprawach. Na przykład w kwestii narodzin. Jako przedstawiciel gatunku.

A niech to szlag trafi. Cliff gotował się w środku. Znowu zapomniał, że ma żyć w

strachu przedwczesnej śmierci. Tylko po co wspomniała o tych narodzinach? I o *gatunku!*

Poprosił, aby przyniesiono kartę deserów. Sherry wahała się nad pysznościami. Następnie uśmiechnęła się i zamówiła duży kawałek wysokokalorycznego tortu, z ogromną ilością kremu.

– Na koniec – powiedziała i popatrzyła na niego z ukosa.

Bawił się łyżką. – A więc chcesz się męczyć i harować, i zabrać chłopaka do jakiejś rudery w starym, brudnym mieście, i pracować, pracować dniami i nocami? To jest ta wolność?

– Uważam, że to *nie był* wybór – odparła. – Ale, jak sam mówiłeś tamtego wieczoru, być może jest jakaś alternatywa. Mogłabym oddać Johnny’ego, a on otrzymałby najlepsze wykształcenie i wszystkie te przywileje, jakie miał Ward. – Znow spjrzała z ukosa. – I może nawet Ward go *nie zabije*.

Cliff poczuł się tak, jakby czubek głowy miał mu eksplodować. – Co masz na myśli, mówiąc: „nie zabije”?

– Chodzi o to, że moim zdaniem Ward spowodował u siebie trwałe uszkodzenia – wyjaśniła beznamiętnie. – Była pewna dziewczyna z plaży... Och, dla niej nie ma już ratunku. Widzisz, Ward skrzywdził Johnny’ego. Chociaż wcale tego nie chciał. To narkotyk tak zadziałał. Biedny Ward, obawiam się, że on już nie jest w stanie dokonywać wyborów.

Cliff zagwizdał cicho i odchylił się do tyłu. (A niech to szlag trafi!)

– Zdaję sobie sprawę z tego, że nigdy nie byłeś matką – mówiła dalej – ale może za to byłeś kiedyś ojcem?

– Nie, nie. I wcale nie zamierzam wyklócać się z tobą – uciął.

– To dobrze – powiedziała Sherry. I skromnie zjadła krem.

Po chwili zapłacił rachunek (przyglądała się, jak daje napiwek). Wyszli do jego samochodu. Bez entuzjazmu zapytał, czy miałyby ochotę pójść gdzieś i rozerwać się. Miał na myśli kilka miejsc. Sherry jednak pomyślała (z miłym uczuciem przejedzenia!), że woli już jechać do domu. Cliff nie oponował. Uznał, że gra jest skończona.

Kiedy zatrzymał samochód przy krawężniku, ujrzeli w oknie Parki.

– Dziękuję – powiedziała Sherry – za wysmienitą kolację. Dobrze mi zrobiła.

– A ja dziękuję za kazanie – odparł uprzejmie.

– Co takiego?

– O znaczeniu słowa „wolność”.

– Dlaczego nazywasz to kazaniem? – zapytała, oburzona.

– To taka przenośnia.

– O! – zdziwiła się. – Wolność! To dopiero początek.

– Naprawdę? – wycedził na tyle obraźliwie, na ile było go stać.

– Ty jeszcze musisz *dokonać* wyboru – powiedziała bez emocji. – Wiesz o tym.

– Aha! – zatriumfował. – Więc dopiero teraz będzie kazanie? W porządku. Moja kontra. Na jakiej podstawie ty dokonujesz wyboru, zakładając, że w ogóle go masz? – Dokuczał jej teraz. Oboje o tym wiedzieli.

Sherry odparła powoli: – Pytasz, mnie, *dlaczego* nie chcę, żeby Johnny był bity, terroryzowany albo wręcz pozbawiony życia przez jego własnego ojca? Nie wiem dlaczego. Ale wolałabym, żeby nie był. I jestem tego pewna, psiakrew.

– Ślepy instynkt, co? – uśmiechnął się szyderczo. – Wolałabyś? I do tego sprowadza się wolność?

Zaczynało ją to złościć. – Niewiele można poradzić na ślepe instynkty – oświadczyła. – Można jedynie wybierać *spośród* nich. Czy myślałeś może, że ja mam tylko jeden?

Cliff nie odpowiedział.

– A jak *ty* wybierasz spośród nich? – ciągnęła. – To znaczy wtedy, kiedy nie martwisz się o swoje zdrowie?

Wysiadł po swojej stronie, przeszedł naokoło, otworzył drugie drzwi i wypuścił ją.

Ale Sherry drążyła: – Chyba nie wystarczy ci samo doznanie, co?

– A dlaczego nie? – spytał chłodno.

– Bo zależy ci na czasie – wyjaśniła, poirytowana. – *Wiem* o tym.

– Nie rozumiem cię – powiedział, budując między nimi mur.

– Owszem, rozumiesz – odcięła. – Przecież ty też dokonujesz wyborów.

Ruszyła chodnikiem, a on podążył za nią. Na schodach przy wejściu wyciągnął rękę, żeby otworzyć drzwi swoim kluczem, i niemalże objął Sherry, która cofnęła się, obrażona. Cliff pomyślał, że gdyby w tej chwili miał dokonać dowolnego wyboru, skrzyłby jej ten wyperfumowany karczek tu i teraz.

Weszli do salonu. Parki przywitały się. – Wcześniej państwo przyszli – zauważyła pani Kimberly.

Cliff z ponurą miną opadł na fotel.

– Żałuję, że pozwoliłem jej odmówić, kiedy chciałem pójść z nią gdzieś na drinka – żalił się. – Mam wprawdzie na górze butelkę, ale świat by się chyba zawalił...

– Pewnie ma pan spory zapas – przerwała mu pani Link. – I dorównuje pan panu Peabody.

Cliff rzucił jej surowe spojrzenie, ale jej twarz była jak zwykle bez wyrazu.

Wtedy wtrąciła się Sherry: – Ciekawe, dlaczego pan Peabody sądził, że któregoś dnia rano piekielnie mnie suszyło...

– Niemożliwe! – wykrzyknął Cliff, udając rozbawienie.

– I kto zadałby sobie tyle *trudu* – ciągnęła zjadliwie – żeby powiedzieć moim znajomym, że zadają się z podejrzanymi typami?

– Skoro się nie zadajesz, co? – dodał.

– Nie byłabym tego taka pewna – odparła złowieszczo.

Po jakimś czasie powiedziała dobranoc i poszła do swego pokoju. Cliff z ponurą miną, której nawet nie chciało mu się ukrywać, zabrzączał drobnymi i opuszkami palców poczuł klucz do tamtego pokoju. Me. I do diabła z tym! Po chwili rzucił się przed siebie i z hukiem wbiegł po schodach.

– Zakochani? – spytała oschle pani Link.

– Z całą pewnością. I wkrótce przyjdzie dzień – odpowiedziała szybko pani Kimberly – kiedy jedno zabije drugie.

– Rozdawaj karty – rzuciła ponuro pani Moran.

Cliff uznał, że koniec z tym, a początek nigdy nawet nie nastąpił. Nie było *żadnych* szans. Żadnego zakładu. Sherry musi tylko powiedzieć sędziemu to, co powiedziała jemu. Jakimukolwiek sędziemu. Ward nie nadawał się na opiekuna, a skoro nie było specjalnych zabezpieczeń mających odseparować ojca od syna, jego rodzice także się nie nadawali.

A więc to tak. Zastanawiał się nad Edwardem Reynardem. Jeśli taka była prawda, to ojciec Warda z pewnością zdaje sobie z tego sprawę.

Chwileczkę. Dlaczego Cliff z miejsca uwierzył Sherry, bez zastrzeżeń? Nie wiedziała przecież, że Ward był na dobrą sprawę obłąkany czy też (można by powiedzieć) w jeszcze gorszym stanie, bo jego choroba jest nieodwracalna. Skąd mogła to wiedzieć? Przecież w głębi duszy to niedouczona dziewczynka z farmy. Nie, nie. Wysłała to wszystko z palca po to, żeby się wycofać. Sama przyznała, że nie wie, dlaczego akurat tak postępuje. Fakt, że niewiele wie. Ale Cliff Storm rozumiał ludzkie motywy lepiej niż inni, a w końcu przypomniał sobie, że dzieciak dostanie większą część *całego* majątku Reynardów. Jeśli więc Ward jest praktycznie obłąkany, a *jednocześnie* niebezpieczny, to Sherry, rzecz jasna, działałaby ostrożnie i grała na zwłokę. Szaleństwo! I tu znów musiał jej uwierzyć.

Problem w tym, że naprawdę jej wierzył.



## Rozdział 13

Może być? – spytał Edward Reynard.

Cliff spojrzął znad papierów na małego tyrana siedzącego za biurkiem jak na tronie. Umowa, którą Cliff trzymał w rękach, *przyznawała* mu firmę Storm and Savage. Czytał więc z ogromną koncentracją, szukając luk prawnych i niejasności. Właśnie wyrażał swe niezadowolenie z jednego paragrafu.

– Zaznacz ołówkiem zmiany, jakie chcesz wprowadzić – zasugerował Reynard.

Wreszcie Cliff położył dokumenty na biurku, między nimi.

– No i co? – spytał Reynard.

– Miałbym kilka pytań – odparł łagodnym tonem Cliff, chociaż umowa bardzo go ucieszyła, a jego spryt dociekał i doszukiwał się sposobu na to, aby jeszcze coś wygrać. – Muszę zapytać pana o stan zdrowia Warda – ciągnął. – Czy pan wiedział, że on bierze narkotyki? I czy wie pan, do jakiego stopnia? I czy jest pan świadom tego, jak one na niego działały?

Poszarzała twarz Reynarda przybrała nieco jaśniejszy kolor.

– Wiem o wszystkim – odparł surowo. – Zdarzają mu się nawroty, kiedy mniej więcej traci kontrolę i najwyraźniej ma halucynacje. Lekarz mówi mi, że niektórzy ludzie są szczególnie wrażliwi na pewne substancje, a Ward chyba do nich należy.

– Przykro mi, że pan to, hm, potwierdza – mruknął Cliff.

– A *tobie* kto powiedział?

– Sherry podejrzewa, że to trwałe uszkodzenie.

– Tak? – Reynard zagotował się. – I ma rację, do diabła! Mam nadzieję, że jest z siebie dumna, bo... – Reynard usilnie się pohamował. Pochylił się i zmienionym głosem dodał: – Czy ty rozumiesz, co to dla mnie oznacza? Nie dość, że mój jedyny syn uwikłał się w to wszystko, to na dodatek już nigdy nie będę miał kolejnych wnuków. Nigdy! Mam tylko tego jednego małego chłopca. Tylko jednego. A teraz powiedz mi, jak mam go odebrać tej kobiecie.

– Nie wiem – odrzekł łagodnie Cliff. – To może okazać się całkiem niemożliwe, chyba że... Co sugeruje lekarz w sprawie Warda? Bo jeśli chcecie państwo zatrzymać go tu u siebie, w tym domu, to wątpię... Wygląda na to, że dziecku może wtedy zagrazać fizyczne niebezpieczeństwo. Obawiam się, że Sherry powie to sędziemu.

Edward Reynard trzymał się kurczowo za czoło jedną ręką.

– Tak – powiedział. – Pogodziłem się z tym. Jestem gotów umieścić Warda w jakimś zakładzie dla dobra Johna. Jeśli trzeba będzie, tak zrobimy.

Cliff pomyślał: „To mi brzmi nieco lepiej!” Ale zaraz padło pytanie, które mu się wyrwało: – A czemu nie przyjmie pan obojga?

– Obojga?

– Sherry i chłopca.

– Bo wtedy ona będzie *wolna!* – warknął Reynard. – Co próbujesz mi powiedzieć?

– Ja tylko pytam. – Cliff wzruszył ramionami, zastanawiając się w duchu, dlaczego zdecydował się to powiedzieć i czy dokonał tym samym *wyboru*.

Reynard tymczasem opuścił swoje szczupłe ramiona. – Miło było wczoraj wieczorem na randce z kolacją? – spytał zjadliwie.

Cliff przewrócił oczami. – Rozumiem. Ktoś inny wykonuje dla pana tę robotę. Cóż... – Poruszył się, jak gdyby chciał wstać i wyjść.

– Jedną chwileczkę. Oczywiście, wynająłem człowieka, który ma Sherry na oku. Pilnuje, żeby nie zwała. Mówiłem ci.

– Nie, proszę pana, wcale mi pan nie mówił – odrzekł Cliff. – Zakładałem, że to *moja* robota. Czy pański inny pracownik doszukał się czegoś... pożytecznego?

Szczęka Reynarda zeszywniała.

Cliff zaśmiał się. – Czy może powiedział panu, że ona jest czysta jak łąka, dziesięciokrotnie silniejsza niż inne, a pan nie ma najmniejszych szans?

Reynard był bliski wytoczenia piany z ust i był to widok, jaki Cliff ujrzał po raz pierwszy w tak zwanej „rzeczywistości”. – A więc zawróciła ci w głowie – krzychał. – Tak myślałem. Nie wiem, jaką dostajesz za to nagrodę, ale mam nadzieję, że jest tego warta. – Wyciągnął rękę po kopię umowy. – Od razu powinienem był wiedzieć, że *ty* nie oprzesz się takiej kobiecie.

– Ejże! – zawołał Cliff, zaniepokojony. Wstał i pochylił się nad biurkiem. Ręce Reynarda zastygły w gotowości do podarcia dokumentów. – Czy ja powiedziałem, że nie mogę i nie wykonam dla pana tej roboty? – zapytał Cliff.

Myślał szybko. Rozumiem! Rozumiem! On wie (i pewnie przez cały czas zdawał sobie sprawę), że musi ją zrobić. A do tego potrzebny mu jestem ja. Nie zleca tego otwarcie. I nawet tego nie sugeruje, bo kto wie? A nuż prywatny detektyw okaże się uczciwy. Ale mnie ufa, jeśli chodzi o brudną robotę. Wynajmuje mnie (i ma dla mnie świetną nagrodę) po to, żebym ją zrobił. Ale czy *on* jest świadom takiego postępowania?

– Więc możesz wykonać dla mnie tę robotę? – spytał Reynard ze złością.

– O, przypuszczam, że tak – wycedził Cliff i czekał, aby się przekonać, czy ten drugi przyzna wreszcie, o jaką robotę chodzi.

Reynard jednak, nieco bardziej ożywiony, spytał: – Czyli jesteś na jakimś tropie?

– Możliwe. – Cliff zachował ostrożność.

Reynard położył dokumenty na biurku i sięgnął po długopis. – Powiem ci, co zamierzam zrobić – oznajmił. – Ty dasz mi gwarancję, że znajdziesz dowody, które mają... które wedle wszelkich uzasadnionych oczekiwań powinny... przekonać każdego uczciwego człowieka, że dziecko musi zostać jej odebrane. Przyrzeknij mi to, a ja podpiszę tę umowę teraz.

– Niech pan podpisze – powiedział szybko Cliff.

Reynard podpisał się swoim nazwiskiem na pięciu kopiach i nawet zaparafował zmiany. Następnie nałożył na długopis nakrętkę i obrócił go w swych czystych, białych dłoniach. – A teraz ciąg dalszy – oświadczył złośliwie. – Jeżeli złamiesz obietnicę, możesz się spodziewać, że rozwalę Storm and Savage na kawałki i wrzucę je do ścieków. A te ścieki, ma się rozumieć, to proste śledztwo na temat twojego dochodowego przedsięwzięcia sprzed kilku lat. Mam kopię trzech filmów, które nakręciłeś dla zboczonych typów, i posiadam też dowód na to, że to ty byłeś tym młodym geniuszem, który je wyprodukował i wyreżyserował.

– Tak się jakoś składa – powiedział Cliff – że wcale mnie to nie dziwi.

Usiadł i potarł podbródek. Drugą ręką sięgnął po leżącą na wierzchu kopię umowy i zwinął ją w rulon. Trzymał ją w dłoni niczym berło. Poczł coś w rodzaju pogardliwej protekcjonalności dla człowieka, który sądził, że tak łatwo przyjdzie mu wrzucić kogoś do ścieków. O, niewykluczone, że Reynard będzie utrapieniem, skoro grzebie akurat w tym rozdziale jego przeszłości. Ale niech tylko Cliff przejmie władzę nad Storm and Savage, zdobędzie pieniądze i prestiż na tę chwilę, to niewątpliwie utrzyma się bez problemu. Stary chyba nie zdaje sobie sprawy, że w dzisiejszych czasach takie rzeczy da się bez problemu zamydlić.

Mimo wszystko, może lepiej pozwolić mu wierzyć, że rzucił potężną groźbę? I wykorzystać to, aby wymusić na nim jakieś korzyści?

– Prosiłbym – powiedział Cliff chłodno – żeby skontaktował się pan z dyrektorem do spraw rekrutacji w Zawodowej Szkole dla Upośledzonych Umysłowo im. Shermana. Chciałbym umówić na spotkanie z nim panią Peabody w sprawie przyjęcia jej córki, Elsie, do tej szkoły za *minimalną* opłatą, czesnym, czy jak to się nazywa. I ma to być wliczone w koszty.

– Nie widzę problemu – odrzekł Reynard. – Zgoda.

– Chcę ustalić termin tego spotkania na środę wieczór. Niech pan mu poda moje nazwisko. Sam to z nim załatwię.

– Zgoda.

Cliff wciąż zastanawiał się, czy Reynard był w pełni świadom tego, co robi. – Pewnie niewiele się wydarzy – powiedział – jeżeli ta kobieta będzie przebywała w pensjonacie, sam pan rozumie.

– A jeżeli opuści pensjonat, to coś się wydarzy? – dociekał Reynard oschłym tonem.

– Mam powody wierzyć, że tak – odparł Cliff miękkim głosem.

– Szybki termin, prawda? Ta środa...

– Skoro zależy panu na wykonanej robocie – odrzekł śmiało Cliff – musi pan pozwolić mi samemu ocenić, jak i kiedy ją wykonać.

– Zgoda – odpowiedział Reynard. Zaciśnął mocno wargi. Nie był ani trochę bardziej skłonny przyznać się do czegokolwiek.

– Chce pan znać szczegóły? – zapytał Cliff uwodzicielsko.

– Nie, nie – rzucił Reynard, przyznając się tym samym do wszystkiego.

Cliff schował więc zwinętą w rulon umowę do wewnętrznej kieszeni i przyglądał kurtkę. Z miłym uczuciem przewagi wstał i powiedział: – A tak przy okazji, niech pan odwoła swojego drugiego człowieka czy innych ludzi, dobrze? Nie są potrzebni i mogą tylko przeszkadzać. Lepiej, by nie kręcili się w pobliżu.

– Dobrze – zgodził się Reynard. W jego oczach był chłód.

Cliff zjechał windą na dół i wyszedł z biurowca. Wsiadł do samochodu. Już wiedział, co robić! Teraz musi skonkretyzować pewien plan, zastosować go w praktyce i dopilnować, żeby zadziałał.

Miał półtoraroczny samochód – niewielka strata. Wiedział już mniej więcej, jak *upozorować* ucieczkę z miejsca wypadku z udziałem Sherry Reynard. To było możliwe.

Musiał jeszcze tylko wkomponować jakiś bulwersujący podtekst. Wykorzysta *Elsie*. To będzie szokujące. Oczywiście, w duchu zastanawiał się, czy taka rzecz naprawdę bardzo wpłynęłaby na zdolność młodej kobiety do macierzyństwa. Wiedział, że ludzkie stworzenia wymierzają kary innym ludzkim stworzeniom, i że niekoniecznie, a prawdopodobnie nigdy, nie stosują przy tym żadnych rozsądnych metod. A jemu potrzebny był tylko pełen odrazy wstrząs wywołany we właściwym czasie. Wycucie czasu było tu istotne.

Pomyślał sobie, że pokazy przedpremierowe niekiedy mówią bardzo wiele. Zmienił

więc kierunek i pojechał do domku panny Erskine.

Zapłacił jej dziewięć dolarów. Następnie oskarżającym tonem zaczął robić aluzje.

Kobieta wpatrywała się w niego. Przysłoniła dłonią oczy. Cliff zaś przygotowywał się na wybuch hysterii, kiedy uświadomił sobie nagle, że kobieta powstrzymywała śmiech.

– No i co? – odezwał się dość surowo.

– Och, panie Storm – odparła, łapiąc oddech. Oczy jej łzawiły od śmiechu. – Niemożliwe! I pan w to wierzy? Jak pan może? Sherry Reynard! Czyżby pan nigdy jej nie spotkał? Ona i jakaś druga... Sądziłam, że pan *zna* jej męża! O czym pan *mówi*? – W tym momencie wybuchła śmiechem. – A nawet jeśli by tak było, do czego byłby jej potrzebny ktoś taki jak ja? O Boże! Przepraszam. – Usiłowała z grzeczności powstrzymać śmiech. – Pan sądził, że nie wybrałam się do niej w odwiedziny z obawy o jakieś ekscesy...! Ależ nie. Bałam się tylko, że poprosi mnie o pieniądze. – Zaczęła ocierać chusteczką łzy rozbawienia. – Przepraszam, że aż tak mnie to roz... rozbawiło – dodała. Jej suche, wyblakłe oczy wyrażały teraz współczucie dla niego. – Nie wydaje mi się, żeby pan był w stanie dobrze zrozumieć te sprawy – powiedziała uprzejmie. Zamrugła i dodała, tym razem *niezbyt* uprzejmie: – Co pan kombinuje?

Cliff wstał. – Hm – mruknął, kryjąc swoją wściekłość najlepiej, jak potrafił. – Zdaje się, że odpowiedziała pani na moje pytanie. Cieszę się. I bardzo, bardzo pani dziękuję. Ulżyło mi – skłamał. – Rzecz jasna, ja sam też *nie całkiem* w to wierzyłem – dodał zgodnie z prawdą.

Odjechał zgorzkniały. Spodziewał się, oczywiście, że kobieta zaleje się łzami. Ale nie takimi łzami. Przecież nie mógł aż tak bardzo się mylić. Samo napomknięcie o tego rodzaju zarzutach powinno było brutalnie znieważyc jej niewinność. Do jakiego stopnia panna Erskine jest niewinna? Do jakiego stopnia niewinny jest każdy człowiek?

Ruszył do miejsca, w którym miał swoją skrytkę. Otworzył wielką, metalową skrzynkę i palcami przejechał po tajemniczych tytułach. Szokujące rzeczy, tak mu się zawsze zdawało. (Choć, oczywiście, nie dla niego.) Po co Sherry Reynard zadawałaby się z kimś takim jak Elsie? I wtedy samo wpadło mu w ręce. Aha! Właśnie to chodziło mu gdzieś po głowie. Jasne! Naturalnie! Oczywiście!

Jedną wybraną kasetę z filmem zabrał do swego mieszkania. Chciał przejrzeć i przypomnieć sobie. Choć pamiętał aż za dobrze. Pamiętał jedną ważną rzecz, niezbędną dla osiągnięcia swego celu. Oni płacili. Cliff znał kilka ugrupowań w tym mieście, których dziwaczne upodobania od czasu do czasu zaspokajał. Ale ta grupa gustowała w czymś, co – pomyślał z rozbawieniem – było rzeczywiście nie tylko przestarzałe, ale wręcz *przedpotopowe*. A za to, czego potrzebowali, gotowi byli dobrze zapłacić.

Usiadł, zabrał się do pracy i przygotował cały plan ze szczegółami. A kiedy skończył, pomyślał, że któregoś dnia chciałby powiedzieć pannie Erskine, jak bardzo mu pomogła.

To raczej nieodpowiednia pora, pani Reynard – oświadczył pielęgniarz.

– O mój Boże – jęknęła Emily. – Prawie wcale już go nie widuję. Jest pan pewien, że regularnie zażywa leki?

– Tak, proszę pani.

– Czyli nie mam szans? – westchnęła.

– Nie, proszę pani. Przepraszam. – I drzwi do sypialni zostały zamknięte przed jej nosem.

– Poszła? – odezwał się Ward do pielęgniarza.

– Nie będzie panu już przeszkadzać.

– Kocham mamę – oznajmił Ward, zwijając się – ale doprowadza mnie do szału. – Spojrzał pielęgniarzowi w oczy. – Czy raczej doprowadziłaby mnie do szału, gdybym był normalny.

– Och, niech pan da spokój. Proszę tak nie mówić.

– Chryste, żebym był w swoim łóżku... – zanucił cicho Ward.

Pielęgniarz, który nie znał tej piosenki, ucieszył się, że pacjent mimo wszystko odezwał się *z sensem*.

Emily powlokła się zrezygnowanym krokiem po niebieskim dywanie wzdłuż korytarza na piętrze i weszła do swej ogromnej sypialni. Nikt jeszcze nie powiedział jej wprost, że Ward pewnie do końca nie wyzdrowieje ani nie stanie się na powrót sobą. Nawet lekarz unikał przy niej tego tematu.

Usiadła przy toalecie i spojrzała na swe przestraszone niebieskie oczy. Nie szkodzi. Nieważne. To nie jej wina. To nie *ona* do tego doprowadziła. Różne rzeczy się zdarzają. I straszne rzeczy też, nawet dobrym ludziom. Nawet grzecznym dziewczynkom, takim jak Emily. Przecież już dawno otrzymała swoją nagrodę. Wtedy, kiedy uratowano Edwarda. Oczywiście, w tamtych czasach nie było jeszcze tych okropnych narkotyków. Nie rozumiała tego. Ale Edward często powtarza jedną rzecz. Brzmi ona chłodno i rzeczowo, ale na pewno ma jakąś wartość: „zredukować straty”.

Emily zamknęła oczy i zaczęła snuć plany. Pokój, który przerobiono na dziecienny po narodzinach Johnny’ego, nie wystarczy. Nie. Będzie potrzebował więcej miejsca. Mały

chłopiec musi gdzieś trzymać swoje rzeczy, mieć półki z zabawkami i tym podobne. Pomyślała więc: a może ten duży pokój gościnny, od strony ogrodu? Tak, tylko że tam są schody prowadzące na balkon, nad tarasem z tyłu domu. Emily poczuła dreszcz przerażenia. Porywacze! Nie, lepiej będzie chyba dać Johnny'emu pokój we frontowej części domu. I zatrudnić opiekunkę. W myślach zaczęła dobierać kolory. Nie zaszkodzi rozejrzeć się po kilku droższych sklepach z meblami dziecięcymi.

Dla ukochanego wnuczka zrobi dosłownie wszystko, co w jej mocy.

A on nie będzie sprawiał wielu kłopotów.

Poniedziałek był stosunkowo dobrym dniem dla Sherry. Po pierwsze, kolacja jej smakowała, udało jej się pokonać zarówno złość na Cliffa Storma, jak i wstyd z powodu niegrzecznego potraktowania go, mogła więc to teraz przetrwać. Dobrze jej to zrobiło, przywróciło jej energię. A po drugie, trzymała się, do pewnego stopnia, swego postanowienia, żeby nie martwić się o pieniądze. Miała jeszcze dwadzieścia dwa dolary i pięćdziesiąt centów, i zważywszy, że wcale nie miała zamiaru być rozrzutna, był już poniedziałek.

Do tego jeszcze lekarz Johnny'ego z radością oświadczył, że nie widzi powodu, dla którego chłopiec nie mógłby zostać przewieziony ze szpitala prostu na lotnisko. Zdaniem lekarza lot odrzutowcem nie jest fizycznie męczący. Wiadomość ta dodała Sherry otuchy. Była pewna, że rozwiąże problem znalezienia lokum w Nowym Jorku, jeszcze zanim tam wyruszy. Być może Pat Anderson jest dla niej stracona, ale nie wszyscy. Jej młody małżonek myślał pewnie, że ją chroni i uznał to za swój obowiązek. Czasami Sherry zastanawiała się, za kogo ją wzięli. Może za członkinię Mafii? Albo za szpiega? Nieważne. Obie wersje były nieprawdziwe.

Rano czarnowłosa dziewczyna zabierała ze szpitala swoje dziecko. Przechodząc, odezwała się do Sherry: – Powodzenia. I pamiętaj: nie przejmuj się.

Sherry ucieszyła się na widok małego wyleczonego pacjenta.

W południe kupiła paczkę krakersów i kawałek sera. Zjadła je w parku, uszczęśliwiona, że ominęło ją niskokaloryczne danie. Napiała się z publicznej fontanny, poobserwowała ludzi, gołębie i zdrowe dzieci, które skakały po trawie z wesołymi balonikami nad głową.

A potem przyszło bardzo długie popołudnie i Johnny ze swoimi humorami. Nie można było narzucić mu twardej dyscypliny, dopóki całkiem nie wyzdrowieje. A potem ta sama smutna kolacja. Kiedy dotarła z powrotem do pensjonatu, dzień zdążył już stracić dla niej

swój radosny blask.

Nie zatrzymała się w salonie. Były tam Parki i pewnie chętnie pogawędziłaby sobie z nimi. Ale podeszła do niej Elsie Peabody i zaczęła opowiadać jakąś historię, jak to miała w zwyczaju, o tym, co Elsie przeżyła. Sherry delikatnie zbyła ją i poszła do pokoju, gdzie zajęła się przygotowywaniem ubioru na wielkie wydarzenie. Co ma założyć i czy taki strój będzie odpowiedni? I kiedy powinna umyć włosy, żeby wyglądały jak najlepiej?

Ani śladu Cliffa Storma przez cały dzień. I wcale nie chciała go widzieć. Nie chciała nawet o nim myśleć. Ani o Edwardzie Reynardzie. Ani o Wardzie. A w szczególności o sobie samej. Rozmyślała więc o swoim wyglądzie.

Nie chciała, żeby myślenie o ważnym czwartkowym wydarzeniu powodowało u niej pełne napięcia oczekiwanie. Nawet nie *wyobraża* sobie, że może stracić Johnny'ego. To się nie stanie. Trzeba tylko zachować spokój, spokój. I wytrwać, i nadal być sobą.

Wybrała instynkt, który nakazywał jej zapewnić Johnny'emu bezpieczeństwo i odpowiednie wychowanie. *I to wszystko*. Wykluczyła instynkt, który popychał ją ku Wardowi, przez co wierzyła jak głupia i oszukiwała siebie samą, bo tak bardzo chciała, żeby był takim, jakim nie jest.

Musiała też zrezygnować ze swej zapalczącej chęci udziału w brutalnej ostatecznej rozgrywce przeciwko temu facetowi, Cliffowi Stormowi. Z chęci zapytania go, co on wyprawia. Okazania mu wściekłości, jeśli jest jej wrogiem. Albo wyzbycia się swych wstrętnych podejrzeń i prośby o wybaczenie, jeśli nim nie był.

Teraz jednak *na to* akurat nie mogła sobie pozwolić. Wszystko to musi stłumić, odrzucić i tylko zachować spokój, stać mocno na ziemi i trzymać się własnej drogi.

## Rozdział 14

Kiedy Cliff zszedł na śniadanie we wtorek rano, między nim a Sherry Reynard przemknęła iskra wrogości. Mimo to swobodnie przywitał się z towarzystwem i oznajmił, że Lawton Archer chyba już się pakuje.

Ledwo co Sherry zdążyła podnieść się, aby odejść od stolika, a już zwrócił się bezpośrednio do niej. – Czy dowiedziałaś się, co powiedziano o tobie twoim znajomym ze wschodnich Stanów? – spytał, mrużąc oczy.

– Nie – odparła, patrząc na niego bacznie. – Ale nie przejmuj się tym – dodała nieco



zbyt uprzejmie. – To nieważne.

(Dla mnie ważne – pomyślał Cliff – bo zamierzam wykorzystać twoją trzecią znajomą, moja maleńka Sherry: tę, do której, jak mi już wiadomo, wcale nie zadzwoniłaś.) Przyglądał się, jak odchodzi.

Skąd on wie, że mam znajomych we wschodnich Stanach? – zastanawiała się Sherry. – Ach tak, przecież słyszał, jak zamawiałam rozmowy przez telefon. Ale to było już *po tym*, jak ktoś im na mnie nagadał.

A może jednak tego nie zrobił? – pomyślała smutno. – Jak on mógł to zrobić? Ja chyba oszalałam!

Kiedy Sherry wyszła, Cliff poprosił panią Peabody, żeby w miarę możliwości zaplanowała środowy wieczór na spotkanie z pewnym mężczyzną. Następnie opowiedział o szkole i o doskonałej szansie umieszczenia w niej Elsie za znacznie obniżoną i rozsądną opłatą. Właścicielka najwyraźniej zareagowała zdumieniem. Była poruszona. Prawie zaniemówiła.

Parki, pijąc i przeżuając, słuchały bez słowa.

A później pan Peabody, szukając Cliffa, zaszedł aż do jego pokoju. Był bliski łez. Powiedział, że nie może w to uwierzyć. Nie może w to uwierzyć!

– No tak – odezwał się Cliff. – Może to nie jest dla niej odpowiednie miejsce. A pan może nie pochwalać tego, co tam robią. Ci ludzie też mogą nie spodobać się panu. O ile mi wiadomo, niewykluczone, że kiedy zobaczą Elsie, uznają, że nie mogą jej pomóc. Ale i tak warto spróbować, co pan na to?

Poruszenie pana Peabody nieco jakby osłabło. Powiedział, że na pewno warto, a że troszkę się wzruszył, Cliff zajął się pocieszaniem go i na najbliższy czas zażegnał jego smutki.

Cliff ustalił już, które pionki musi poruszyć w środę. Archera nie brał pod uwagę; wyjeżdża. Joe Bianchi nadal prawie wcale się nie ruszał. Nie stanowił większego zagrożenia. Najprawdopodobniej więc nie będzie przechodził przez ulicę w najmniej odpowiednim czasie.

Parki miały w pewnym sensie być świadkami. Panią Peabody już się zajął. Uznał też, że lepiej będzie, jak właściciel spędzi kolejny pijacki wieczór na swoim wiklinowym krześle, zupełnie nieświadom tego, co się dzieje na świecie, tu czy tam. A we właściwym momencie Cliff łatwo poradzi sobie z Elsie. Pozostawał jedynie problem wysłania Sherry Reynard tam, dokąd chciał ją wysłać o wybranej przez siebie porze.

W kuchni zaskrzypiała wiklina. – Chyba warto spróbować – powiedział pan Peabody i westchnął. – Wiem, że są ludzie, którzy lubią uszczęśliwiać innych. Lubią słyszeć, jak im się mówi, że są tacy cudowni. I zawsze obiecują, że wszystko załatwią.

– Wiem, o co ci chodzi – odrzekła pani Peabody. – Ja też się niepokoję. Dom to co innego. Znamy się na tym. Możemy go uratować, żeby całkiem się nie zniszczył. To rozumiem. Gdybyśmy tylko go mieli! Elsie nic do szczęścia nie brakuje, kiedy może być w domu.

– Rzecz w tym – zauważył pan Peabody – że pan Storm chyba myśli o tym, żeby pójść do nieba, ale o co chodzi temu panu Reynardowi?

– Dobrze byłoby, żebyśmy spotkali się z tym człowiekiem i porozmawiali o Domu. Ciekawa jestem... Przecież pani Reynard na pewno go zna.

– Ona chyba nie ma z nim dobrych układów – orzekł pan Peabody. – A my nie mamy dobrych układów z nią. – Otworzył butelkę.

– Nie wiem – podsumowała pani Peabody – czy panu Stormowi uda się pójść do nieba, jeżeli będzie tak wykorzystywał ludzkie słabości.

Ręce właściciela przestały się poruszać. Trzęsły się tylko trochę. – Ja też nie wiem – odparł poważnie, westchnął i napenił kieliszek.

Tego ranka Sherry dopiero co przywitała się z synkiem, kiedy pomocnik pielęgniarki powiedział jej, że jakiś mężczyzna na korytarzu chce się z nią zobaczyć. Wyszła z oddziału, przygotowując się na widok Edwarda Reynarda, ale owym mężczyzną okazał się Lawton Archer. Wydawał się strasznie przygnębiony.

– Wyprowadzam się – oznajmił. – Po prostu nie dam rady spędzić w tym okropnym domu ani godziny dłużej. Ale musiałem porozmawiać z panią, jeszcze zanim odejdę, pani Reynard.

Sherry wyciągnęła dłoń. – W takim razie do widzenia, i życzę sukcesów.

Wziął ją za rękę i trzymał nerwowo przez chwilę. Jego głos stracił głęboki ton i barwę. Zaczął skrzeczeć i pokwikiwać. – Zostałem strasznie znieważony i trudno oczekiwać, że będę siedział cicho. Bo wcale nie mam zamiaru siedzieć cicho. Przyszedłem panią ostrzec. W końcu jest pani jedyną osobą, która ma jakieś pojęcie o ogromnych wymogach mojego zawodu. Ja...

– O co chodzi? – spytała, zaskoczona.

– Edward Reynard *jest* pani teściem, tak?

– Tak.

– Zostałem wezwany... tak, wezwany!... do jego biura wczoraj późnym popołudniem. Padła jakaś aluzja na temat mojej kariery, wie pani. No więc poszedłem, oczywiście. – Archer odzyskiwał swój normalny głos. – I wtedy on obiecał... Wyraził się jasno... *Powiedział*, że zatrudni dla mnie jednego z najdroższych i najpopularniejszych ludzi od reklamy w całym mieście. Powiedział też, że nie będzie mnie obrażał, proponując pieniądze. O nie, wyraził się jeszcze bardziej subtelnie! – Archer dokładnie analizował tło wydarzeń. – Powiedział, żebym uświadomił sobie, że ten człowiek może mnie wkręcić, i wkręci mnie do filmu, tam gdzie tylko zechcę wystąpić. Chodziło mu oczywiście o filmy komercyjne. A skąd on może wiedzieć, gdzie ja chcę wystąpić? Sądził, że zrobię dosłownie wszystko dla taniego *rozgłosu!* Żeby tylko moje nazwisko pojawiło się w gazetach. Jak tamta okropna dziewczyna z tatuażem, pamięta pani? Jakaś efekciarska próba zdobycia uwagi... – Wydawało się, że Archer lada chwila eksploduje.

– No tak, ale... – Sherry usiłowała uspokoić go.

– I miałem coś dla niego *zrobić* – mówił dalej Archer. – Miałem rozpuszczać plotki na pani temat. Myślał, że jak mnie przekupi, to zrobię to. I będę panią szpiegował.

– On... naprawdę tak powiedział? – Sherry wlepiła w niego wzrok.

– A pewnie, że powiedział! – pieklił się Archer. – Jak gdybym miał sprzedać swój własny honor za jakiś tani „sukces”!

Sherry zrozumiała nagle, że ten człowiek obawia się jakiegokolwiek sukcesu. Nie zniósłby tego. Straciłby zainteresowanie. Łagodnym tonem powiedziała: – W takim razie powinnam chyba podziękować panu za to, że nie dał się pan przekupić.

– Nie, nie, proszę mi nie dziękować – bronił się żarliwie Archer. – Przecież nie mogłem inaczej! Ten świat jest okropny, pani Reynard. Jeden drugiemu wpycha w plecy nóż. Nie ma już życzliwych, dobrych ludzi. – Był bliski głośnego płaczu. – Nie ma zrozumienia. I chociaż ja sam się staram, to czasami nie wiem, po co.

– Proszę się o mnie nie martwić – ciągnęła delikatnym tonem. – Dziękuję, że mi pan powiedział.

– I proszę pani, on myśli – dodał zaciekle Archer – że pani i Clifford Storm macie romans! – Uniósł wargi, odsłaniając zęby. Wyglądał drapieżnie.

Sherry otworzyła bezwładnie usta. Z jej gardła wydobyła się salwa śmiechu spowodowanego zaskoczeniem. Szybko się opamiętała. Aktor nie był w nastroju do śmiechu. Przerastało go to. Zrobił to, co uznał za uczciwe i słuszne. Uczynił to przed obliczem wszechświata, który w jego odczuciu wystawiał go na pogardę i drwiny. Potrzebował jej

uznania, a Sherry pomyślała, że przynajmniej z jego punktu widzenia zasłużył sobie na nie. Pocieszyła go więc i wreszcie odszedł: tragiczna postać, drobna, szczupła sylwetka owiana majestatycznym cierpieniem.

Dopiero wtedy Sherry usiłowała zrozumieć to, co jej powiedział.

Bez zaskoczenia przyjęła do wiadomości fakt, że Edward Reynard jest jej aż tak bezwzględnie wrogi. Odczuła to. Dziwne tylko, że podejrzewa ją o tego typu relacje z Cliffem Stormem. Może po prostu taką ma nadzieję? – pomyślała cierpko.

Z drugiej jednak strony, czy to przypadkiem nie oznacza, że Sherry wolno wierzyć, iż Cliff wcale nie jest po stronie Reynarda?

Jednego tylko mogła być pewna. Reynard miał jakiegoś agenta. A przynajmniej ktoś już ją „szpiegował”, „szpieguje” albo dopiero będzie „szpiegował”. Czy to Cliff?

Przyszedł jej do głowy mały test. O tak, powęszy trochę i na pewno czegoś się dowie. Teraz jest w szpitalu, a tu też można powęszyć... Rozważyła środki i sposoby, dochodząc do smutnego wniosku, że nie jest zbyt uczciwa. Musiała jednak wiedzieć swoje, więc po wielu pytaniach dotarła w końcu do Joe Bianchiego. Był zajęty. Tryskał energią, ale przerwał, żeby grzecznie się z nią przywitać i spytać, co może dla niej zrobić.

Powiedziała mu.

Zrobił smutną minę. – Chce pani wiedzieć, czy Storm przechodził tu niedawno operację? I czy aktualnie poddawany jest zabiegom? Tak? Myślę, że mógłbym się dowiedzieć, gdybym bardzo się postarał. Chociaż nie bardzo mogę pojąć, po co, do diabła, miałby kłamać. – *A jeżeli nawet, to co cię to obchodzi?*, mówiło jeszcze spojrzenie Joe.

– Chodzi o opiekę nad moim małym synkiem – wyjaśniła mu Sherry nieco smutnym tonem, bo zdawało jej się, że już wie, jaka będzie jego reakcja. – Mój teść posyła za mną szpiegów.

– A to ci dopiero! – rzucił cicho Joe. – O, do diabła! To dlatego Cliff Storm mieszka tu i udaje, że boi się umrzeć. Tylko po to, żeby panią szpiegować?

Sherry spodziewała się tego.

– Wie pani co? – dodał Joe. – A może poszlibyśmy dziś wieczorem przekąsić coś w jakiejś włoskiej knajpcie? Co? I opowie pani wujkowi Joe wszystko o tych złych facetach.

Sherry uśmiechnęła się do niego szeroko. – Nie, na razie muszę dbać o dobre imię – odparła nonszalancko.

– No, nie wiem – rzucił Joe, zbity z tropu. Ton jego głosu był już mniej protekcyjny. – Może warto byłoby pogadać. Zrzucić to z siebie. – Przyglądał jej się nachalnie.

– Piekelnie atrakcyjna propozycja – odrzekła. – Wielkie dzięki. Ale zależy mi tylko na tym, żeby pan sprawdził dla mnie te informacje. Bo inaczej skąd mam wiedzieć, czy to nie są tylko moje urojenia?

Joe rzucił jej surowe spojrzenie. Przechylił głowę. – Dobrze – powiedział po chwili, uśmiechnął się do niej szeroko i wrócił do swoich zajęć.

Sherry odeszła, nie całkiem przekonana, czy sprawdzi to dla niej, i zastanawiała się, czy nie powinna była zacytować Archera. Nie. Dobrze, że tego nie zrobiłam – pomyślała. – Najważniejsze, żebym nie urządziła scen rozpaczki i nie starała się przekonać ludzi, że jestem prześladowana. Bo wtedy na pewno nie uwierzą.

Zjadła kolejny skromny posiłek na świeżym powietrzu, w parku. Kiedy poszła do śmietnika wyrzucić resztki, zagadnął ją baloniarz. Był to mały, szczupły, mocno opalony człowieczek. Snuł się po parku, pchając przed sobą kramik na długich, składanych nogach, do których przymocowane były kółka. Obłok różnobarwnych balonów zakolysał się razem z nim, kiedy pochylił się nad tacą z towarem i powiedział do niej:

– Widzę, że pani cień zniknął, panienko.

– Co takiego?

– Ten gość, który codziennie panią śledził... Już go nie ma?

– Kogo?

– Tego, który, jak to się mówi: siedział pani na ogonie. Bez obrazy.

– Zauważył pan kogoś? Dość wysoki, ciemne włosy?

– Nie, nie. Ten gość miał raczej jasne włosy, metr siedemdziesiąt wzrostu. Nie zna go pani? Myślałem, że tak. Ale proszę się rozchmurzyć. Dzisiaj go tu nie ma.

Sherry nie rozchmurzyła się. Poczwała dreszcz i strach. Przez szczękające zęby wyjąkała: – Dziękuję, że mi pan powiedział. Kupiłabym coś dla mojego synka, ale nie stać mnie.

– Nie szkodzi – odparł. – Zawsze do usług.

Wyobrażała sobie, jakie myśli krążą mu po głowie. Był przekonany, że istnieje coś, czego ona powinna się obawiać. I miał rację! Sherry pognała z powrotem do szpitala.

Kiedy wychodziła o siódmej, było już ciemno. Przemknęła przez ulicę i przeszła kilka metrów do pensjonatu, jak gdyby w krzakach po jej lewej stronie kryły się uśpione psy czy rozdrażnione tygrysy. Wbiegła po schodach do drzwi i weszła, łapiąc oddech.

Starsze panie przy stoliku przywitały ją jak zwykle. Sherry bardzo ucieszyła się na ich widok. – Panie nigdzie nie wychodzą, prawda? – spytała pochopnie.

Odpowiedziały jej, że nie. Kolację już zjadły. I szykowały się do snu.

Usiadła, starając się pokonać swój fizyczny strach i przemówić do rozumu swej zalęknionej duszy.

– Jak się udała kolacja z panem Stormem? – spytała pani Kimberly.

Sherry była zaskoczona. – Hm, jedzenie było doskonałe! – rzuciła wymijająco.

– To bardzo hojny człowiek – stwierdziła pani Link. – Czy pani wie, że załatwia jakąś szkołę dla tej nieszczęsnej Elsie?

– Naprawdę? To bardzo miłe.

– Jutro wieczorem pani Peabody idzie na rozmowę – oznajmiła pani Moran. – Piekielnie daleko, gdzieś na drugi koniec miasta... Oj, wy grzesznice! Odpadam z gry!

Pani Link zgarnęła wziętkę kart z jedynym kierem. – Niech stracę – westchnęła.

Jednak serce Sherry podskoczyło z przerażenia. – I jutro wieczorem też panie nie wychodzą?

– Nie, nie – odrzekła pani Moran. – Będziemy pilnować spraw na naszym posterunku. Ho, ho.

– Nie wychodzimy *nigdzie* ani dziś, ani jutro wieczorem – dodała pani Kimberly tonem tak stanowczym, że poskromiłby dzikiego konia.

Sherry mimowolnie odetchnęła głęboko z ulgą. A one słuchały. Obserwowały ją. Wiedziała o tym. – Brakowało mi pań – odezwała się. – Tamtego wieczoru, kiedy pań nie było, czułam się niespokojna...

W tej chwili wszystkie otwarcie wlepiły w nią wzrok.

– Przesłuchanie w związku z moim rozwodem i opieką nad dzieckiem odbędzie się w czwartek – powiedziała im. – Mam tylko nadzieję, że do tej pory jakoś przeżyję.

– Jak to, moja droga? – spytała pani Link. – Czas leci. Mnie się zdaje, że przeżyjesz.

– Czy chodzi o pieniądze? – dociekała pani Moran z wrodzonym sprytem.

– Nie. Mam ich wystarczająco dość. A będę miała mnóstwo – odparła Sherry. – Chodzi o to... – I w tym momencie zawiesiła głos. Nie. Nie może powiedzieć im, że wyczuwa naokoło wrogów. Jak by to odebrały? Kto by w to uwierzył?

Usłyszała, że ktoś jest w jadalni. Wstała szybko, powiedziała dobranoc i odeszła spiesznie, aby zaszyć się w swej bezpiecznej celi, gdzie mogła zasunąć zasuwę, zamknąć jedne jedyne drzwi i przetrwać. Przetrwać.

A Cliff Storm wracał właśnie z kolejnego spotkania *en familie* z państwem Peabody. Nie licząc przeglądu drzwi wyjściowych i wejściowych w ich kwaterach, spotkanie było nieco

stresujące. Państwo Peabody gorączkowali się i zachwycali, ale wciąż powracali do kwestii Domu. Był zmuszony łagodzić, obiecywać, uspokajać, a to było udręką.

Zobaczył, jak Sherry przemknęła i patrząc na Parki, uniósł brwi.

– Niech mi pan powie – odezwała się pani Moran nieco tajemniczo – czy ten dom, który państwo Peabody chcą kupić, rzeczywiście należy do pana Reynarda?

– Tak mi się wydaje – odparł szybko Cliff. – Dlaczego pani pyta?

– Bardzo ciekawe – zauważyła pani Link. – Taki zbieg okoliczności...

– Mam nadzieję – powiedział uprzejmie Cliff – że zechcą panie zaszczyścić ten dom swoją obecnością.

– To zależy – odrzekła pani Kimberly. – A jak tam się pan ostatnio miewa, panie Storm?

– A wie pani – odparł – że najprawdopodobniej zostanę przy życiu?

– W takim razie wyprowadzi się pan stąd? – spytała natychmiast pani Kimberly.

– Chyba tak – odrzekł.

– Pewnie w piątek? – zgadywała pani Moran.

Był zaskoczony, ale odpowiedział: – Nie wiem, jeszcze nie postanowiłem. Dlaczego akurat w piątek, proszę pani?

– Zbieg okoliczności – mruknęła pani Link, zgarniając wziątkę.

– Z tego, co wiem – dodała pani Moran kwaśnym tonem – młodzi przejawiają skłonność do wydłużania znajomości przez weekendy.

Cliff zaśmiał się, pożegnał panie i wybrał się do Soni.

Tempo gry w karty było powolne.

– Brakowało jej nas – powtórzyła pani Link, wykrzywiając usta.

– A w sobotni wieczór poszłyśmy sobie z tego domu, co? – dodała pani Kimberly, unosząc policzki jak wiewiórka.

– Prawienie komplementów nic im obu nie da – oświadczyła ponuro pani Moran.

– Mnie się zdaje, że *ona* jest podenerwowana – podsumowała troskliwym tonem pani Link.

– A mnie się zdaje, że on całkiem zapomniał o śmiertelnej chorobie – oświadczyła pani Kimberly. – Po czyjej stronie stajemy, dziewczęta?

– To zależy – odrzekła pani Moran.

## Rozdział 15

Środa zaczęła się podobnie jak każdy inny dzień w pensjonacie pani Peabody. Sherry, ubrana na śniadanie, wyszła z pokoju i ujrzała snującego się w holu przy wejściu Joe Bianchiego. Spoglądał na siebie w lustrze i cicho pogwizdywał. Zatrzymała się w drodze na śniadanie, ciekawa odpowiedzi na swoje pytanie.

– Zero – odparł Joe. – Nie było go. Nie ma. To oszust. – Patrzył na nią surowym, baczny wzrokiem, który wyrażał szacunek.

Sherry jednak stała nieruchomo i zamknęła oczy. Jej dłonie zacisnęły się, usiłowała więc je rozluźnić. Ostrożnie! A więc już wiesz. Tylko nie wpadaj w szal! Zachowuj się spokojnie. I zapomnij o tym. Wymaż to z pamięci. Zajmij się swoimi *własnymi* sprawami. Nie pozwól, żeby tobą pomiatał, chociażby powodując twoją wściekłość!

A kiedy opanowała się i otworzyła oczy, żeby uśmiechnąć się do Joe i podziękować mu, jego już nie było.

Pomyślała, że właściwie cieszy ją nieobecność Cliffa Storma w jadalni. Zjadła śniadanie. I wtedy, jakby na złość, Sherry zorientowała się, że niepotrzebnie siedzi tam dłużej na wypadek, gdyby jednak się pojawił. Była na niego piekielnie zła za to, że ją oszukiwał, że wściubiał nos w jej sprawy, że... że... *Jedno krzywe spojrzenie...* tylko *jedno!*... wystarczyłoby, żeby poczuła się lepiej.

Ale nie przyszedł i w końcu odeszła od stolika.

Parki, rzecz jasna, równie zawiedzione jak ona, popatrzyły w bok, rzucając sobie nawzajem „znaczące spojrzenia”.

Dzień mijał.

Cliff przejrzał swój scenariusz dwadzieścia razy. Wybadał kilka miejsc. Poinstruował Sonię. Ona jedyna mu pomoże, chociaż nie wie nawet, dlaczego. (Są na tym świecie takie Sonie, którym nie trzeba nic mówić. Dadzą się wytresować jak foki. Robią to, o co je prosisz, i dostają rybkę.)

Późniejszym popołudniem zrobił ze swoim samochodem to, co trzeba. Pojechał w góry i znalazł odludne miejsce. Następnie wziął młotek i podszedł do przedniego błotnika od prawej strony. Wgniół go jak należy, a potem zbił prawy reflektor. Wcześniej jednak ostrożnie wyjął żarówkę, którą teraz wkręcił z powrotem. Cliff nie miał zamiaru jechać dalej



niż półtora kilometra po ciemku samochodem z jednym reflektorem. Nie może (a przynajmniej przez jakiś czas, aż nadejdzie odpowiednia pora) narażać się na ryzyko i zostać zatrzymany. Stuknął kilkakrotnie w prawą część przedniego zderzaka, mocno starając się nie zapominać o cudach techniki. A kiedy skończył, uznał, że samochód niewątpliwie wygląda tak, jakby w coś uderzył.

Cliff miał dość śmiałą wyobraźnię, nie lubił jednak ryzykować własnego zdrowia. Bał się próby spowodowania rzeczywistej kolizji. Na dobrą sprawę był przerażony nawet tu, na opustoszałym stoku, z ogromną ulgą rzucił więc młotek w dół.

Niechętnie wracał samochodem do miasta, ale nie miał wyjścia. Podjechał od innej strony budynku, zawrócił tam, gdzie mógł ukryć przed widokiem innych uszkodzony błotnik i zaparkować samochód w miejscu możliwie najbardziej zacienionym o zmroku. Znajdowało się ono także poza zasięgiem wzroku z punktu obserwacyjnego Parek. Tu też nie mógł ryzykować.

Było już dwadzieścia po szóstej.

Kadry przesuwały się. Cliff z ulgą przeszedł do następnego, który opierał się wyłącznie na rozmowie.

Wszedł do budynku i czekał na zaplanowane wyjście pani Peabody. Była punktualna. Wystrojona po czubek głowy, pojawiła się w salonie, bardzo rozemocjonowana. Odciągnęła Cliffa na bok, a jej niesforne oko zdawało się bardziej rozbiegane niż zwykle.

– Och, panie Storm – wyjąkała. – Nie chciałabym prosić pana o kolejną przysługę, ale boję się, że... Bo zaraz po kolacji ten mój... pan Peabody... wie pan co... i nie jest tak trzeźwy, jak powinien być. No i chciałam... Czy pan będzie dzisiaj wieczorem w domu?

– Mniej więcej – odparł Cliff.

– Bo do tej szkoły tak daleko – dodała. (Wiedział! Dobrze wiedział!) – I chciałam zapytać, czy nie rzuciłby pan okiem na dom, chociaż przez chwilę... A gdybym nie wróciła, powiedzmy, do wpół do dziesiątej... Niech pan tylko powie Elsie, że czas do łóżka. Posłucha pana.

– Rozumiem – odrzekł Cliff w roli dobrotliwego wujka. – I absolutnie niczym nie wolno pani się martwić. Bardzo chętnie wszystkiego dopilnuję. Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku.

– Ja tylko... Nie mogę... Nie wierzę. Ale *pojadę* – oświadczyła dzielnie. – I *porozmawiam* z tym panem. Chociaż nie mam najmniejszej nadziei...

– Zobaczysz pani – zapewnił Cliff, po czym odpowiednio uchwycił ten pionek. – A przy okazji: jutro mam spotkanie z panem Edwardem Reynardem. Może pani z mężem

chcielibyście pójść ze mną. Żeby się z nim spotkać i załatwić sprawę zakupu Domu.

Spostrzegł, że ukoilo to jej nerwy. Wyszła zadowolona.

(Pomyślał, że najprawdopodobniej to właśnie *ona* pójdzie z nim jutro. Oczywiście, jeśli się nie załamie.)

Gdy tylko wyszła, mrugnął do Parek i wyszedł sprawdzić sytuację w kuchni. Właściciel chrapał rozwalony na krześle. Elsie była już na swoim miejscu przed telewizorem. A pani Peabody zostawiła stos naczyń po kolacji.

Sherry miała wrócić ze szpitala o siódmej. Cliff zaczął więc przemawiać łagodnie do Elsie. Powtarzał na okrągło. Wreszcie dostrzegł błysk zrozumienia i przejaw radości na jej twarzy.

– O, Sherry właśnie idzie – oznajmił. – Sherry właśnie idzie.

Pionek ruszył się. Cliff podążył cicho z tyłu, zatrzymał się w jadalni i nasłuchiwał.

Sherry przywitała się z Parkami i zasypała je opowieściami, wywołując przyjazny śmiech zabawnym powiedzonkiem Johnny’ego.

Wtedy na scenę wtargnęła Elsie.

– Zabierzesz mnie ze sobą na zabawę, Sherry?

Szczerze zdziwiona Sherry odparła: – Nie, przykro mi, Elsie, ale ja nie wybieram się na żadną zabawę.

– Zabierzesz mnie ze sobą na zabawę, Sherry? – powtórzyła Elsie, jakby przekonana, że wszyscy ludzie porozumiewają się w ten sposób.

– Nie, nie – powiedziała Sherry, po czym dodała: – Teraz rzadko kiedy chodzę na zabawy.

– Zabierzesz mnie ze sobą na zabawę?

– Nie, nie.

– Idź pooglądać telewizję, Elsie – odezwała się pani Kimberly, wtrącając się subtelnie.

– Idź pooglądać telewizję, Elsie – powtórzyła pani Link tym samym tonem.

– Może w telewizji będzie jakaś zabawa – dodała pani Moran. – Idź pooglądać telewizję, Elsie.

Elsie więc odwróciła się posłusznie, oszołomiona jak zwykle. Kiedy mijala Cliffa w miejscu, w którym stał w ukryciu, usłyszał, jak Sherry mówi: – Każde przeżycie jest chyba lepsze niż żadne. Ale to takie smutne. Cały jej żywot...

Cliff, który szedł cichutko krok w krok za Elsie, pomyślał, że nie mógł napisać lepszego czy też bardziej stosownego do sytuacji tekstu.

– Prawda jest taka – rzekła pani Moran już w salonie – że skoro nie można zająć się tą

nieszczęsną dziewczyną i ciężko nad nią popracować, lepiej wcale nie zaczynać.

Na co Sherry odparła: – Tak, chyba tak. – A w myślach dodała: „Bardzo chciałabym móc, ale to prawda: nie mogę”. Uśmiechnęła się do nich szeroko. – A panie pewnie nie oglądają telewizji, co?

– Może kiedyś zacznę – odezwała się pani Kimberly, wzdychając cicho. – Na jesieni.

– Broń Boże – rzuciła pani Moran.

A w kuchni Cliff podjął już kolejny krok. Napoił czymś Elsie i gdy tylko nieszczęsna opóźniona istota zaczęła wpadać w jeszcze większe otępienie, zaprowadził ją tylnym wyjściem na zewnątrz, gdzie właśnie zapadł zmrok. Bez problemu pokierował ją do samochodu, posadził z tyłu, przykrył kocem i zgodnie z zamierzonym działaniem leku nakazał: – Śpij, Elsie.

A potem wślizgnął się z powrotem do domu państwa Peabody od strony kuchni. Był trochę przed czasem. Sonia zadzwoni dopiero za dziesięć minut. Cliff obszedł dom od tyłu, przeszedł przez zaniedbane podwórze i zakradł się bliżej pod dawną werandę.

W pokoju paliło się światło. Pośrodku najbliższej oszklonej części były drzwi. W kieszeni miał do nich klucz. Stał w cieniu wysokiego krzewu, który rósł w rogu, gdzie weranda wysunięta była od ściany właściwej budynku.

Sherry Reynard akurat była w środku, prowadząc swe jedyne życie, które on – Cliff Storm – zamierzał drastycznie zmienić.

Owa grupa oficjalnie nazywała się „Tancerze”. Miała zajmować się prowadzeniem jakichś banalnych lekcji tańca. Potajemnie nosiła inną nazwę, a miejsce i cele ich spotkań także pozostawały tajemnicą.

Dominowały tu kobiety, wszystkie w młodym wieku i bardzo bogate. Zawsze „miały wszystko”, łącznie z rozrywkami za pieniądze. Ich przywódca, gość z domieszką innej krwi, który za dnia nigdy się do nich nie zbliżał, powiedział Cliffowi, że rozpaczliwie potrzebują religii. Tylko, oczywiście, w wypaczonym sensie. Cliff uznał, że oni wszyscy są pomyleni, a najbardziej ten facet, i chociaż Cliff miał nerwy ze stali, to i jego też trochę zarazili. Kiedyś zapłacili mu za to, żeby sfotografował ich idiotyczny rytuał, z zarzynaniem ptaków, maskami, bębnami i krwią. Znał ich sekretną nazwę. Wiedział, gdzie się spotykają.

Był święcie przekonany, że policja zainteresowałaby się tą nazwą i chętnie odwiedziłaby to miejsce. Jednak zdaniem Cliffa, bez przyłapania ich na którymś z tych strasznych obrzędów, policja niewiele mogłaby zrobić. Wprawdzie ugrupowanie torturowało

już jakieś biedne dziecko tak długo, że nie przeżyło ceremonii na ołtarzu. Jego ciało znaleziono gdzieś na niezabudowanej działce, a w papierach napisano: zwłoki zmasakrowane w wyniku nieumiejętnie przeprowadzonej aborcji. Jednak sprawa pozostała niewyjaśniona.

Tak czy inaczej, policja zawsze wiedziała więcej niż zwykła werbalnie deklarować. A skoro policja nie wie, że od czasu do czasu owa wesoła gromadka poszukuje dziewicy, a za to rzadkie zjawisko dość dobrze zapłacą, to Cliff (który o tym wie) może podać im aktualną stawkę. Na przykład, za kogoś takiego jak Elsie Peabody...

Liściaste gałęzie krzewu poruszały się nad jego głową; z oddali dochodził go odgłos ruchu ulicznego; ktoś trzasnął drzwiami samochodu. Usłyszał, jak Sherry krzyczy w pokoju: – Do *mnie*?

Sonia dzwoniła na czas. Usłyszał oddalające się kroki Sherry.

Włożył do zamka klucz i cicho otworzył drzwi. Zrobił trzy szybkie kroki. Jej torebka leżała na komodzie. Tak przypuszczał! I miał rację! Nie zabrała jej do telefonu. Teraz mógł dowiedzieć się tego, czego chciał. Co było w środku? Dłonie ślizgały mu się na zatrasku. Wychodzące na korytarz drzwi były niedomknięte. Ryzykował. Tętno mu pulsowało. Ale zabawa, co? Na co mu narkotyki albo sam diabeł? Zawsze może *wziąć* włamanie.

Miał jednak czas. Wiedział, że Sonia będzie długo mówić. Sam napisał jej tekst.

W torebce raczej nic nie było – ani kawałek papieru, ani starej koperty, na której zanotowany był *ten* adres. W portfelu było niewiele pieniędzy. Świetnie. Odpiął zamki przy bocznych przegrodach. Nic. Chwileczkę! Ku jego zdumieniu były tam pieniądze, cała masa banknotów! A w kopercie znajdował się bilet lotniczy!

O nie! Sherry nie powinna mieć aż tylu pieniędzy. Schował je do swojej kieszeni. A bilet lotniczy? Zaraz, zaraz! Bilet też włożył do kieszeni. Zapiął przegrodę, zamknął torebkę i odłożył ją na miejsce. Znow zrobił swoje trzy kroki, znalazł się na zewnątrz, schylił się nisko, nie mając śmiałości zaryzykować i przekręcić w zamku klucza. Tętno huczało mu w uszach; wiedział, że Sherry wróciła już do pokoju. Nie słysząc, wyczuwał jej obecność poprzez jej pośpiech i energię.

Nie zamierzał brać tego biletu. Ale skoro wysłała ją na lotnisko, nie może pozwolić, żeby faktycznie odleciała. Nie, nie. Zaczynał się płatać. No dalej, opanuj się. Przecież on tylko pozornie wysłała ją na lotnisko. Nie, ona prawdopodobnie... Nieważne. Dla niego wszystko było jasne.

Teraz już słyszał, jak biega po pokoju i szykuje się do wyjścia. Poruszała się jak posłuszny pionek. Królowa.

Na *niego* też już czas. Zbliżało się najbardziej skomplikowane zadanie.

Zakradł się wokół domu, oczywiście poza zasięgiem wzroku Parek. Zobaczą i usłyszą tylko to, co on pozwoli im zobaczyć i usłyszeć.

Zaproponuje, że podwiezie Sherry na lotnisko. Może też pożyczyć jej swój samochód, jeśli będzie chciała prowadzić sama. A on dopilnuje, żeby akurat ten fragment rozmowy Parki usłyszały.

Wszystko miało wskazywać na to, że Sherry odjedzie samochodem Cliffa i może działać swobodnie, jechać w dowolnie wybrane miejsce, a po drodze zabrać, kogo zechce.

Jednakże Cliff przekona ją, żeby pozwoliła *mu* prowadzić. Wiedział, jak to zrobić. Znał powszechne rozumowanie kobiet. A dalej, na sam koniec, pozostaje już tylko użyć narkotyku. To był jedyny sposób. Poczęstuje ją więc landrynką. I zrobi to tak, że nie będzie umiała odmówić.

Sherry nie zauważy, że w samochodzie jest Elsie. On odjedzie, a Parki nie zobaczą, które z nich siedzi za kierownicą. Gdy tylko Sherry osiągnie stan rozkojarzenia i dezorientacji (przypomniała mu się kobieta z plaży), Cliff skręci źle i nieprzepisowo, kierując swój samochód w stronę krawężnika w jakimś ciemnym miejscu. (Wiedział już mniej więcej gdzie.)

A po kilku końcowych poprawkach zostawi go i sam będzie już bezpieczny. Zadanie zostanie wykonane.

Ktoś poinformuje gliny, że jakiś samochód stoi źle zaparkowany i utrudnia ruch. Gliny przyjadą od razu, bo przecież ruch uliczny to świętość.

Znajdą jedną kobietę za kierownicą, najwyraźniej w stanie wykluczającym jazdę. Zobaczą świeżo uszkodzony przód samochodu, bez jednego reflektora (Cliff stłucze wcześniej żarówkę), i będzie im to wyglądało na ucieczkę z miejsca wypadku. Na tylnym siedzeniu znajdą naćpaną nieletnią. (I prędzej czy później okaże się, że oprócz tego jest umysłowo upośledzona.) Nie znajdą adresu, który sprowadziłby ich tu, na kwatery, ale w torebce Sherry natkną się na pozostawioną przez Cliffa kartkę z pewną nazwą. Z tajemniczą nazwą. („Wiedzmy”. Nawet ładnie, tak przynajmniej sądzi Cliff.) Znajdą też adres *ich miejsca*, a wtedy wszystko zacznie układać się w całość.

I co wtedy zrobią gliny? Jasne, że wsadzą obie kobiety do ciupy. Będą mieli niezbędne dowody winy: jazda pod wpływem substancji odurzających. (Przestępstwo.) Będą podejrzewali nie tylko ucieczkę z miejsca wypadku (przestępstwo), ale też powód tej ucieczki. Udział w jakimś przestępstwie... lub nawet w *porwaniu*. (Przestępstwa.)

Sherry nie będzie w stanie nic wyjaśnić. Przez jakiś czas jej wypowiedzi nie będą miały sensu. A gdy Elsie się obudzi, powie, że Sherry miała ją zabrać na „zabawę”.

W międzyczasie Cliff zdąży już dawno wrócić do pensjonatu i zauważyć nieobecność Elsie (w najlepszym jego zdaniem momencie). Będzie podsycił konsternację i niepokój. Najprawdopodobniej to on właśnie zadzwoni na policję, dowie się, co się „wydarzyło” i pojedzie odebrać Elsie z więzienia bądź skądkolwiek.

I będzie pocieszał rozhisteryzowanych rodziców.

A jutro...

Adwokat Sherry wyciągnie ją pewnie za kaucją i przyprowadzi na przesłuchanie. I przyjdzie, zdruzgotana emocjonalnie po nocy spędzonej w celi, oskarżona o Bóg wie co! (A gdyby Bóg ślimaczył się przy zeznaniach, Cliff Storm wszystko wyjaśni.)

Jeśli Sherry zezna, że *on* prowadził samochód, Cliff „udowodni”, że to nieprawda. Ona powie, że *nie* zabierała ze sobą Elsie, a przecież Elsie była z nią. A jeżeli oświadczy, że nazwa i adres nic jej nie mówią, to dlaczego znalazły się w jej torebce?

Jeśli zezna, że nigdy nie słyszała o ugrupowaniu „Wiedźmy”, Cliff ze smutkiem stwierdzi, iż obawia się, że to nieprawda. Jeszcze w zeszłą niedzielę wieczorem opowiadała mu o nich przy kolacji.

A tymczasem, jeśli chodzi o nastroje, państwo Peabody wpadną w histerię, bo z tego, co Cliffowi wiadomo, troska o los dziecka to najsilniejszy ludzki instynkt.

Reynard powinien być zadowolony. Bez wątpienia oświadczy, że cały czas podejrzewał ją o wielką podłość. A jeśli Ward byłby innego zdania, zrzuci się to na karb jego tragicznej i mylnej kurtuazji. A poza tym będzie nieźle naćpany. Nie wezmą go pod uwagę.

I Sherry! Poniżona do lamentu, płaczu i zaprzeczeń, nie kończących się zaprzeczeń. Klnąca na Cliffa Storma w histerycznej wściekłości! Klnąca na Edwarda Reynarda za to, że ją prześladuje! Zdecydowanie „nie w formie” po wyjściu na wolność za kaucją.

Wszystko to, myślał Cliff, musi nastąpić, jeśli tylko zrealizuje kolejny etap, i to bezbłędnie.

Wszedł, udając, że właśnie wraca z kuchni, a Parki natychmiast uprzejmie przekazały mu pewną wiadomość.

– Dawna znajoma pani Reynard przylatuje dziś wieczorem. Ktoś zatelefonował i pani Reynard jedzie na lotnisko – oznajmiła pani Link.

– Na międzynarodowe? – spytał Cliff. – To przecież kawał drogi.

– Nie powiedziała, że tam – dodała pani Kimberly. – Ale to samolot linii American Airlines. Lot sto siedemdziesiąt cztery.

Cliff od razu wszystko pojął. A więc Sherry podała numer lotu? Premia? Przyda się później? Kiedy Sherry będzie usiłowała przysiąc, że ktoś do niej telefonował. Nie znała

jednak nazwiska, numeru ani adresu tej osoby, nie będzie więc mogła udowodnić, *kto to był*. Cliff chciał zasugerować smutno, że ten telefon tylko potwierdzał, iż dzwonił „wspólnik”, bo oczekiwano na towar, a zapłata była już gotowa. Mógł też nadmienić, że dziwnym trafem podała numer lotu, który na pewno się nie zgadza.

Był podekscytowany. Nie mógł doczekać się, aż przyjdzie. I wtedy przyszła.

Miała na sobie beżowy kostium, była zarumieniona, ożywiona i zadowolona.

– Powiedziały mi już – rzucił Cliff. – O której przylatuje samolot?

– O dwudziestej czterdzieści dwie – odparła. – Przepraszam, ale...

– Odwiozę cię na lotnisko – zaproponował ochotczo. – Inaczej będziesz musiała przesiadać się z autobusu na autobus, Bóg jeden wie, ile razy. To jak? Mogę?

– Raczej nie, dziękuję – odrzekła chłodno.

– Dobrze, w takim razie weź mój samochód. – Wyjął breloczek z kluczykami i pomachał nimi kusząco. – No, dalej. Weź. Proszę.

– Nie, nie mogę – powiedziała. – Ale mimo wszystko dziękuję.

– Skarbie, autobusami nie zdążysz – ciągnął, idąc za nią, gdy ruszyła korytarzem.

– Zdążę – odparła. – A znajoma zaczeka, nawet jeśli trochę się spóźnię. Nie martw się o mnie.

– Ale posłuchaj... – Cliff wyszedł za nią z budynku.

Parki obserwowały, jak szli ścieżką i rozmawiali, oddalali się i wciąż rozmawiali.

– Gdzie on zostawił samochód? – zdziwiła się pani Link.

– Musi być gdzieś tam zaparkowany – rzekła pani Moran. – Nie zauważyłam go jeszcze.

– Nic nie widzę! – pani Kimberly gotowała się ze złości.

Pani Link sięgnęła obiema rękami tyłu głowy, wyjęła spinki do włosów i gwałtownym dźgnięciem wpięła je z powrotem.

Nie ulegało wątpliwości, że Parki czuły się zawiedzione.

Sherry musiała przejść przez dwie przecznice, żeby dojść do przystanku autobusowego. I to chodnikiem bez latarni. Nie podobało jej się też, że Cliff dotyka jej ramienia, więc odsuwała się na bok.

– Sherry – mówił jej do ucha – muszę ci coś wyznać. Wysłuchaj mnie, proszę. Miałem cię na oku, bo stary Reynard poprosił mnie o to.

– Tak, wiem – odrzekła.

– Tak mi przykro – ciągnął. – Naprawdę, tak mi przykro. Nieładnie postąpiłem. Ale proszę cię, posłuchaj. Nie wiedziałem, o co chodzi. Ale już mu powiedziałem i powtórzę mu to jeszcze raz, że grubo się mylił co do ciebie. I że jesteś wspaniałą dziewczyną. I matką, jakiej potrzebuje każdy mały chłopiec.

Zwolniła kroku. W końcu zatrzymała się, czując jego przeszywające spojrzenie. Był przy niej, pochylał się nad nią. Wydawał się zaniepokojony. Mówił błagalnym głosem.

– I bardzo chciałbym – powiedział – żebyś mi wybaczyła. Naprawdę jest mi bardzo przykro. Chciałbym, żebyś pozwoliła mi za to zrobić dla ciebie jedną małą rzecz. Odwieźć cię na spotkanie ze znajomą. To tylko... ile?... czterdzieści minut jazdy. Wtedy będę wiedział, że mnie rozumiesz. Proszę cię, pozwól mi.

Sherry zamrugła, żeby lepiej widzieć. Ale kiepsko go widziała. W miejscu, w którym stali, było za ciemno.

– No, grzeczna dziewczynka – zawołał i ruszył w kierunku krawężnika. Stał tam zaparkowany samochód.

Była skłonna przebaczyć mu. Rozumiała, że tak powinno być. Powinna pozwolić mu pomóc. I jej samej też na pewno będzie o wiele wygodniej jechać na lotnisko, na spotkanie z Jessie Holmes, prywatnym samochodem.

A jednak... a jednak Sherry krążyły po głowie różne myśli.

Dotarło do niej jasno i wyraźnie, że jest już w dobrej formie. Przyjeżdża Jessie Holmes, stara, dobra Jessie. Tu i teraz, stojąc na własnych nogach, Sherry Reynard jest w świetnej formie. A jutro jest ten *dzień*. Musi więc tylko zachować dobrą formę, nic więcej.

Po co ryzykować w innych sprawach? Lawton Archer mówił, że Edward Reynard podejrzewał ją i Cliffa Storma o romans. A baloniarz powiedział jej, że *ktoś* ją śledzi. Po co więc ma teraz jechać samochodem sama z tym mężczyzną? Skoro jest obserwowana?

A ponieważ mówił *błagalnym* tonem, łagodnie odpowiedziała: – Przykro mi.

Zrobiła krok. Chwycił ją za ramię. – Nie – jęknął. – Nie bądź taka wredna, Sherry. Proszę! Tego też dowiedziałem się o tobie. Ty nie jesteś wredna. Prawda?

Zdawało się, że prosi ją, aby dała temu dowód.

Wcale nie muszę tego udowadniać – pomyślała. – Wiem przecież, że nie jestem wredna. I wcale nie potrzebuję, żeby odwoził mnie na lotnisko. Sama tam dojadę. Nie mogę pozwolić sobie na tyle wspaniałomyślności i przebaczenia, żeby mnie woził nie wiadomo dokąd. Nie teraz. Zbyt mało znacząca rzecz na skali ważności.

Odparła: – Nie mogę pozwolić sobie na taki luksus.

– Ale o co chodzi? – spytał szybko. – Powiesz mi po drodze. Proszę, Sherry! Inaczej



nigdy sobie nie daruję.

– Zachowujesz się niemądrze. – Odsunęła się. Już sobie darowałaś, *sam*, a przynajmniej tak jej się zdawało. – To przecież nie koniec świata, jeśli nie pojedę z tobą na lotnisko. Dobranoc.

Wydał stłumiony okrzyk, jak gdyby go zraniła. Wyjął coś z kieszeni. W przyćmionym świetle wyglądało to jak rolka dropsów zawiniętych w woskowany papier. Na jednym końcu była już rozerwana.

– A może jednak? – prosił. – Mimo wszystko? Chciałabyś stać się dzieckiem-kwiatem? Dam ci coś.

Wyciągnął cukierka.

Sherry poczuła, że staje się surowa i chłodna. Zachowywał się jak duże dziecko. Był śmieszny! Sentymentalny! Kapryśny! Odebrała to jako obrazę. Odrzekła ostro: – Nie jesteśmy dziećmi. Przecież wiesz.

Odwróciła się. Odeszła. Szybkim i bardzo równym krokiem. Była już pod latarnią. Przechodziła przez ulicę.

Cliff stał bez ruchu. Nie mógł przecież pochwycić jej i siłą wepchnąć do wozu. Nie mógł teraz biec za nią i dalej się wyklócać. A więc stał tam jak głupek. Co się jej stało? Czyżby brakowało jej kobiecej psychiki? *Musi* mu wybaczyć!

Ale nie, ona zepsuła całą sekwencję, *tak po prostu!*

Zdawało mu się, że jej pełna wdzięku sylwetka pojawia się i znika w kolejnym snopie światła. Gniew wzrastał w nim, ciśnienie rosło. *W porządku, do diabła z nią!*

Wsiadł do swojego uszkodzonego samochodu. Pojechał ulicą. Minał ją, ale się nie zatrzymał ani nie spojrzął. *Do diabła z nią!*

Pojechał bez szczególnej ostrożności do swego mieszkania. Zaparkował za budynkiem i zabrał Elsie z tylnego siedzenia. Był tak wściekły, że nawet nie zwracał uwagi, czy ktoś go obserwuje. Rzucił Elsie na sofę. Szczelnie zasłonił okna roletami i kotarami. Wyjął i rozłożył swój sprzęt.

Trzeba więc improwizować!

Ma przecież tę głupkowaną niedojdę Elsie! Może z nią zrobić, co zechce. A ona, ta Elsie, nie odróżnia życia od filmu. Więc może to nawet i lepiej. I prościej? Jasne! Zamieni Elsie w broń. Tak! W bombę, która eksploduje w wybranym przez niego momencie. To nie potrwa długo. Ma czas. Na lotnisku Sherry nikogo nie spotka. Zabierze jej to dłuższą chwilę – przejście przez tłum, jazda miejskimi autobusami. Nie udowodni, że tam była.

Zaczął uderzać Elsie po twarzy. – No dalej. Ocknij się. – Głowę miał zajętą

wybieraniem fragmentów i kawałków tego wątku, aby wpasować je w nowy zwrot wydarzeń.

Mech *szlag trafi* Sherry Reynard! (Nawet nie myślał o swej nagrodzie.)

## Rozdział 16

Sherry szła naprzód, a jej stopy zdawały się coraz lżejsze. Widziała, jak Cliff mijał ją samochodem. A więc wściekł się na mnie? – pomyślała. – Szkoda.

Ale niech Bóg błogosławi Jessie Holmes, och, niech Bóg błogosławi starą, dobrą panią Holmes z rodzinnych stron! Nie odwróciła się ode mnie – pomyślała Sherry. – Och, ona jest prawie jak rodzina, najbliższa sąsiadka mamy i taty przez czterdzieści lat. Teraz czuję się wspaniale!

Sherry miała w portmonetce dwadzieścia dolarów i pięćdziesiąt pięć centów. Nie przejęła się jednak, że to niewiele. Uznała, że to sporo. Wystarczy!

Obcy głos kobiecy w słuchawce był młody i przyjemny. Czy pani Reynard pamięta panią Jessie Holmes? To była chyba któraś z jej siostrzenic. Na imię miała Carolee. Pani Holmes leci do Los Angeles jeszcze dziś wieczorem. Poprosiła Carolee, żeby przedzwoniła do pani Reynard. Czy pani Reynard może odebrać ją na lotnisku? Pani Holmes bardzo pragnie zobaczyć się z panią Reynard możliwie najszybciej. Prosiła, żeby przekazać, że bardzo się martwi i koniecznie chce się skontaktować. Pani Holmes telefonowała do Carolee na chwilę przed wejściem do samolotu. To nagła wizyta. Mąż Carolee też już pojechał na lotnisko. Sprawdził, że samolot przyleci na czas i pojechał tam prosto z biura. Może pani Reynard zechciałaby przyjść potem do nich? Carolee bardzo chętnie ją pozna.

Sherry już się cieszyła. Doszła do drugiego skrzyżowania i tanecznym krokiem weszła do apteki. To prawda, niewiele było czasu na dojazd autobusami. A więc palicho rozsądek! Zadzwoniła po taksówkę.

Rozmyślała, poważnie, ale i z radością, o rodzinnych stronach. Może zabierze Johnny'ego do swej rodzinnej miejscowości? Zamiast do starego, brudnego miasta? Praca się znajdzie. Jessie Holmes jej pomoże. I niewykluczone, że Sherry uda się nawet ukończyć studia. Rozwinęły się przed nią nowe perspektywy. Czowała się szczęśliwa i podekscytowana. Błyskawicznie dojechała na lotnisko.

Taksówka kosztowała ją sześć dolarów. Sherry zapłaciła ochoczo, zostawiła jednodolarowy napiwek i spiesznie udała się do budynku. Przyjechała wcześniej, ale mimo to biegła po wyłożonym kaflami korytarzu, przepełniona ogromną energią tak bardzo, że nie chciało jej się jechać ruchomym chodnikiem.

Kiedy dotarła do hali na piętrze i poprosiła o informacje, uświadomiła sobie, że najwyraźniej pomyliła numer lotu. Następnie okazało się, że planowana godzina przylotu też była błędna. Nie ma takiego lotu. Nie ma takiej godziny przylotu. Poczowała się zdruzgotana. To był wielki cios. I nazwa *linii lotniczych* też się nie zgadzała.

Poszła do telefonu, wrzuciła do otworu kilka dziesięciocentówek, chcąc uzyskać informacje o innych lotach i innych liniach, jednak żaden numer lotu nie był ani trochę zbliżony z tym, który jej podano. Czyżby i tu się pomyliła?

I nagle Sherry poddała się. Przeszła przez halę, serce jej waliło. Spojrzała na duży zegar. Do jej myśli powoli wdzierało się podejrzenie, które nagle urosło i przekształciło się w pewność.

A więc tamten głos kłamał! *Ktoś* zabawia się nią! Ale dlaczego? Jeśli chcieli się jej pozbyć, to musi działać szybko. Przeczucie jej nakazywało. Usiadła i otworzyła torebkę. W portmonetce zostało jej pięć dolarów i pięć centów. Odpięła zamek przegrody, żeby skorzystać z pieniędzy na czarną godzinę.

Przegroda była pusta.

*A więc to tak!* Sherry wyprostowała plecy, czując ciężar na sercu. *A więc to tak!* Ale to absolutnie nie jest właściwa chwila, żeby wybuchać łzami z wściekłości i frustracji. Istnieją lepsze sposoby na uwolnienie *takiej* energii.

Zerwała się gwałtownie. Stopy szybko ją poniosły. Zjechała schodami i zaczęła biec długim, rozbrzmiewającym echem korytarzem. Wybiegła na chodnik. Tuż przed nią stała taksówka, która właśnie wysadziła pasażerów. Sherry krzyknęła do taksówkarza i wsiadła. – Morelli, tysiąc siedemset sześćdziesiąt cztery, Beverly Hills – powiedziała. – Chwileczkę. Niech mi pan najpierw powie, która teraz dokładnie jest godzina.

Powiedział jej.

Sherry zapisała godzinę, a następnie nazwisko taksówkarza.

– Dobrze. A teraz niech mnie pan tam zawiezie możliwie najszybciej. – Taksówka szarpnęła, odrzucając Sherry do tyłu.

*A więc to tak!* Dość już miała przemykania się po świecie i silenia się na dobroć, do diabła! Koniec z potulnością. Z niewinnością. Znużyło ją to czekanie. Dość miała kulenia się ze strachu z nadzieją na to, że będzie lepiej.

Przecież pan Storm miał pilnować Elsie – zauważyła pani Kimberly. – Gdzie ten człowiek się podział?

– Elsie ogląda film – powiedziała pani Link. – Daj jej spokój, biedactwo.

– A on włóczy się gdzieś po lotnisku – dodała pani Moran. – Rzecz jasna, za moich czasów ludzie dotrzymywali słowa.

– Czasy się zmieniają – podsumowała pani Kimberly pogardliwie.

Wtedy na ulicy rozległ się pisk opon motocykla, za którym podjechał samochód. Oba pojazdy zręcznie skręciły na mocno oświetlony plac przy pogotowiu. Z samochodu nikt nie wysiadł. Do środka zajrzały osoby w białych kitlach.

– Na pewno dziecko! – wykrzyknęła pani Link.

– Wszystko im jedno, gdzie się urodzi – oświadczyła rozpromieniona pani Kimberly. – I jemu pewnie też.

Wszystkie trzy pochyliły głowy, wyteżyły starczy wzrok, a rysy ich twarzy wydawały się łagodniejsze pod wpływem fali wspomnień.

– Czasy nie zmieniają się aż tak bardzo – uznała pani Moran.

Taksówka podskoczyła przy szybkim hamowaniu przed wejściem do domu Reynardów. Sherry wysiadła. – Proszę zaczekać – rzuciła do taksówkarza. Powiedziała to tonem rozkazującym i pewnym.

Położyła palec na przycisku dzwonka i przytrzymała. A gdy lokaj otworzył drzwi, Sherry zwróciła się do niego: – Zapłać, proszę, za taksówkę, Michael. – I przemknęła obok niego.

– Tak, pani Sherry – wyjąkał zaskoczony Michael.

A Sherry szła już szybko w głąb obszernego holu. Kiedy stanęła naprzeciwko drzwi do wielkiego salonu, spostrzegła cztery kobiety siedzące wokół stołu w kącie gier. Jedną z nich była Emily, która wydała stłumiony okrzyk i zaraz usiłowała się podnieść.

Sherry była przekonana, że kiedyś na pewno znała pozostałe kobiety, jednak nie chciała zawracać sobie głowy przywoływaniem w pamięci ich nazwisk.

– Dobry wieczór – odezwała się chłodno. – Chcę się widzieć z Wardem, pani Reynard. I proszę nie robić sobie kłopotu. Przypuszczam, że jest u siebie w pokoju.

Pomknęła schodami na górę.

Emily Reynard wyszła do holu, potykając się, a Michael spytał: – Pani Reynard, czy mam zapłacić taksówkarzowi?

– Oczywiście, oczywiście – odparła, bardzo zdenerwowana. – Przepraszam – zwróciła się przez ramię do swych znajomych. – Nie spodziewaliśmy się... – I zaczęła wspinać się po schodach najszybciej, jak potrafiła, w ślad za Sherry.

Ale kiedy doszła do pokoju Warda i zajrzała do środka, Emily zachwiała się i przytrzymała się framugi. Było to takie uczucie, jak gdyby zawiał wiatr, a ziemia pękła z przerażającym trzaskiem.

Ward, ubrany w szlafrok, siedział na krześle. Jego książka leżała teraz na podłodze z pomiętymi kartkami. Sherry klęczała, policzek oparła o jego ramię. Ramiona Warda mocno ją obejmowały, a jego policzek spoczywał na jej włosach. Żadne z nich nie poruszało się, żadne nic nie mówiło, a na twarzach obojga widniał niepojęty błogostan i Emily musiała uchwycić się swymi małymi, pulchnymi palcami drewna tak mocno, że aż dłonie ją bolały.

Ward zaczął szeptać: – Och, Sherry. Sherry. Sherry... Nie myślałem, że jeszcze... Och, Sherry... – I nadal nie poruszali się, tylko trwali jakby złączeni w jedną postać.

Emily Reynard, która miała pięćdziesiąt cztery lata, uświadomiła sobie, że czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widziała. Coś, co było, a zarazem nie było przejawem fizyczności; coś, co mogła, a jednocześnie nie mogła określić jako miłość. Bardzo ją to przeraziło.

Wtedy Ward poruszył się, żeby móc spojrzeć na twarz Sherry. – Z Johnnym wszystko w porządku, prawda? O Boże, Sherry, wybaczysz mi? Słuchaj, ja wiem. Pamiętam. Wiem. Wiem. Wiem.

Sherry odchyliła do tyłu głowę; jej twarz wyrażała współczucie. Odparła jednak: – Wszystko w porządku. Będzie dobrze. Wybaczam ci. Wiesz, że ci wybaczam. Jednego tylko nie mogę zrobić...

– Wiem. I rozumiem. Wiem o tym. Ale posłuchaj, kochanie. Czy mogłabyś od czasu do czasu... Tylko od czasu do czasu?

Sherry podniosła się i odsunęła trochę. – Nie wiem jak – przyznała rozpaczliwie. – Mogę jedynie powiedzieć, że być może. Ale muszę zabrać go do wschodnich Stanów, Ward.

– Nic nie mów – nakazał Ward. – Nic nie mów. Chcę cię przytulić. Nic nie mów. – Sam jednak mówił dalej. – Gdybyśmy tylko mogli... jeżeli ciebie przy mnie nie będzie, *od czasu do czasu*, niedługo umrę i skończę z tym. Próbowałem myśleć. Myślałem, że może jak będziemy uważać i pilnować, żeby nie wolno mi było przebywać z nim w pokoju. Ale to się nie uda. Wiem. Nieważne. Chcę cię teraz przytulić, Sherry. Och, Sherry...

– Jest chociaż trochę lepiej? – Przysunęła znów głowę, szukając jego twarzy, twarzy, którą знаła tak dobrze i tak bardzo kochała. Na tej twarzy, w tych oczach szukała prawdy, a

ona tam była.

– To ciągle wraca – powiedział. – Nie wiedzą, co robić. Ja już nie biorę. I nigdy nie będę brał. Ale to chyba bez znaczenia. Nie wiem, co robić. Czasami myślę... Sherry, gdybyś ty tu była?

W tym momencie ujrzała, jak prawdę pogrąża cień.

– Przecież czułbym się lepiej – dodał błagalnie – gdybym miał ciebie. – Wtedy nagle puścił ją, uniósł obie pięści i przyłożył do skroni.

Ktoś się poruszył. Sherry spojrzała i zobaczyła, że pielęgniarz bacznie im się przygląda. O nie – pomyślała. – Nie teraz. Żeby tylko nie zapadł w... cokolwiek to jest... proszę!

Powiedziała głośno: – Ward, nie mam już żadnych pieniędzy. Przyszłam ci powiedzieć. Bo byłoby to nie w porządku, gdybyś nie wiedział.

Wciąż trzymał się rozpaczliwie za głowę, ale wzrok miał przytomny. – A gdzie teraz mieszkasz, Sherry? – spytał.

– W pensjonacie, naprzeciwko szpitala, gdzie leży Johnny.

– To znaczy gdzie?

– U pani Peabody.

– Peabody?

– Ward, słyszałeś, co powiedziałam?

– Dlaczego nie zostały ci żadne pieniądze? A co się stało z pieniędzmi w banku?

– Nie mogę ich ruszyć, bo są do podziału. A właściwie chyba mogę, do jutra. Tylko ktoś ukradł mi to, co miałam w torebce. Więc przyszłam zapytać, czy coś o tym wiesz.

– No... – odrzekł Ward – ...w takim razie... przecież możesz... Czy bank jest zamknięty? Sherry, posłuchaj, *wszystko* jest *twoje*. Kto powiedział, że nie?

– Tak myślałam, że to nie ty – szepnęła. Opuścił pięści, a ona ujęła jedną obiema dłońmi i zaczęła gładzić, aż jego zaciśnięte palce rozwarły się. A może? – myślała w pokusie.

– Czy jest jakaś szansa, że przeżyję? – zapytał.

– Jest, zawsze jest – odrzekła szybko. – Może coś wymyślą. Tylko wytrzymaj. Wytrzymaj. Poczekaj... i może... będę w *stanie*...

W holu Edward Reynard chwycił swoją żonę za ramiona i spytał: – Co się tu dzieje?

A Emily, ten jedyny raz w życiu, zeszywniała i postawiła się mu. – Zostaw ich w spokoju – rzekła chrapliwie nieswoim głosem.

– *Co takiego?!* – Odsunął ją na bok.

Ward pytał żałośnie: – Och, Sherry, co się stało? Pomóż mi.

Edward Reynard wkroczył do pokoju. – Co ty tutaj robisz? – spytał.

Ward podniósł wzrok na swego ojca i wykrzywił twarz. Ale zaraz zasłonił ją dłońmi i zaczął kołysać się w fotelu. Nie miał siły, która zmierzyłaby się z siłą ojca.

Sherry przysiadła na piętach. Następnie, podpierając się obiema rękami o poręcz jego fotela, niezdarnie i ociężale stanęła na nogach.

Pielęgniarka rzuciła się naprzód i podniósł z podłogi jej torebkę. Podziękowała mu i wzięła ją.

– Przyszłam – zwróciła się do Reynarda – żeby powiedzieć mojemu mężowi, że nie mam pieniędzy.

– Twojemu mężowi? – powtórzył Reynard.

– Na razie – odparła spokojnie.

– A więc chcesz *pieniędzy*? Rozumiem.

– Nie, nie rozumie pan – powiedziała. – To byłoby za wiele.

Następnie zignorowała jego obecność i pochyliła się nad Wardem. Nie była w stanie wypowiedzieć słów pożegnania. Jedną ręką przejechała mu po włosach aż do karku. Miał ciepłą szyję i jej dłoń pozostała na niej przez chwilę. Potem odwróciła się, oślepią łzami, i ruszyła w stronę wyjścia.

Ward zaczął płakać – głośno, jak mały chłopiec.

Reynard rzucił pielęgniarkowi surowe spojrzenie. Ten zeszywniał, dając do zrozumienia, że zna swoje obowiązki i wykona je, choć jego twarz wyrażała pewien podziw.

Emily usunęła się Sherry z drogi, a Sherry, ocierając łzy wierzchem dłoni, przeszła po niebieskim dywanie do wyjścia. Czuła się tak, jak gdyby była zupełnie sama na planecie Ziemi. Jednak nie była.

– Chodź za mną – nakazał szorstko Edward Reynard. – Do mojego gabinetu. Chcę wiedzieć, co ma oznaczać ta wizyta. – Minał ją gwałtownie i szybkim krokiem ruszył schodami w dół.

Sherry zaczęła chwilę, żeby móc lepiej widzieć, następnie powoli zaczęła schodzić. Emily też szła za nią chwiejnym krokiem.

Na końcu schodów Sherry znieruchomiła.

– Tędy – odezwał się ostrym tonem Reynard.

Sherry jednak nie szła z nim do gabinetu. Wbiła obcas w dywan i stanowczym, wyraźnym tonem powiedziała: – Chciałam poprosić Warda, żeby państwa powstrzymał. Ale nie mógł. A teraz tym bardziej nie może.

– Nie tutaj – odparł, zniecierpliwiony.

A Emily dodała: – Proszę cię, Sherry. Nie tutaj.

Emily pamiętała, że w pobliżu, w salonie, siedzą trzy kobiety. Milczały. Sherry w ogóle nie mogła sobie ich przypomnieć.

– Nie rozumiem – odezwała się do swego teścia – jak możecie państwo być tak okrutni. Ja też chciałabym być dla pana okrutna, panie Reynard, ale nie potrafię. Zrobiłoby mi się od tego niedobrze. Człowiek, którego wysłaliście, żeby mnie szpiegował, ukradł wszystkie moje pieniądze. Kazaliście mu to zrobić?

– Czyś ty oszalała? – warknął.

– Nie – odparła. – Proszę przeliczyć. Mam pięć dolarów i pięć centów. Nie starczy nawet na taksówkę. Zwróćcie mi za taksówkę? Bo nie wiem, czy dojdę stąd na przystanek pieszo.

– O mój Boże! – wykrzyknęła Emily. – Tak bez *pieniędzy!* Oczywiście, że potrzebne ci pieniądze. Mogłaś nam powiedzieć!

A Reynard dodał: – Po co tak naprawdę tu przyjechałaś? Chcesz wycofać sprawę o rozwód, tak?

– Nie – rzuciła Sherry. – Na to też mnie nie stać. Nieważne. – Ruszyła przed siebie. (No dobrze, zrobi to, skoro musi.) Zajrzała i zobaczyła trzy kobiety. – Dobry wieczór – powiedziała.

Reynard chyba dopiero teraz zdał sobie sprawę z ich obecności. Poruszył się. – Jedną chwilkę. Co to za bzdury? Ktoś ukradł twoje pieniądze? Przecież nie ja. Skoro przyszłaś zobaczyć się z Wardem, to już się z nim widziałaś. A teraz chcesz pieniędzy? – W ręce trzymał portfel. – Ile? – spytał pośpiesznie. – Ile twoim zdaniem ci ukradłem?

– W sumie czterysta siedemdziesiąt pięć dolarów – odparła spokojnie. – To cena mojego pierścionka zaręczynowego.

– Daję ci sto dolarów zaliczki – rzucił cierpko. – A mnie niepotrzebne czterysta siedemdziesiąt pięć dolarów, jak zresztą sędzia sam jutro przyzna. To znaczy, jeżeli w ogóle zamierzasz się pojawić.

– Muszę się pojawić – rzekła Sherry, znużona. Wzięła pieniądze. Były w dwóch banknotach. – Sto dolarów zaliczki – powtórzyła. – Czy Michael zadzwoni po taksówkę?

– Och, Edwardzie – westchnęła Emily. – Biedactwo... co za wstrząs... Nie zdawałam sobie sprawy...

– Ja też nie – odrzekł Reynard troskliwym tonem. – Ale w takim stanie nie może przecież chodzić nocą sama po ulicach. Michael, wyprowadź mój samochód i odwieź panią Sherry tam, gdzie sobie zażyczy.



– Tak, proszę pana – odparł lokaj, odchodząc natychmiast.

– To może usiądziesz i zaczekasz, Sherry? – zaszcebiotała Emily. – Może napijesz się kawy? Pamiętasz Norę Parks i...

– Nie – odpowiedziała Sherry i potrząsnęła głową. – Ja tak nie mogę – dodała smutno.

– Nie potrafię być dwulicowa jak pani ani okrutna jak pani mąż. Nie potrafię już udawać w tym domu. Ale nie mogę na was krzyżeć ani powiedzieć wam, co o was myślę. Dostałabym tylko mdłości. Poczekam więc na zewnątrz. Sama.

Ruszyła, minęła salon i doszła do drzwi frontowych, które sama otworzyła, po czym wyszła na chłodne, nocne powietrze.

Emily, oczywiście, płakała. Zataczając się, weszła do salonu i żaliła się znajomym: – Och, tak mi przykro. Tak mi przykro.

– Michael dopilnuje, żeby dotarła bezpiecznie – uspokajał ją Reynard. – Jest w strasznym stanie. Co za obraźliwe słowa rzucała. Nedorzeczne oskarżenia.

– To rzeczywiście smutne! – orzekła jedna z kobiet, po czym dodała: – Paranoja, prawda?

– Och, to naprawdę smutne – szlochała Emily.

– Obawiam się – rzekł jej mąż – że niewiele możemy dla niej zrobić. A Ward po prostu już nie może z nią wytrzymać. No, Emily, spróbuj popatrzeć w przyszłość. Po jutrzejszym dniu to my przejmujemy opiekę nad małym Johnem.

Odszedł do swojego gabinetu, skąd zatelefonował do szpitala. Tam jakiś na wpół rozbawiony, na wpół poirytowany głos powiedział mu, że nie ma absolutnie żadnych szans, by ktoś porwał dziecko z terenu szpitala w nocy.

Emily, moja droga, może wypijemy teraz kawę i przerwiemy grę? Mogłybyśmy pogawędzić o przyjemniejszych rzeczach...

– Serce mi krwawi – jęknęła Emily.

– Ale Edward ma rację, moja droga.

– Tak... chyba tak. – Emily opanowała się i poweselała. – Edward nigdy nie lubił tej dziewczyny, od samego początku.

– Pewnie miał przeczucie.

– Hm – westchnęła Emily, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. – On chyba zna życie lepiej niż ja.

## Rozdział 17

O dziesiątej Cliff Storm usiadł na sofie w salonie, wzrok spuścił na okładkę książki, pozwolił jednak, aby Parki zauważyły, że nie czyta. Nie przewracał stron. Zachowywał się nerwowo i poważnie; i bardzo go to cieszyło. Doskonale improwizował!

Na Boga, niezły majstersztyk, ale udało mu się. Miał swoją małą, niezawodną, tykającą bombkę, tam, w pokoju Elsie. Teraz musi tylko poczekać na powrót Sherry. Wtedy zadecyduje, czy bomba wybuchnie dziś wieczorem, czy eksplozja zostanie wstrzymana do rana.

W myślach zebrał całą swoją obsadę. Wszyscy aktorzy byli na swoich miejscach, tam, gdzie Cliff sobie zażyczył. A za kulisami stała Sonia, jego alibi na każdą porę.

Pan Peabody, który przedzemał cały wieczór na swym wiklinowym krześle, obudzi się z ogromnym poczuciem winy. Nie będzie miał pojęcia, że reżyser postanowił wprowadzić go w głębszy stan długotrwałej nieświadomości niż zazwyczaj. Zadowolony z siebie Cliff pomyślał, że skoro sam miałby uzależnić się od narkotyków, jest lepszy na nie sposób: podać je *innym!*

Pani Peabody trwała na stanowisku. Wróciła, pełna wielkich nadziei, przed około piętnastoma minutami. Ten uroczy człowiek oprowadził ją po szkole. Wspaniałe rzeczy tam się dzieją. Elsie ma przyjechać na rozmowę. A gdyby ją przyjęli, czesne wcale nie będzie takie wysokie. Ten człowiek bardzo pochlebnie wyrażał się o panu Edwardzie Reynardzie.

W tym momencie Cliff ponaglił ją, żeby przeszli przez jadalnię, i zatrzymał się w spizarni na dalszą rozmowę.

Parkom obiecał oczywiście, że powie matce. Parki były tu bardzo stanowcze i przypominały mu, że w przeciwieństwie do każdej z nich on nie jest matką, zgodził się więc, a co więcej, dodał, że to *jego* odpowiedzialność. Panie doświadczyły już dość trudu, wykonały swoje obowiązki, i tak dalej. Uznały więc, że poinformuje matkę, ale on tego nie zrobił i wcale nie miał zamiaru. Jeszcze nie. Cliff lubił mieć kontrolę nad planowaniem w czasie.

Pani Peabody oznajmiła, że jeśli jutro upewni się co do Domu, to rodzina Peabodych będzie miała idealne życie, a wszystko to dzięki panu Stormowi i, oczywiście, panu Edwardowi Reynardowi.

Cliff, pławiąc się w jej pochwałach, mimo wszystko zachował nieufność wobec jej radosnego nastroju. Nie chciał, żeby nieumyślnie i bezwiednie spowodowała zamieszanie,

zajął się więc uspokajaniem jej. Oznajmił smutnym, przyciszonym tonem, że obawia się, iż pan Peabody przez cały wieczór był nieprzytomny. Cliff to rozumie, rzecz jasna, i ona zapewne też. Zaniepokoił się tylko. Cliff jest przekonany, że gospodarz pozbiera się i usatkuje, skoro teraz sprawy przybrały tak pomyślny obrót.

A Elsie siedzi bezpiecznie w swoim pokoju, dodał, zgodnie z życzeniem pani Peabody. Następnie oznajmił, trochę aż nazbyt entuzjastycznie, że szkoła może okazać się świetnym rozwiązaniem problemu Elsie; ma nadzieję, że wszystko się uda, i to już wkrótce. A jeśli chodzi o Dom, Cliff był dobrej myśli, że rano pan Peabody odzyska równowagę. Oczywiście, tak naprawdę wszystko zależy od *niej*.

Panią Peabody tymczasem już nękał lęk niepewności. Cliff więc powiedział jej, że wygląda na bardzo zmęczoną. Przecież dźwiga tyle sama na swoich kruchych barkach. Niech mąż zostanie na swoim miejscu, na krześle. Nawet nie zauważaj. Elsie nic nie grozi w łóżku. Nie ma zatem powodu, dla którego pani Peabody miałaby odmówić sobie relaksu i odpoczynku, aby jutro, kiedy wreszcie uda się na spotkanie ze skarbnicą wszelkich dobrodziejstw, panem Edwardem Reynardem, czuła się i wyglądała jak najlepiej. Musi dla odmiany pomyśleć też o sobie, łąjał ją. I zapewniał, że to w gruncie rzeczy najmniej egoistyczna rzecz, jaką może zrobić.

Szybko też Cliff uświadomił sobie, że najwyraźniej dał z siebie wszystko, bo od strony kuchni nie dochodziły żadne okrzyki hysterii. Był przekonany, że pozostanie tak, dopóki on nie zarządzi inaczej. Pani Peabody widocznie skorzystała z jego życzliwej rady i niewątpliwie przystroiła się już w walki do włosów, nałożyła maseczkę, oddając się wszelkim dostępnym zabiegom kosmetycznym przed jutrzejszymi wrażeniami.

W pewnym sensie było to śmieszne. Z rozbawieniem zauważył, jak zachowują się Parki. Od czasu do czasu plecy wszystkich trzech pań zginały się jak stojak u trójnogu, trzy głowy pochylały się do siebie nawzajem, prawie się dotykając, usta szeptały, a oddech padał na stykające się policzki.

Oj, na pewno są strasznie przejęte!

Wrócił więc zaraz po rozmowie z właścicielką i oznajmił jedynie, że zrobił to, co do niego należało. Nadal utrzymywał swoje pełne powagi napięcie.

Problem w tym, że Parki tak naprawdę nie wiedzą, co się „wydarzyło”. I, rzecz jasna, nigdy się o tym nie dowiedzą – poprawił się w myślach – jednakże nie miały nawet pojęcia, co w ogóle miało się „wydarzyć”. Wiedziały tylko o chwilowym tajemniczym zniknięciu Elsie. Zdawały sobie też sprawę, że Cliff najwyraźniej nie mówi im wszystkiego, co wie. Dla tych starych plotkarek to musi być nie do zniesienia – pomyślał z odrobiną złośliwej

satysfakcji.

Przyjrzyjmy się teraz, z ich punktu widzenia, dotychczasowym wydarzeniom.

Sherry opowiedziała im o spotkaniu ze znajomą na lotnisku. I odjechała. Cliff już dawno poinformował je, że nie wzięła jego samochodu ani nie pozwoliła mu się odwieźć.

Fakt faktem – mówił – jakiś wariat uderzył w jego samochód, prawdopodobnie gdzieś na parkingu, i rozwalił mu reflektor. Więc Cliff ostrożnie dowlókł się do mieszkania swojej dziewczyny. Powiedział, że potrzebował pocieszenia. Sonia jednak nie była w najlepszym nastroju, wrócił więc do pensjonatu wcześniej, jak same zauważyły.

(Nie wiedziały, jak dokładnie przeszukał ten dom, zanim szybko przyprowadził Elsie przez kuchnię i surowo nakazał jej położyć się do łóżka. Był dla Elsie bardzo surowy, udając, że przyłapał ją na czymś, co nie spodobałoby się jej mamie, obiecał jednak, że nic nie powie, jeśli dziewczyna natychmiast położy się do łóżka. Poradzi sobie z Elsie. Umieścił ją dokładnie tam, gdzie chciał, i w wybranym przez siebie momencie.)

Parki trąkotały z przejęciem w salonie, kiedy wszedł, zupełnie niewinnie, wracając „od Soni”. Zdaje się, że dość niedawno same ruszyły się, aby zajrzeć do Elsie, a pani Kimberly, najzwawsza z nich wszystkich, wyszła truchtem z salonu i... Elsie nie znalazła! Nigdzie, nawet w pokojach zamieszkiwanych przez państwa Peabody. Nie udało jej się też obudzić gospodarza. Dlatego ucieszyły się na widok pana Storma i zapytały go o radę. Czy uważa, że powinni zadzwonić na policję?

Cliff był bardzo zmartwiony. To jego wina. Zapomniał. Gdzie może się podziewać Elsie? Uwierzył im na słowo, że nie ma jej w domu, i pożyczył od pani Moran latarkę, żeby przeszukać podwórze.

Zrobił to powoli i dokładnie, a trzy postacie w oknach przyglądały się. Następnie spróbował otworzyć drzwi od werandy Sherry i wszedł do środka przez jej pokój, zadziwiając je wszystkie.

Przecież te drzwi zabito gwoździami przed wieloma laty! Parki poszły je obejrzyć. Jak to się stało, że są otwarte?

Wtedy Cliff wyrzucił z siebie (jak gdyby jego myśl przekształciła się w słowo): – No tak. To skończyły się jej samotne noce.

Minuty zostały mistrzowsko wykorzystane, a całe zadanie odpowiednio rozłożone w czasie.

W końcu jednak, zanim przyznał, że należy wezwać gliny, Cliff poszedł jeszcze jeden ostatni raz przekonać się na własne oczy. Panie podążyły w ślad za nim. Ale przez kuchnię przeszedł sam i otworzył drzwi do pokoju Elsie. Zamarł. Zdawało się, że nasłuchuje. Gestem

nakazał im nie podchodzić bliżej. Sięgnął ręką i chwycił szary, krótki płaszcz Sherry. Zaniósł go do salonu i przewiesił przez oparcie fotela. – Leży w swoim łóżku – powiedział ponuro.

Następnie zacisnął wargi i zamilkł.

Ale co? Jak? Gdzie? Dlaczego?

Wreszcie Cliff oświadczył, że sądzi, iż skoro Elsie *jest* już bezpieczna w swoim pokoju, trzeba wypytać panią Reynard, jeszcze zanim cokolwiek komuś powiedzą. (Cliff z radością zauważył, że Elsie zaginęła już co najmniej trzykrotnie, podczas gdy faktycznie jej nie było. Co za dramatyzm – powiedział do siebie z samozadowoleniem.) Możliwe – dodał – że pani Reynard będzie w stanie wyjaśnić, bo to w końcu jej płaszcz, i pewnie nie ma potrzeby robić tak wielkiego zamieszania.

Panie jednak nie zgadzały się z nim. A w gruncie rzeczy uznały, że trzeba postąpić na odwrót. To przecież dom pani Peabody, dziecko pani Peabody, sprawa pani Peabody. Trzeba natychmiast powiadomić panią Peabody o tym, co już wiedzą. Podziękował im za to, że go przekonaly.

Uwierzyły już, że poinformował o tym panią Peabody. Denerwowało je tylko podejrzenie, że Cliff (a teraz także i właścicielka) wiedzieli o czymś, o czym one jeszcze nie wiedziały.

Tak więc Cliff miał dokładnie to, co chciał: Parki żadne informacji i skłonne uwierzyć we wszystko, co im powie w wybranym przez siebie czasie.

W duchu przewidywał, że na pewną będą na swój sposób wypytywać Sherry, nawet jeśli on tego nie robi. A Sherry będzie musiała odpowiedzieć, że na próżno oczekiwała tajemniczo zapowiedzianego przylotu dawnej znajomej. Nie знаła też numeru telefonu ani nazwiska „siostrzenicy”. Nikt nie mógł tego sprawdzić. Nie mogła nic udowodnić. *Ta* wersja zabrzmiała więc dziwnie i mało prawdopodobnie.

A wtedy, jeśli uzna, że sytuacja wystarczająco się rozwinęła, Cliff podejmie decyzję.

W sumie pragnął, żeby eksplozja nastąpiła rano. I tak naprawdę im później, tym lepiej, bo zanoszą się na histerię, której ataki nie trwają długo. Wolał, żeby jego postaci doznały możliwie największego wstrząsu emocjonalnego, kiedy opíše całe to zamieszanie przed Reynardem i jego adwokatem, Murchisonem, a po spełnieniu swej obietnicy uniknie odwetu za porażkę i zatrzyma nagrodę. I nie chodziło tu o to, czy Reynard dotrzyma słowa. Reynard będzie bezradny. To on spiskował. To on zlecił tę robotę. A Cliff odejdzie w swoją stronę, zupełnie czysty. I w gruncie rzeczy nie obchodziło go już, co stanie się potem.

Tylko gdzie, do diabła, podziewa się Sherry? Zorientowanie się w całej sprawie i powrót do domu zabierają jej dużo czasu. No cóż, w końcu jest splukana, a połączenia

autobusowe są niezbyt dogodne.

Parki grały w karty, uderzając nimi cicho o stół. Wreszcie pani Link wyskoczyła: – Wygląda pan na zmartwionego, panie Storm. Przecież Elsie nic nie zagraża, prawda?

– Hm. – Wyrwany z rozmyślań Cliff podniósł wzrok. – Zastanawiałem się, czy nie zaszła jakaś pomyłka. Z tego, co pamiętam, linia American używa parzystych numerów lotów z zachodu na wschód. Ale na pewno się mylę. Nie oglądałem tablicy z rozkładem lotów już przez jakiś czas...

Potrząsnął jedną stopą, poruszając kostką u nogi. Wystarczy – powiedział sobie. – Nie podpowiadaj im teraz. Jest dobrze. Ale wystarczy.

Wyobraził sobie nadchodzące sceny. Pani Peabody wpadnie w szał albo załamie się, czy też jedno nastąpi po drugim. Bez względu na to, co zrobi, pan Peabody rozplącze się lub zacznie kłąć, albo jedno i drugie. Być może będą robić wyrzuty życzliwemu panu Stormowi. Ale nie szkodzi. Z pewnością atak zostanie wymierzony w Sherry. A jeśli oboje państwo Peabody stracą rozeznanie, wtedy on, Cliff Storm, sam zaatakuje. A ona będzie zaprzeczać bez końca, aż wreszcie zacznie wrzeszczeć. A Parki zmuszone będą poświadczyć to, co „widziały”. Cliff zaś stanie pośrodku, doda coś niecoś tu i ówdzie i zmanipuluje cały bieg wydarzeń na własną korzyść.

Rzecz jasna, Sherry może w końcu wypłatać się z tego dzięki oklepanej regule uzasadnionej wątpliwości. Ale Cliff przez jakiś czas nie miał zamiaru dopuszczać do głosu żadnych uzasadnień.

Pragnął, żeby Sherry już wróciła. Chciał usłyszeć, jak jej wersja wydarzeń zostanie przez słuchaczy uznana za fałszywą. Ma wprowadzić taki sposób bycia, który wskazuje na uczciwość. Ale i temu Cliff zaradzi. W odpowiednim czasie zgasi ją wedle własnego uznania... wtedy, gdy będzie to najbardziej przekonująco świadczyło przeciwko niej.

Wyobrażał sobie, do jakiego stanu doprowadzi ją jeszcze przed przesłuchaniem, i wtedy przyszło mu do głowy, wraz z niewielkim przyływem urazy, że Edward Reynard, który sam to wszystko zlecił, uwierzy w każdą kaczkę dziennikarską...

Pani Moran zauważyła: – Ma pan bardzo denerwujący zwyczaj dzwonięcia monetami, panie Storm.

– O, przepraszam – rzucił, zaskoczony.

Pani Link zawołała: – No, kobietki!

Pani Kimberly oznajmiła: – Aha, już nadchodzi!

Cliff podniósł się szybko i pochylił do przodu. – Pani Reynard? – spytał nerwowo.

– Już idzie – powtórzyła pani Moran. – Jakiś mężczyzna ją przywiózł.

Cliff zacisnął zęby tak mocno, że aż go zaboląły. *Jaki mężczyzna?* Nie może być żadnego mężczyzny! Przecież nie udało mu się wytropić żadnego *mężczyzny!*

Ledwo powstrzymał się od wybuchu wściekłości. Zdołał to zrobić, przypominając sobie, że cały plan może teraz wziąć w łeb, jeśli on sam nie dostosuje intrygi do nowej sytuacji.

Do diabła z nią i z tym facetem!

Sherry weszła sama, z chustką przy twarzy. Płakała, i to mocno. Cliff pomyślał, że wykorzystałby te łzy, gdyby nie to, że przyjechała w towarzystwie mężczyzny. *Co to za mężczyzna?*

Coś poza kontrolą nakazało mu odezwać się i przez zaciśnięte zęby syknąć do niej złośliwie: – Czy to mąż siostrzenicy cię podrzucił?

– To był Michael – rzuciła głosem wciąż stłumionym chustką. – Przepraszam. – I pognęła przez salon w stronę drzwi jej pokoju.

– Michael? – powtórzył Cliff. (A kim, u diabła, jest ten Michael?)

– Znasz przecież Michaela – odparła, odejmując chustkę od ust. – To lokaj Reynardów.

Zamrugnęła przez chwilę. Popatrzyła na Parki i zwróciła się do nich. – Przepraszam. Na lotnisku nikogo nie było. Pojechałam więc zobaczyć się z mężem i dlatego jestem zdenerwowana.

Nie powiedziały zupełnie nic. Cliffa też zamurowało. Sherry jednak wzięła się w garść.

– No dobrze. I co teraz? – spytała znużonym tonem. Skierowała załzawione oczy na Cliffa. – Co to za podstęp? Co takiego uknułeś przeciwko mnie podczas mojej nieobecności?

Stał w miejscu. Nie był w stanie mówić. Przecież zgodnie z jego scenariuszem miała teraz wierzyć, że on stoi po jej stronie. Miała mu wybaczyć.

Spod zapuchniętych powiek te niebieskie oczy rzuciły mu piorunujące spojrzenie. Otworzyła torebkę i zaczęła czegoś w niej szukać.

– Jak sobie chcesz – powiedziała. – A teraz posłuchaj. Wyjechałam z międzynarodowego lotniska taksówką dokładnie o dwudziestej dwadzieścia pięć. Kierowca nazywa się Rudolph Minz. Spytałam go o godzinę i jestem pewna, że mnie zapamiętał. Zabrał mnie do domu Reynardów, a Michael właśnie mnie stamtąd przywiózł. Czy to wystarczy jako alibi?

– Na miłość boską! – wykrzyknął Cliff ochryplym głosem. – O czym ty mówisz? Kto powiedział, że potrzebne ci alibi? Po co?

Odwróciła się do Parek. – Właśnie: po co? – spytała. – Co się stało?

– Elsie gdzieś przepadła – odezwała się słabym głosem pani Link.

– Tak? – zdziwiła się Sherry.

– Chciała przedtem, żeby *pani* zabrała ją dokądś – dodała sztywno pani Kimberly. – A te drzwi prowadzące z *pani* pokoju na podwórze były otwarte.

– Elsie gdzieś przepadła – powtórzyła pani Moran. – Miała *pani* płaszcz.

– I gdzie teraz jest Elsie? – spytała Sherry.

– W swoim pokoju – odrzekł Cliff. – W końcu ją znaleźliśmy.

– A wy wszyscy jesteście przejęci – dokończyła Sherry – bo uważacie, że Elsie ukradła mój płaszcz? Aha, rozumiem. A ja mam zadzwonić na policję, zaskarżyć kogoś czy co?

– Nie, nie, nie – jęknął Cliff.

– I chodzi o te drugie drzwi do mojego pokoju, tak? – ciągnęła Sherry. – Rozumiem. To tamtędy ktoś wszedł do środka, żeby ukraść mi pieniądze i bilet. I nie była to Elsie. Może ty? Czy ten drugi facet?

– Na miłość boską! – Cliff był bliski podniesienia głosu. Co on robi? Zaprzecza i zaprzecza?

– Och, ależ z ciebie dzieciak! – wykrzyknęła Sherry. – Cholerny dzieciak! Te twoje głupie gierki! Nie masz zielonego pojęcia, o co tu chodzi. Miałeś w zanadru jakąś intrygę wtedy, kiedy chciałeś mnie podwieźć? Otóż nigdzie mnie nie podwieziesz. Wstyd mi, że w ogóle dałam się wciągnąć w te twoje gierki. – Wyjęła kawałek kartki z zapisanym na niej nazwiskiem taksówkarza. Wpatrując się w niego pogardliwym wzrokiem, zaczęła ją umyślnie drzeć na kawałki. – A teraz proszę bardzo, graj sobie sam! – dodała. – Ja jestem zmęczona.

Cliffowi zdawało się, że słyszy, jak Parki zaśmiewają się cichutko, mimo iż nie wydawały żadnych dźwięków. Twarz mu poczerwieniała i nic nie mógł na to poradzić. Odrzekł sztywno: – Zapytaj pań, czy nie działy się tu dziwne...

– Sama powiem ci coś dziwnego – rzuciła chłodno. – Skąd ty wiedziałeś, że w sprawę wmieszana jest czyjaś siostrzenica? I że rzekomo jest mężatką? Nie mówiłam tego paniom.

Tak więc został przyłapany. Wyglupił się, a ona to zauważyła, i on też.

Ale Sherry nie sprawiała wrażenia triumfującej. Wręcz przeciwnie: spojrzała w dół na kawałki podartej kartki, które trzymała w ręce. Miała poważny i zamyślony wyraz twarzy. Otworzyła torebkę i ostrożnie włożyła do niej te skrawki. – Przemyślałam sprawę – stwierdziła (a spojrzenie tych niebieskich oczu ponownie go zgromiło). – Nabrałam mnie na tę sfigowaną rozmowę przez telefon. Może więc nie powinnam lekceważyć żadnej przewagi. –



Zaczęła smutno kręcić głową. – Nie wygrasz – dodała spokojnie. – Nie będę płakać ani krzyczeć bez względu na to, co zrobisz. Taki jest mój wybór – oświadczyła wyniośle. – I jestem zbyt wykończona, żeby uciekać do hotelu. Naprawdę, nie mam siły zawracać sobie głowy. Dobranoc paniom. – Chwyciła swój płaszcz i znikła za zasłoną, poruszając się z wdziękiem.

A Cliff został tam i nadal tkwił w miejscu. Parki przypatrywały się mu. One były jak trzy sowy, prawda? Oczywiście, że tak. Wiedziały, jakie z nich piekielnie mądre staruszki, prawda?

– Rzeczywiście zdaje się – wycodziła pani Link – że cokolwiek się wydarzyło, pani Reynard nie miała z tym nic wspólnego.

Czyżby uśmiechała się kokieteryjnie?

I czy pani Kimberly zaraz zacznie chichotać? A pani Moran zaczerpnęła powietrza, żeby stłumić parsknięcie? Tak, *właśnie!*

Cliff Storm stracił głowę. – Wierzycie jej panie? – warknął. – Wierzycie jej na słowo, tak po prostu? A skąd wiecie, kim był ten mężczyzna? I że na lotnisku nikogo nie było? Nie pozwoliła *mi*, żebym ją odwiózł! A jeśli naprawdę zabrała Elsie na zabawę? Bo skoro nie, to dlaczego Elsie w kółko powtarzała: „Sherry, Sherry”? I po co Elsie to mówiła? – Tu powtórzył jej własnymi słowami to, co Elsie powiedziała, nie u siebie w pokoju, ale wcześniej. Mimo wszystko to się przyda. Wypowiedź była tym bardziej przerażająca, że wyrażona została autentycznie dziecięcą mową. – I nie próbujcie mi wmówić – dodał, kiedy wszystkie trzy twarze wykrzywiły się – że Elsie nauczyła się *tego* z telewizji!

Odszedł ciężkim krokiem wzdłuż korytarza i potem schodami na górę. Niech sobie to przemyślą! Filmu, którego dziesięciominutowy fragment pokazał Elsie Peabody, absolutnie nigdy nie wyemitowano by w telewizji publicznej. (O czym Cliff dobrze wiedział.) Wybrał scenę z ołtarzem. Sprawozdanie Elsie brzmiało naiwnie, ale dość przerażająco. O tak. A Sherry sama wykopała pod sobą dołek, kiedy tak ładnie oświadczyła w zeszłą sobotę wieczorem, że biedna Elsie nigdzie nie chodzi, niczego nie ogląda, nie ma żadnych przyjemności i że każde przeżycie jest lepsze niż żadne. O, dzisiaj wieczorem Elsie miała pewne przeżycie, jak zwykle pośrednio. Jednak do pewnego stopnia przeżyła to, tym bardziej że nie potrafi odróżnić filmu od rzeczywistości. A więc...

I nagle Cliff otrząsnął się. Co takiego?! Czyżby *on* sam, bezsensownie i tylko po to, żeby dla własnej satysfakcji rozwiać na tych głupawych, starych twarzach wyraz samozadowolenia, wywołał wybuch swojej własnej bomby w najmniej odpowiednim momencie? I ta bomba najprawdopodobniej okazała się niewypałem. Sherry miała alibi, a

kiedy znajdzie w szufladzie komody pieniądze, nazwę i adres organizacji, pierwsze zachowa, drugie zaś podrze. I to by było na tyle. Cliff z trzaskiem zamknął drzwi.

A Parki siedziały przy oknie. Pani Link, z dłonią na czole, zanurzyła palce w swej fryzurze w stylu pompadour. Pani Kimberly odrzuciła do tyłu głowę, a jej drobne policzki wręcz zanikły przy napiętej szyi. Pani Moran schyliła głowę, trzymała talię kart i układała je jedną na drugiej. Pani Kimberly spytała, krztusząc się: – Czy Elsie rzeczywiście powiedziała coś takiego, czy on sobie z nas zażartował?

– Nawet jeśli tego nie powiedziała – rzuciła cicho pani Link – brzmi to tak strasznie, że równie dobrze mogłaby powiedzieć.

– Obojgu nie możemy wierzyć – podsumowała pani Moran. – Albo to on uknuł jakieś dziwne intrygi, albo *ona* zmyśliła alibi.

– Ale to niesamowite – orzekła pani Link. – Te drzwi. No, wiecie, bardzo tajemnicze.

– A ja zawsze staram się patrzeć optymistycznie – powiedziała pani Moran stanowczo.

– Jeśli Sherry Reynard zabrała Elsie na jakąś... hm, trzeba to jakoś nazwać... powiedzmy, *orgię*... to czy zrobiła to z uprzejmości? – Pani Moran wyjęła damę kier i plasnęła nią o stół, obrazkiem do góry.

– Jeśli Sherry Reynard *bywa* na tych... powiedzmy, orgiach – dodała pani Kimberly – to nic dziwnego, że biorą rozwód.

– Tylko po co właśnie w tym okresie swojego życia miałyby robić takie głupie rzeczy? – zastanawiała się pani Link swoim ospałym tonem. – I zabierać *Elsie*?

– Nieźle się wściekł – orzekła pani Moran. – Może uznał, że szokowanie starszych to dla niego niezła zabawa. – Wyjęła waleta pik i położyła obok. – Jeśli tak, to żaden z niego walet, tylko dzoker. Czyli głupiec. Czyli nic nowego pod słońcem – zamyśliła się pani Moran.

– A dla *mnie* to szok – przyznała pani Link płaczącym tonem. – Walka to walka, mecz to mecz, ale Elsie nie jest piłką do gry.

Sherry zaryglowała drzwi prowadzące do korytarza. Pokój sprawiał wrażenie spenetrowanego. Nawet w powietrzu dało się wyczuć zmianę. Rzuciła płaszcz i przyjrzała się drzwiom prowadzącym na zewnątrz. Były teraz zamknięte na klucz. Na podłodze znalazła gwóźdź mocno ucięty. Uświadomiła sobie, że drzwi musiały zostać otwarte już jakiś czas temu. A więc nie była bezpieczna nawet tu, w tej klitce?

Więc gdzie jest bezpieczna? *Daj spokój* – złościła się na siebie. Jutro wszystko się

wyjaśni. Ziemia i czas *poruszą się*. A ona otrząśnie się z tego bezwładu. Niedbale rzuciła torebkę na komodę. Pieniądze już się nie liczą.

Nie liczy się też Cliff Storm. Cokolwiek usiłował... zainscenizować – pomyślała (właśnie: *zainscenizować!*), nie udało mu się. A ona nie pozwoli sobie na ciekawość co do szczegółów. Już i tak jest na niego wystarczająco wściekła. Ciężko przyjąć, że on się już nie liczy. Ale ona musi. Nie wolno jej zaspokoić tej naturalnej, ludzkiej, nagłej potrzeby płaczu i krzyku z jego powodu. Nie teraz.

Na piętrze Cliff napotykał swoje czarne myśli. A niech to szlag. Jakim cudem, do diabła, i tym razem Sherry pokrzyżowała mu plany? Jak to się stało, że tak szybko wyjechała z lotniska? I jak udało jej się tak szybko tam dotrzeć i zaraz przekonać się, że telefon był fałszywy? Co jej odbiło, żeby spisywać godzinę i nazwisko taksówkarza?

I dlaczego do Reynardów? Nie może w tej chwili zadzwonić do Reynarda i dowiedzieć się, co tam mówiła i robiła. (I sam nie chce wiedzieć.) Prawdopodobnie była na tyle głupia, że próbowała odwieść Warda od rozwodu i chciała zgody. Co za nonsens! Matczyzna miłość. Jaka tam miłość? Dlaczego tak się rozpląkała? Po co? Pograżał się w myślach pełnych goryczy.

Nie wiedział, co wydarzy się nazajutrz. Elsie na pewno *coś* powie. A pani Peabody wywoła poruszenie. Ponieważ – do cholery – *on* sam to wszystko wykombinował. Pięknie! Pięknie! Nawet Parki ustawił tak, jak chciał. I wszystkich. Wszystkich. Aż do czasu, kiedy królowa we własnej osobie znów pojawiła się w złym miejscu i czasie, wbrew jego kalkulacjom.

Zgoda, jest piekielnie cwana. Naprawdę ani razu nie udało mu się przyszpilić Sherry Reynard?

I dlaczego nie? Co takiego ma, żeby chronić siebie samą? *Kim ona w ogóle jest?*

Sherry szykowała się do snu. Nie spodziewała się zasnąć, ale mogła przynajmniej po raz ostatni położyć się na tym łóżku. Nie bała się jutra. Ward jest świadom swojej sytuacji. Ona już to wie. Więc co Edward Reynard może w związku z tym zrobić? Nic. Nic.

I Cliff Storm także. Jasne, zapomnij o nim.

A pojutrze Sherry będzie już tylko musiała żyć dalej. Z tym sobie jakoś poradzi. Weszła do łóżka, postanowiła wypłakać wszystkie emocje i doszła do wniosku, że zabrakło jej łez. Zasnęła.

Na piętrze Cliff Storm odurzył się do nieprzytomności ciepłą whisky i marzył o winie.

## Rozdział 18

Cliff obudził się fatalnie skacowany, ale mimo wszystko uświadomił sobie, że podczas snu w jego umyśle zrodziły się pewne pytania. Dlaczego skłonny był uwierzyć Sherry, nie upewniając się, czy mówi prawdę? Mogła przecież wymyślić jakiś podstęp, żeby go zmylić i przekonać, że jego pułapka się nie zamknie.

Zakładając ostatecznie, że to możliwe, zabierze dziś ze sobą Elsie. Niech wydusi z siebie parę słów, a potem on ją splewi. I wtedy jego obietnica względem Reynarda będzie spełniona, prawda? A gdyby Sherry wyszła z kontrą, to przecież nie jego wina. No, daj już spokój – skarcił sam siebie. – Czego ty oczekujesz, sprawiedliwości?

Chwileczkę. Przecież może zrzucić winę na kogoś innego. Gdyby Reynard podważył alibi Sherry z wczorajszego wieczoru. Słowo taksówkarza nie będzie miało większego znaczenia, jeśli Reynard oświadczy, że dziewczyna wcale nie była w ich domu. Ma wszelkie kompetencje, żeby tak zeznać. A Emily jest bezsilna; potwierdzi jego słowa. Cliff nie sądził, aby wzięto pod uwagę Warda. A Michaelowi płacili za wykonywanie jego obowiązków, prawda? Ale za dużo tego. I Cliff znów wierzył Sherry.

Uwierzą jej też prawnicy i sędzia, i każdy inny beznamiętny umysł. W porządku, przyznaj się do tego z zimną krwią. Tak więc Cliffowi pozostało już tylko pograżyć ją, wyzuć z dostrzegalnej uczciwości, z budzącego zaufanie sposobu bycia, z czegokolwiek, co w sobie miała. *Niech szlag trafi te jej oczy!*

Aż zahuczało mu w głowie, kiedy po schodach zbiegł z tupotem Joe Bianchi. Podjął jednak typowe dla siebie kroki, opanował się i zszedł na śniadanie.

Sprawdź, jak przedstawia się sytuacja. Improvizuj.

Joe wyminął go w holu na parterze. – Kryzys pana dopadł, z tego, co widzę – rzucił z szerokim uśmiechem i odszedł szybko.

Cliff wszedł do jadalni, gotowy na eksplozję. Ale w jadalni panował spokój i porządek. Były tam tylko Parki. Na miejscu pani Peabody siedziała pani Kimberly, pełniąc dyżur przy dzbanku z kawą i tosterze. Dzban z sokiem pomarańczowym stał na kredensie, obok tacy z małymi szklankami. Nikogo z Peabodych nie było widać, z kuchni nie dochodził żaden dźwięk.

– Dzień dobry paniom – powiedział uroczyście Cliff.

– Pan Peabody chce rozmawiać z panem, panie Storm, i to jak najszybciej – oznajmiła sumiennie pani Link.

– Dziękuję pani. – Cliff nalał do szklanki soku pomarańczowego. – Nie jestem pewien, czy mam ochotę spojrzeć komukolwiek w oczy bez odrobiny śniadania – oświadczył posepnie. (Dlaczego *one* miałyby wierzyć Sherry?) W tym momencie usłyszał ją w salonie, jak nadchodzi. Panie także. Zaczęły wymieniać między sobą „znaczące spojrzenia”. Cliff wrzucił małą kostkę cukru do szklanki z sokiem, którą właśnie napełnił, odwrócił się i postawił ją na stoliku przy miejscu Sherry. Jednocześnie odezwał się, przyciągając uwagę Parek: – Chciałbym podziękować paniom, bo jesteście najspokojniejszymi kobietami, jakie znam. Dzięki paniom zrozumiałem, że to możliwe. Elsie weszła do pokoju Sherry tylnymi drzwiami, zasnęła tam, biedaczka, i coś jej się przyśniło.

– Nie daj Boże – rzekła pani Moran. Której części jego wypowiedzi miało to się dotyczyć, nie sposób było odgadnąć.

Cliff nalał soku pomarańczowego dla siebie i wciąż stał, kiedy weszła Sherry. – Dzień dobry – powiedział jej, zmieniając ton głosu na skromny i łagodny.

Skinęła tylko głową. Usiadła. Ubrana była wyjątkowo schludnie i elegancko, w suknię koloru wyraźnego błękitu. Jej włosy błyszcząły. Twarz miała lekko zmęczoną, ale najwyraźniej spokojną. Parki przywitały ją chórem, a Cliff usiadł na swoim miejscu. Pani Kimberly podniosła dzbanek z kawą.

Trudno było sobie wyobrazić mniej historyczną scenę.

– A więc to już dziś! – oznajmił nagle Cliff. Sherry spojrzała na niego. Uśmiechnął się i unióś szklankę z sokiem w geście toastu. – Za to, żeby wygrał lepszy – dodał.

Fala reakcji na wyraźne wyzwanie przebiegła po jej twarzy. Uniosła swoją szklankę, żeby wznieść z nim toast. Ich oczy spotkały się, wypili. Cliff jako pierwszy odwrócił wzrok. Spokojnie, jak gdyby wyczuła triumf, który Cliff usiłował ukryć, Sherry odstawiła szklankę, wciąż pełną do połowy.

– Naprawdę poszłaś wczoraj wieczorem zobaczyć się z Wardem? – spytał, dając wszystkim do zrozumienia, że nie bardzo w to wierzy. (Niech ona zacznie upierać się i przysięgać.)

Sherry odwróciła się do pani Link, siedzącej po lewej stronie. – Wczoraj wieczorem przypomniały mi się tam panie – zaczęła miłym tonem. – Bo pani Reynard grała akurat w karty. Razem z tamtymi paniami. Tylko że – dodała, spoglądając w tej chwili na Cliffa z nieukrywaną pogardą – one, oczywiście, nie grały w „serca”. Ich gra nazywała się chyba

„kontrakt”.

Cliff przelknął kawę, była za gorąca, przeprosił więc i wyszedł. Palilo go w ustach i poszedł do kuchni. A więc Sherry ma alibi w kieszeni, i dobrze o tym wie. Nie było sposobu, żeby podać to w wątpliwość.

W porządku. W takim razie czas na nieoczekiwany zwrot akcji. I improwizację. A tamten sobotni wieczór, na który Sherry nie miała alibi teraz, kiedy nie było już Archera? – skojarzył sobie Storm. E, nie, to się nie uda. Te piekielne, zdziwaczałe staruchy wróciły z kina za wcześnie. Zgoda, natknęły się na Sherry trzymającą Elsie za rękę. Ale w pokoju na werandzie nie było żadnego czarnego ołtarza z kamienia. Ani miejsca dla zamaskowanych, rozszalałych postaci. Ani krwistoczerwonego światła.

A może jednak małe zamieszanie? To już samo w sobie było dobre. A Sherry niebawem odczuje tego skutki. Właśnie udała mu się sztuczka!

Sherry zwróciła się do Parek: – A gdzie pani Peabody? Wyprowadzam się i muszę ją poinformować.

– Wygląda na to, że mają tam jakieś kłopoty – oznajmiła pani Kimberly. – Napije się pani teraz kawy, pani Reynard? Czy mam upiec grzankę?

Pani Kimberly wychodziły całkiem chrupiące grzanki, więc Sherry uśmiechnęła się do niej. – Tak, poproszę.

A pani Link dodała: – Zdaje się, że ktoś nakładł Elsie do głowy jakichś zakazanych pomysłów. Myślę, że to dobrze, że pani *jest w stanie* udowodnić, gdzie pani była wczoraj wieczorem. – Miała błyszczące oczy i dociekliwy wzrok. Czy faktycznie jest pani w stanie to udowodnić? – zdawały się pytać jej oczy.

Sherry odparła ze stoickim spokojem: – Tak, też sądziłam, że to dobrze.

– I nie wie pani, co... hm... co się za tym kryje? – zastanawiała się pani Link. – To trąci diabelskim obrządkiem.

– Nie. I nie chcę wpadać w jeszcze większą wściekłość – oświadczyła Sherry. – Cała ta żaloszna *wojna* zakończy się dziś po południu.

– To walka o dziecko? – spytała szybko pani Moran.

– Tak.

– Pani mąż chce dziecka? – dodała pani Link.

– Nie. Mój teść chce dziecka. Dla siebie.

Panie mlasnęły językami.

– A co do tego wszystkiego ma pan Storm? – dociekała pani Kimberly.

– Nie wiem – odparła Sherry.

– Chyba wie pani – oznajmiła pani Moran ciepłym głosem – że on wcale nie chodzi regularnie do szpitala na żadne zabiegi. A jeżeli tak, to pewnie przelatuje tam na miotle...

Ale Sherry wpatrywała się w swoją na wpół pełną szklankę z sokiem. Kolor wydawał jej się podejrzany, taki mocno pomarańczowy.

Odezwała się sennie: – To miło, że się panie interesujecie. Jestem w trochę dziwnej sytuacji. Muszę uważać. Nie wolno mi zdenerwować się ani krzyżeć. Muszę chyba tylko nadal stać mocno o własnych siłach. – Wstała.

Nie chciała już mówić. Nie chciała niczego rozstrzygać. Akurat teraz trochę źle się poczuła. Powinna pójść i spakować swoje rzeczy. Uśmiechnęła się do Parek i powiedziała im o tym.

Pani Kimberly zacisnęła wargi, uwidaczniając zmarszczki. – Ależ z nas stare, wścibskie baby.

– Ona ma racje, musi uważać – dodała pani Link, wzdychając.

– Ma *absolutną* rację – podsumowała pani Moran. – I to właśnie jest uciążliwe. Bo jak tu węszyć, skoro ona nie chce mówić?

W kuchni siedział tylko trzeźwy pan Peabody.

– Nie chciałbym zawracać panu głowy, panie Storm, ale pomyślałem, że może powinien pan wiedzieć: zatelefonowaliśmy do tego pana ze szkoły i on twierdzi, że wie chyba, jak nam pomóc. Więc żona i ja natychmiast zabieramy tam Elsie, gdy tylko obie skończą się ubierać.

– A co się stało? – spytał łagodnie Cliff.

– Sami nie bardzo wiemy – odrzekł pan Peabody. – Wie pan, wczoraj wieczorem, kiedy żona jak zwykle zajrzała do Elsie, żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku, Elsie zaczęła gadać od rzeczy. – Zaczerwienione oczy gospodarza odwróciły wzrok.

(*Wczoraj wieczorem!* Cliff był roztrzęsiony.)

– Hm – ciągnął gospodarz. – Bo z Elsie, sam pan rozumie, zawsze było coś nie tak, ale pomyłona to ona nie jest. A teraz, jak ma te... no, wie pan... przywidzenia, to trzeba chyba jakoś temu zaradzić. Tylko niech *pan* się tym nie martwi, panie Storm.

– O, na pewno – zaczął Cliff, święcie oburzony – będę się tym przejmował i chciałbym jakoś pomóc, jeśli mogę...

Do kuchni weszła gospodyni. Miała na sobie wyjściowe ubranie.

– Nie – rzuciła z rezerwą i powagą. – Elsie to nasze zmartwienie. Czy Harold już panu mówił? Ten pan twierdzi, że można jej jakoś pomóc. Jest coś takiego, jak pomoc społeczna.

– Byłem dla tej dziewczynki podłym ojcem – orzekł pan Peabody – ale to nie znaczy, że nie obchodzi mnie, co się z nią dzieje.

– Zaraz, chwileczkę – przerwał mu Cliff. – Ona... Starsze panie mogą poświadczyć... że wczoraj wieczorem Elsie była gdzieś poza domem. I boję się, że właśnie wtedy, gdy w końcu znalazłem ją w jej pokoju, mówiła dziwne rzeczy.

– Przykro mi, że pan też to słyszał – odparła chłodno pani Peabody. Miała smutek w oczach. – Ale jeśli pan pozwoli, panie Storm, wolałabym o tym nie mówić i unikać tego tematu w domu.

– Nie będziemy panu już zawracać głowy – dodał pan Peabody. – A jak już skończą jeść śniadanie, to może rzuciłby pan okiem, czy dzbanek do kawy jest wyłączony z kontaktu?

– Był pan bardzo uprzejmy – wtrąciła się pani Peabody. – Ale my też...

– Jeśli pani Reynard miała z tym cokolwiek wspólnego, wczoraj wieczorem czy kiedy indziej – powiedział żarliwie Cliff – to coś trzeba z *nią* zrobić.

Ale gospodarz wyprostował się nagle. – Liczy się tylko Elsie – oświadczył. – A moja żona chciała właśnie powiedzieć, panie Storm, że postanowiliśmy nie kupować tamtego domu, choć panu dziękujemy. Moja żona ma już za dużo na głowie. Czas, żebym zaopiekował się nią i Elsie lepiej niż dotychczas. Żaden ze mnie pożytek, skoro ciągle jestem pijany do nieprzytomności. Wczoraj wieczorem tak mnie ścięło z nóg, że aż się przeraziłem. – Z przerażenia otrzeźwiał.

– Ale wie pan – odrzekł Cliff, zniżając głos do szeptu, który nakłaniał słuchacza, aby uważnie słuchać – że w sobotę wieczorem, kiedy państwa nie było, a starsze panie wyszły do kina...

Peabody jednak pokręcił zaraz głową. Jego oczy patrzyły dziwnym wzrokiem. – Widzi pan – powiedział łagodnie – Elsie mówi, że to *pan* pokazywał jej jakieś filmy wczoraj wieczorem, na małym ekranie. Ludzie tańczyli i ktoś chyba leżał związany, i była tam krew, i... wiem, to niedorzeczne. Naturalnie, nie wierzymy jej na słowo, że to *pan* za tym stoi. Nie chcemy gorączkować się i obarczać pana winą za jakieś chore przywidzenia. To byłoby nie w porządku. A co do winy, to ja nie powinienem był pozwolić, aby sprawy tak się potoczyły. To ja zawsze zdawałem sobie sprawę z tego, że świat jest pełen niebezpieczeństw, o których moja żona nawet nie ma pojęcia i nigdy nie słyszała. Ona ma rację, panie Storm, to nasze zmartwienie. Ale i tak dziękujemy za wszystko, co pan starał się dla nas zrobić.



– Jakoś sobie poradzimy – dodała pani Peabody. – Elsie już dawno powinna była się uczyć, od lepszych nauczycieli niż ja. Powinnam była myśleć o niej i nie unosić się dumą. I przestać winić...

– Sherry? – odezwał się nagle czyjś głos.

Elsie wyszła z pokoju, ubrana do wyjścia. Patrzyła na Cliffa, miała przebiegły wyraz twarzy, a on mógłby przysiąc, że przez chwilę jedno z jej oczu odbiegło od pionu. – Sherry? – powtórzyła zgodnie z tym, co przewidział Cliff. Szeptał jej to imię dużo częściej niż dwukrotnie. (Żałował, że film był tak słabej jakości. Brakowało bębnow i potu, i odoru.)

– Chodź, chodź, Elsie – odezwała się łagodnie matka. – Idziemy już. Idziemy.

Pan Peabody odwrócił się, aby pójść za nimi. Wtedy Cliff powiedział mu do ucha: – Słuchaj, człowieku, naprawdę chcesz to sobie odpuścić? Powiedziała „Sherry”. Słyszał pan to imię!

– Tak, ale widzi pan... – Gospodarz zaczął mrugać oczami. – ...ona nawet nie wie, że to imię. Ona myśli... ona chyba myśli, że... ta zabawa tak się nazywa. – Westchnął głęboko. Przestał mrugać. – Ale my nie uwierzimy w coś tak okropnego, chyba że, wie pan, nie będziemy mieli innego wyjścia. – Westchnął znów i poszedł za rodziną.

Wszyscy troje spokojnym krokiem wyszli z domu tylnymi drzwiami, potulna Elsie między rodzicami.

Cliff zaś pomyślał: Do diabła z nimi! Skoro nie mają na tyle *przyzwoitości*, żeby wpaść w histerię...

I wtedy sam doświadczył lekkiego ataku cichej histerii.

W salonie, w zwartej gromadce, stały Parki. A kiedy się pojawił, pani Kimberly przejęła rolę ich rzeczniczki. – Panie Storm – zaczęła bez ogródek – czy to prawda, że Elsie powiedziała to, co pan nam przekazał?

Popatrzył w jej jasne oczy. – O, pewnie, że tak – odparł całkiem bez przekonania. – I jeszcze więcej. Ale pani Peabody – dodał równie niechętnie – nie chce, żeby poruszano ten temat.

– A gdzie jest teraz Elsie? – spytała pani Link, wyginając szyję, nieco zaniepokojona.

– Elsie pojechała na spotkanie z czarownikiem – wybuchnął z goryczą. – To tylko jej wyobraźnia. Ktoś będzie to analizował tak długo, aż jej minie. A przy okazji: nie wyprowadzam się w piątek. Wyprowadzam się *teraz*.

Wszedł po schodach. I je też niech szlag trafi – pomyślał.

– No i co teraz? – spytała w zamyśleniu pani Moran. – Czy któreś z nich wygrało?

Wszystkie trzy usiadły na swoich miejscach przy stoliku. – Skoro Elsie coś się

przyśniło – powiedziała zaniepokojona pani Kimberly – to akurat wtedy, kiedy pani Reynard przeżywała najgorsze chwile... Jak można sprawić, żeby ktoś miał sen? Hipnozą? Jak myślicie, dziewczęta?

– Ja nie wierzę w hipnozę – oświadczyła pani Link – i w zbiegi okoliczności też nie. Tyle wam powiem.

– No cóż – odezwała się pani Moran. – Mówi się, że niczego nie da się dowieść bez faktów. Ale to nieprawda. Mogą istnieć pewne przesłanki. Elsie z pewnością mogła pójść w jakieś miejsce i zobaczyć, usłyszeć, doświadczyć... tego typu rzeczy. Poszłaby, gdyby ktoś zechciał ją zabrać. Ale jeśli była to Sherry Reynard...

– Z życzliwości? – mruknęła pani Kimberly.

– Z głupoty! – warknęła pani Moran. – Jedno zwykłe kłamstwo wystarczyłoby zamiast tych wszystkich machlojek. Mogła powiedzieć, że zabiera Elsie do kina. Tak byłoby dla niej bezpieczniej, na logikę. – Następnie dodała ponuro: – Choć nie tak do końca. Brać na siebie taki ciężar...

– Jedno z nich prowadzi gierki – podsumowała pani Kimberly. – Chyba że... A może on chce, żebyśmy uwierzyły dlatego, że *sam* w to wierzy. No więc, po czyjej stronie jesteśmy?

Pani Moran posępnie przetrzucała karty. Znów wyjęła damę kier i waleta pik.

– Hola, hola – zamruczała pani Kimberly, stukając energicznie w stół i wskazując na symbole. – Możliwe, że to nasze uprzedzenie.

– Albo też intuicja? – dodała pani Link. Wyciągnęła swoją starczą, pokrytą niebieskimi żyłami dłoń, wyjęła króla kier i wsunęła pod waleta. – Edward Reynard?

– Tak czy inaczej – stwierdziła pani Moran, uśmiechając się szeroko z frywolną miną – w grę wchodzi własne zdanie. Każdej z nas, tak?

Pani Link położyła palec wskazujący na damę kier. – Wierna płci i macierzyństwu – oświadczyła wzniosłe.

– Bzdury! – podsumowała pani Moran. – Mówisz przecież, że nie znosisz zbiegów okoliczności.

– A niech tam – wtrąciła się pani Kimberly, kładąc palec wskazujący także na damę. – Jestem uprzedzona. Nie znoszę ludzi, którzy próbują mnie oszukać. I to z talią kart!

– No, dajże spokój – rzuciła pani Moran. – Raz to zrobił, dobrze wiesz, a ty oczywiście musisz myśleć, że i teraz próbuje nas oszukać. Powinno istnieć coś takiego jak „nieuprzedzenie” – zrzędziła.

Następnie położyła palec wskazujący tam, gdzie pozostałe.

– Ot tak, po prostu – rzuciła, rozglądając się figlarnie na boki.  
– Ależ z nas niepoprawne, głupie staruchy – orzekła pani Link, dotykając włosów. Sprawiała wrażenie zadowolonej. – Cieszę się, że przynajmniej wiemy, kogo mamy dopingować.

## Rozdział 19

Kiedy Sherry otworzyła na łóżku walizkę i zabrała się do pakowania, światło zaczęło się zmieniać, powoli, ale równomiernie. Słońce ani drgnęło. Jednakże biel stawała się jaskrawo biała, co wydawało się dziwne. Zamrugła i przetarła oczy. Otworzyła środkową szufladę komody i spoglądając w dół na stos swojej bielizny, uświadomiła sobie, że nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziała. Zaczepnęła powietrza.

Po kilku minutach zaczęła bardzo się bać. Pochwyciła torebkę i wybiegła z pokoju.

Ale kiedy szła w stronę Parek, mimowolnie pomyślała, że kurz to coś pięknego. Unosił się w postaci ślicznych obłoków pod naciskiem jej stóp. A kiedy machnęła nogą, zawirował. Usiłowała pohamować uśmiech, który wydawał jej się idiotyczny, i powiedziała do pań: – Chyba nie powinnam tu zostawać. Boję się. Lepiej pójdę do szpitala. A gdyby mój adwokat... Nazywa się Allen Jordan... Mówił, że zadzwoni do mnie. Czy mogłybyście panie... przekazać mu... – Dyszała.

– Dlaczego pani się boi? – spytała surowo pani Moran.

– Czuję się tak, jakbym oddalała się od siebie samej – z trudem wykrztusiła Sherry. – Nie podoba mi się to. *Nienawidzę* tego. Przeraża mnie!

Pani Link usiadła, mocno wyprostowana, i rzuciła koleżankom „znaczące spojrzenie”.  
– A ja przez cały czas zastanawiałam się – powiedziała – co było w tym soku...

– O nie – jęknęła pani Kimberly. – Nie wierzę...

– *Postaraj się* – rzekła pani Link, bynajmniej nie ospałym głosem.

Sherry wpatrywała się w nią. Albo ta twarz się zmienia, albo wzrok Sherry stał się jakiś przenikliwy, jak gdyby w oczach miała mikroskopy. Sylwetka pani Link wyglądała bezbarwnie i ociężale, w środku jednak było coś na kształt motyla o spiczastych skrzydłach, ruchliwego i kręcącego się.

– W takim razie niech Bóg przebaczy temu podłemu człowiekowi – powiedziała pani Kimberly – za to, co zrobił Elsie Peabody.

Sherry patrzyła na nią i zdawało jej się, że widzi małą, zwartą duszyczkę, pękającą i rozdartą między obrzydzeniem a współczuciem.

– Co on takiego zrobił? – spytała ze złością pani Moran. – Wstrętny smarkacz! Wojna chemiczna, co? Całe szczęście, że wypila tylko połowę.

Sherry popatrzyła na nią i powiedziała: – A więc to nie potrwa długo. *Wyjdę* z tego. *Przestanie* działać. *Przejdzie*. Och, jaka pani piękna! – krzyknęła na widok wewnętrznego wzoru pani Moran, jej matematyki, tak szlachetnej i porywająco cudownej jak żyłki w marmurze. – Wszystkie panie jesteście piękne – wołała Sherry. – Tak mi się zresztą wydawało.

Myśli błyskawicznie krążyły jej po głowie. Nie była w stanie mówić wystarczająco szybko.

– Słuchajcie panie – wyjąkała. – Ja mam małego synka.

Ujrzała świat i czas w jednym kawałku; chciała im to powiedzieć. *Ja* nigdy nie chciałam wycofać się z tego – pomyślała.

– Posłuchajcie – krzyczała – to fałuje w czasie, prawda? – Pomyślała, że one powinny wiedzieć. Same niemal wciąż fałowały razem z tym. Widziała coś, co przypominało ogromną salę wykładową, nie kończące się rzędy krzeseł, a wszystko fałowało na jakiejś bombonierce. – A człowiek siada w pierwszym rzędzie – powiedziała na głos – kiedy się rodzi, a ktoś z drugiego rzędu pomaga mu iść dalej. I przesuwamy się, przesuwamy kolejno do następnych rzędów. Aż w końcu jesteśmy w ostatnim i za chwilę musimy skończyć szkołę i umrzeć. Ale Ward... – Pomyślała, że Ward *nie zrozumiałby* tego. Ward powiedział, że jest rośliną, formą zbyt prymitywną, aby doświadczyć godności ludzkiej. – Powiedział, że mój ojciec jest rolnikiem – krzyczała – a on projektuje ogrody!

Wiedziała, że zaczynała pomijać niektóre sprawy. Ale nie mogła przestać. – I wszystko inne też może być piękne albo nie – krzyczała – ale co wy tu *robicie*? To taki gatunek!

Pomyślała, że to nieważne, w którym rzędzie się siedzi. Tylko w swoim obecnym miejscu w czasie jest się wolnym. I można wszystko popsuć albo nie. – *Ja nigdy* nie chciałam wycofać się z tego – powtórzyła. – *Wiem*, w którym rzędzie jestem. Powiedzcie im... Bo zaczynam się płatać. Wiem tylko, że... Ja mam małego synka... I jeżeli o tym zapomnę... Och, błagam...

– To nie twoja wina, moja droga – orzekła pani Kimberly i ruszyła się, żeby wstać.

– Oczywiście, że nie! – wybuchła Sherry. – Ale teraz to dzieje się *ze mną*! Muszę postarać się odzyskać dawną świadomość. Pozbyć się tego. Nie chcę opadać i unosić się jak

na wietrze. Bo człowiek jest inny! Chcę odzyskać swój szkielet! I wy też. Wy też.

Oddaliła się w podskokach. Pobieгла przez hol do drzwi frontowych i znalazła się na zewnątrz.

– Dziewczęta – odezwała się pani Moran. – Jeśli to gra, to zdaje się, że właśnie rozdano nam karty.

– Co za szatan – dodała posepnie pani Kimberly.

– No dalej, dziewczęta – rzuciła pani Link. – Trzej aniołowie stróże powinni więc pomóc losowi.

Cliff stał w oknie, kiedy przez prześwit między tablicą a drzewem spostrzegł, jak Sherry Reynard przechodzi na drugą stronę ulicy. Szła dziwnym krokiem. Zdawała się płaszać wesoło jak liść na wietrze. Nie skierowała się ku wejściu do szpitala, tylko w przeciwną stronę. Cliff przycisnął nos do górnej szyby i zobaczył, że skręca do parku.

Jego umysł zaczął z wolna pracować. Zastanawiał się, jak podziałał na nią narkotyk. Nie chciała wiedzieć, więc teraz się dowie. Ciekaw był, czy spowoduje u niej jakieś trwałe skutki. Jedna dawka? A właściwie pół? Tak naprawdę nie wiedział. Nie był też pewien, ile czasu w jej przypadku narkotyk będzie działał.

Jego palce bawiły się następną kostką cukru, zawiniętą jeszcze w folię i spoczywającą w kieszeni. Czy powinien sam spróbować? Był ciekaw. Nie, nie, to głupie. Droga donikąd.

A więc teraz Sherry Reynard idzie *donikąd*? Zęby go bolały, kiedy je zaciskał.

W tym momencie ujrzał, jak Parki, najwyraźniej czymś poruszone, drepcą przez ulicę w ślad za Sherry. Na przedzie szła pani Kimberly, najmłodsza i najzwawsza. Ale tuż za nią, powłócząc nogami, kroczyła niesamowicie szybko pani Moran, ostatnia zaś maszerowała pani Link, najsilniejsza z nich, stąpając ciężko wielkimi stopami.

Cliff wybuchnął śmiechem. Stare kaczkę drepcą w szeregu w pogoni za jednym ślicznym kaczątkiem. Śmiał się aż do łez.

Proszę zrozumieć, najpierw muszę znaleźć lekarza – oznajmił pielęgniarz. – Panie Reynard, ja muszę go zapytać, czy panu wolno. Chodzi o to, że nie mogę brać na siebie odpowiedzialności.

Ward, z naciągniętą jedną nogawką, odrzekł: – Nie będę na niego czekał.

– Tak, ale niech pan posłucha: to niezbyt rozsądne. Nie wychodził pan przez cały czas. Musi pan przygotować się na przesłuchanie dziś po południu. Naprawdę, będzie się pan źle

czuł. Ostrzegam pana.

– Już od dawna źle się czuję. Więc co za różnica?

– Och – jęknęła Emily w drzwiach. – Ward! Co ty wyprawiasz, kochanie?

– Zbieram się do wyjścia – odparł. – Wezmę twój samochód.

– O nie, nie, kochanie. Nie wolno mi na to pozwolić. Wszyscy pomożemy ci później przed przesłuchaniem. Dokąd ty chcesz teraz jechać?

– Sherry ma jakieś kłopoty – oznajmił jej syn. – Muszę jej pomóc. I wiesz co? *Ona* musi pomóc *mnie*.

– Ależ Ward, przecież masz tu wszystko. Ona nie jest lekarzem, kochanie. Nie wiem, o co ci chodzi. (Emily jednak wiedziała.)

– Jeśli ktoś ma mi pomóc, to tylko Sherry – oświadczył Ward uparcie i nieco dziecinnie. – Gdyby tato nie wtrącił się wczoraj wieczorem, ona obiecałaby mi. *Wiem* to na pewno.

– Ale co takiego ona może zrobić, kochanie? To wymaga leczenia, a tatuś chce tylko, żebyś miał wszystko, czego potrzebujesz...

– Więc wybieram Sherry i rezygnuję z tego „wszystkiego” – odparł gwałtownie Ward.

– Zrezygnuję nawet z Johnny’ego. I co ty na to? Weźcie go sobie. Proszę bardzo, to pewnie i tak nie potrwa długo.

Jego oczy nagle znieruchomiały w oczodołach.

– O nie, nie, nie, kochanie – krzyczała Emily. – Musisz być posłuszny i robić dokładnie to, co każe lekarz, i zachować spokój, a potem, już od jutra, poczujesz się lepiej – skłamała. – Poczujesz się lepiej. Nie wolno ci tak się przejmować!

Emily miała w pamięci zeszły wieczór. Jeśli było na tym świecie to coś – coś, czego ona sama nigdy nie miała – coś szalonego, rozkosznego i przerażająco *niebezpiecznego*, czuła przed tym strach. Och, jak drżała...

– Tatusiowi nie spodoba się to – powiedziała, jak kiedyś, gdy Ward miał trzy i pół roku.

– Nie *obchodzi* mnie, co podoba się tatusiowi – rzucił z wściekłością Ward. – Więc lepiej się zamknij, mamo!

– Och, Ward, jak ty *możesz*...

– Proszę posłuchać, przykro mi – wtrącił się pielęgniarz – ale nie pozwolę panu...

– Owszem, pozwolisz – krzyknął Ward. – I masz się zamknąć, ale już. – Ojca nie było.

Uderzył więc pielęgniarza.

Emily wrzasnęła. I był to raczej typowo kobiecy okrzyk. Lokaj siedział w kuchni i

żartował z kucharką. Żadne z nich nie usłyszało, jak krzyknęła.

Cliff Storm zabrał się do pakowania walizki. I nagle uświadomił sobie, że jest tu zupełnie sam. Poza nim nie było w tym domu ani żywej duszy. Ale jego samotność nie potrwa długo!

Mimo woli przyszła mu do głowy myśl: *Nowy Jork to chyba lepsze wyjście.*

Sherry mówiła sama do siebie szybko, choć niezbyt głośno. Jej myśli dwukrotnie szybciej zataczały kręgi wokół jej słów. – Musi mi przejść – mówiła, usiłując opanować się tym wyrzucaniem słów. – Musi mi przejść. Zaraz przejdzie. To nie potrwa długo. To nie potrwa wiecznie. Tylko dlaczego *teraz* zdaje się być „wiecznością”? To chyba gdzie indziej? W takim razie pozbędę się tego. Muszę tylko przez cały czas się ruszać. Trzeba chodzić, to na pewno pomaga. W filmach zawsze tak robią. Oczywiście, spacer to dobra rzecz, a przy tym bardzo dziwna. Spójrzcie na tych wszystkich ludzi, zasuwających na dwóch podłużnych nogach. Czy to nie absurdalne? I wszyscy muszą to robić. I króle, i królowe. Wszyscy poruszają się, stawiając jedną stopę przed drugą i utrzymując w ten sposób równowagę. Całkiem to sprytne. Jestem ciekawa, jak to w ogóle wymyślono.

Stała w miejscu, zastanawiając się nad tym i nad tuzinem innych dziwnych zjawisk, a wtedy Parki otoczyły ją dookoła.

– No, kochana – powiedziała pani Kimberly – teraz będziemy cię pilnować. Unikniesz kłopotów i niebezpieczeństw.

Sherry rozpromieniła się. – Och – westchnęła. – Niebieski jest tak bardzo ważny!

Jej myśli gnały pośród znanych jej pojęć widma, długości fal i tym podobnych; wydawało jej się dziwne, że kolor ma dla ludzkości aż tak ogromne *znaczenie*, skoro to tylko długość fal, na litość boską.

– Oczywiście, i zielony też – bełkotała. – Zielony jest bardzo, bardzo ważny. – Jej twarz zmarszczyła się w grymas płaczu. – Ale przecież ja o tym wiem. Och, przestańcie, proszę! Zostawcie mnie! – Pobiegła po trawniku.

Trzy starsze panie wymieniły między sobą „znaczące spojrzenia” i ruszyły z miejsca. Pośpieszyły gęsiego za uciekającą dziewczyną. Rozproszeni tu i ówdzie pojedynczy bywalcy parku o tak wczesnej porze odwracali głowy i patrzyli, jak dziewczyna w jasnoniebieskim kostiumie skacze po trawie, ubrana na szaro pani Moran z poważną miną przemyka po murawie w pogoni za nią, z tyłu zaś truchta pani Kimberly w granatowym ubraniu, a na samym końcu pani Link w rdzawym brązie bezwzględnie traktuje niewinne źdźbła.

Na piętrze, gdzie znajdował się pokój Warda, pielęgniarz ocknął się na tyle, aby uświadomić sobie, że ma złamaną prawą nogę. Bolała go piekielnie. Podobnie jak głowa, słyszał jednak głosy.

Emily usiłowała powstrzymać syna przy schodach na górze. – Przecież nie wyzdrowiałeś – jęczała. – Nie możesz jechać do Sherry, kochanie. Nie możesz. Nie wiesz nawet, gdzie jest. Nie powinieneś siadać za kierownicą.

– Wiem. Pojadę. I usiądę za kierownicą.

– Ale po co, kochanie?

– Bo ona mnie rozumie i zawsze rozumiała, jako jedyna. Czy ty nie możesz tego pojąć?

– Nie, nie. Weźmiesz rozwód! – Emily pomyślała o tym, jak Edward uciekł i ożenił się z jakąś tancerką z klubu nocnego. Miał wtedy osiemnaście lat. Na szczęście jego rodzina wybiła mu to z głowy. – Przecież się opamiętałeś! – krzyknęła przeraźliwie. Zachwiała się i chwyciła go obiema rękami. – I teraz musisz postąpić *właściwie*. *Musisz!* – A tym, co „właściwe”, była *ona* sama.

Ward odrzekł: – Mamo, zrobię to, co muszę, a nie mam za wiele czasu. A więc usuń mi się z drogi raz na zawsze!

Położył dłonie na jej nadgarstkach, aby uwolnić się od uścisku. Emily jednak przywarła do niego ze wszystkich sił i mocno trzymała.

Sherry stała przy brzegu jednej z sadzawek i kontemplowała wodę. A jeśli zacznie padać deszcz, czy ona to zniesie? Zdawało się, że jest pod wpływem jakichś czarów. Bywało, że czas płynął bardzo powoli. A potem znów śmigał. I przestrzeń też płatała figle.

Pani Kimberly oświadczyła nerwowo: – Kiedyś była ze mnie dobra pływaczka, ale bez tego pasa wyszczuplającego.

– Tu nie jest głęboko – powiedziała pani Moran. – Prawda?

Pani Link zaś, z trudem łapiąc oddech, nie dorzuciła komentarza.

Sherry wyciągnęła przed siebie oba ramiona, jakby chciała objąć niebo. – No dobrze – rzekła apodyktycznie. – Wiem, że tak było. I chciałabym... Och, błagam... Nie, chyba nie. Wiem, że są jakieś prawa. A co to? Krew? Chyba tak... Hm...

Jej myśli gnały pośród znanego jej pojęcia ludzkiego krwiobiegu, który rozprawdzał substancje do różnych miejsc.

Pani Kimberly powiedziała: – Pani Reynard, kochanie? Sherry? Proszę, niech pani



usiądzie na ławce i porozmawia z nami.

– Oczywiście. Oczywiście. Oczywiście – odrzekła Sherry. – Przecież wy ani razu nie oszukałyście mnie. To wy, z ostatnich rzędów, zawsze byliście w pobliżu!

One zaraz zaczną migotać na krawędzi bombonierki, w rytm falowania – pomyślała. – A ja nie chcę, żeby umarły. Umarł już ktoś, kto nie powinien był stracić swego miejsca, ale ja nie chcę tego pamiętać. Odleciałam tylko na krótką chwilkę. Czy nie było mi wolno? To tylko czas na krótką przerwę. I nic złego...

– A właśnie, że tak – krzyknęła głośno. – Dzieje się coś złego. – Zdawało jej się, że brodzi, bardzo powoli, brnąc w zielonej wodzie, a wtedy rzuciła się znowu w bok i szybko wdrapała się po niskim stoku.

Starsze panie westchnęły i podążyły za nią.

Na czerwonym świetle gliniarz na motorze podjechał z przeciwka do Warda. – Po co ten pośpiech, przyjacielu?

– Muszę dojechać do szpitala – odparł Ward. Wyglądał upiornie.

– Da pan radę prowadzić? – spytał gliniarz.

– Chodzi o moją żonę – wyjaśnił Ward. – Zanim będzie po wszystkim, muszę zobaczyć się z moją żoną. O Boże, jeszcze jeden raz!

– Który szpital? – spytał gliniarz w przyпыlywie heroizmu.

Ward powiedział mu.

– Proszę jechać za mną. – Zawyla syrena. Ward ruszył gwałtownie samochodem matki w ślad za sygnałem.

Edward Reynard rzekł stanowczym tonem do swojej sekretarki: – Niech pani to wszystko już sama uporządkuje. Dziś po południu nie będzie mnie. Mam ważne sprawy osobiste.

W kuchni domu Reynardów lokaj opowiedział kucharce sprośny kawał, ta zaś uważała, aby zareagować szokiem, ale i rozbawieniem. Na piętrze obolały pielęgniarz usiłował podczołgać się do telefonu. Było to bardzo powolne i bolesne.

W parku usiadły wszystkie cztery jedna przy drugiej, na ławce, w najbardziej oddalonym od szpitala miejscu. Sherry cichutko śpiewała do słońca. „*Au clair de la lune*”. Dźwięk dobrze jej robił; urzekał ją. Było to niezwykle obce, a zarazem znajome.

Pani Link zajęta była wyrównywaniem oddechu. Pani Kimberly uniosła policzki w wiewiórczym uśmiechu, a pani Moran wyglądała na przygnębioną. – Ta, która chodzi najszybciej z nas – oznajmiła – musi zawołać pomoc ze szpitala.

Pani Kimberly zauważyła: – Najszybsza z nas powinna zostać tu, żeby ją złapać.

– Ja jestem najwolniejsza – wysapała pani Link. – I chyba nie dam rady. Nie jestem już taka młoda.

*Ma chandelle est morte*

*Je n'a plus de feu.*

Sherry zmieniła melodię. – Mam małego synka Johnny'ego... Johnny'ego. Ale nie będę straszyla dzieci. Nie wolno straszyć dzieci. – Przestała śpiewać. – W swoim czasie doznają dość strachu. Bo chociaż wydaje się to proste, tak naprawdę jest *bardzo* skomplikowane. Nie tak łatwo jest być prostym. Och, błagam... – Szlochała i parła naprzód. Napady mijały i wracały. Nie było żadnej pewności.

– Siedz spokojnie. Siedz spokojnie – przemówiła pani Moran. – *Pour l'amour de Dieu.*

– *Ouvre-moi ta porte* – śpiewała Sherry – *pour l'amour de Dieu.* A Elsie to pewnie ma ładny głos. Być może słyszy więcej, niż jest w stanie usłyszeć. I ja też! W takim razie sprawcie, *żeby to przeszło!* Nic więcej mi nie trzeba. A panie też umiecie śpiewać?

– I to bardzo dobrze – oświadczyła pani Moran.

Usiadły w rzędzie na ławce i wszystkie (poza panią Link) zaczęły śpiewać.

Cliff usłyszał syrenę. Wstał z miejsca, w którym siedział, nie do końca spakowany. Wyrzwał na zewnątrz i zobaczył motocykl, który skręcił w dojazd do pogotowia, oraz jadący zygzakiem tuż za nim samochód. A kiedy wysiadł z niego kierowca, poza którym w środku nikogo nie było, Cliff spojrzał jeszcze raz, bardzo uważnie.

O co chodzi? – spytał niecierpliwie młody lekarz.

– Reynard – odparł Ward. – Ja do Sherry Reynard. – Oczy miał rozbiegane. Wyglądał okropnie.

– To nasza pacjentka?

– Nie, nie. Pan nie rozumie. U Peabody.

Zanosiło się na to, że wyjaśnienie całej sprawy potrwa chwilę. Lekarz od razu to zauważył. Gliniarz też. Wzruszył ramionami i odszedł. Miał tylko nadzieję, że spełnił swój obowiązek. Chyba że ten facet to wariat.

Cliff zszedł na dół i zatelefonował do Edwarda Reynarda.

Reynard orzekł natychmiast: – Bądź w biurze Murchisona o pierwszej i przynieś to, co masz. Ona jest w fatalnym stanie, możesz mi wierzyć. Sądzę, że już pewnych rzeczy żałuje.

– Naprawdę? – spytał Cliff, zdumiony.

– Zrobiła niezłą scenę wczoraj wieczorem u nas w domu. A przy okazji: to ty zabrałeś jej pieniądze?

– Tak jakoś przez przypadek – odparł Cliff. – Czy ona chciała... pogodzić się?

– Ona nie ma na co liczyć – burknął Edward. – Murchison mówi, że musimy przyprowadzić Warda, ale on niewiele powie. Co do niego będziemy szczerzy.

Doprawdy? – pomyślał Cliff.

– No dobrze, to *masz* coś? – dociekał Reynard.

– O tak – rzekł Cliff. – I przyjadę.

Rozłączył się. Po co być szczerym?

Nie powiedział Edwardowi, że Ward jest akurat po drugiej stronie ulicy i z całą pewnością szuka swojej żony. Cliff nie miał wątpliwości co do tego, że się pogodzą. A to wszystko zepsuje. Więc jaki jest sens?

Wszedł po schodach, aby skończyć dopiero co zaczęte pakowanie. Najpierw jednak popatrzył przez okno.

W parku Sherry znów biegła po trawie.

– Ona pędzi jak wiatr – wysapała pani Moran.

– Nasza Link, kochanie? – zawołała zdyszana pani Kimberly.

– O nie... Ja mam dosyć... dziewczęta. – Pani Link wdychała głęboko i wydychała powietrze. – Idźmy po rozsądek do głowy. – Usiadła.

– Dobrze – wychrypiała pani Moran. – Wszystkie nabierzemy tchu. I za chwilę pójdziemy po pomoc. Którakolwiek z nas da radę.

Wszystkie trzy usiadły na ławce, jedna przy drugiej, w blasku słońca. Pani Moran mamrotała: „Na miłość boską, na litość boską...” I starczą ręką zakryła oczy.

A Sherry znowu mówiła sama do siebie. – Czy ja chcę biec? Czy ja muszę biec? Wydaje mi się, że był jakiś powód. Instynkt? Kto to powiedział? Wolę biec, niż iść. Naprawdę. Chodzenie jest idiotyczne. A więc biegnę. Czy to nie miłe? A przy tym trochę głupie. Nie mam dokąd biec. To dlatego, że liczy się tylko chwila obecna. Ha! Pamiętam jednak, że kiedyś *był* czas, i mijał. A człowiek planował od chwili obecnej do innego momentu. I pamiętam, że podobało mi się to. Planować, żeby... co? Coś mi uciekło. Żadnych kolorów, wszystkie kolory. Żadnego czasu, cały czas. Nigdy nie powiedziałam, że bycie niczym nie może być przyjemne. Może. I może być po prostu wszystkim. Co *nie znaczy* czymkolwiek, oczywiście...

Zaczęła się śmiać – to jakby to samo, co płacz. Zieleń trawy sięgała jej do kolan. Błękit nieba opadał jej na oczy, na podbródek. Ujrzała plamy o innych barwach. Wyciągnęła prawą rękę i zacisnęła palce w pięść. Szepnęła coś jednym tchem; zatrzymała to w myśli.

Cliff widział ze swego okna, jak Ward bezmyślnie wyskakuje na ulicę. Jakiś samochód zahamował gwałtownie, ale Ward szedł naprzód. Zmierzał prosto do pensjonatu. Pchała go jakaś siła, jak gdyby miał wdrzeć się do środka gołymi rękami.

Cliff odwrócił się od okna, podejmując w myślach jeszcze jedną próbę. Był zupełnie sam. Czy można to wykorzystać? Czy mógłby namówić Warda do czegoś lub wyperswadować mu coś?

Zaczął dzwonić dzwonek. Rozlegał się piskliwie po pustej przestrzeni. Uszy od tego bolały. Cliff wybiegał już z pokoju, gdy przyszła mu do głowy pewna myśl. Skąd ma wiedzieć, co Sherry powiedziała wczoraj wieczorem Wardowi o poczynaniach jego kumpla ze szkoły, Cliffa Storma? Możliwe, że Ward przemyślał to wszystko i przyszedł tu, żeby się poskarżyć. Cliff wziął z komody nożyce, które pożyczył od Joe Bianchiego. W takie kłopoty się nie wpakuje, nie on. Wystarczyło mieć narzędzie. A groźba zadziała. Jak zawsze, prawda?

Zszedł po lśniących drewnianych schodach i otworzył drzwi frontowe.

Ward Reynard spojrział na niego przerażającym wzrokiem. Z jego ust wyrwał się dziwny, przyciszony, krótki jęk. Wpadł do holu. Pośpiech gnał go tak, że wyminął Warda, ale zawrócił.

Cliff zamknął drzwi. – O, cześć! Zaraz, zaraz, czy to nie Ward? – odezwał się po staremu.

Ward jednak przeżywał najgorszy koszmar. Wydał z siebie pomruk i zaczął wymachiwać prawą ręką. Cliff został przyparty do drzwi. Chwileczkę! *Jemu* nie może

fizycznie stać się żadna krzywda. Ej! Trzymał nożyce groźnie, od dołu. – Przestań! – krzyknął. – Ostrzegam cię!

Ale Ward, do którego nie docierały ludzkie groźby, rzucił się gwałtownie do przodu. Tak więc Cliff zabił go.

## Rozdział 20

I gdzie ona teraz jest? – spytała pani Moran.

– Nie widzę jej – odparła pani Kimberly, marszcząc nos z wysiłku. – Chyba zboczyła z drogi, którą szliśmy.

– To może poszła z powrotem do domu?

– Możliwe, że tak.

– No cóż – orzekła pani Moran. – To chyba dla niej najbezpieczniejsze miejsce.

Pani Link swoim zwyczajnym głosem dodała: – Dziewczęta, to nic, że siedzę już w ostatnim rzędzie, ale to jeszcze nie koniec szkoły.

Zatrzęsły się ze śmiechu i rozweseliły się nieco.

Cliff popatrzył w dół na zwłoki Warda w miejscu, w którym leżały: szyja i ramiona na dwóch pierwszych stopniach, szeroko rozłożone długie nogi i krew zalewająca błyszczący parkiet podłogi w holu, tam gdzie leżał zmięty dywanik w stylu orientalnym.

Boże, jak szybko! Jak *szybko* przyszło mu zabić człowieka! I bez żadnych szczególnych emocji. Cliff czuł się ociężały i oszukany.

Kiedy tak się przypatrywał, rozległ się jakiś trzask. Przez otwór w drzwiach wpadła kaskada listów, ulotek, a na koniec: plask! – jedno czasopismo. Część tej porannej poczty wpadła w kałużę krwi.

Cliff cofnął się. Podszedł tyłem aż do lustra. Kątem oka ujrzał swoją twarz. Nie wyglądał na mordercę. Raczej na wystraszone małe dziecko. Odwrócił wzrok.

Potem popatrzył na swoją prawą dłoń. Była czysta. Nie widział na niej krwi. Skończmy z tą diabelnie niezręczną sytuacją – pomyślał chłodno. Otworzył małą szufladę stolika o półkolistym blacie i wyjął parę nożyc. Należały do pani Peabody. Widział, jak używała ich do cięcia papieru.

Miał wrażenie, że jego uszy rozciągają się na metr długości, kiedy zakradał się z powrotem do miejsca, w którym jego dawny kolega leżał we krwi, zasypyany pocztą.

Serce Cliffa biło powoli i miarowo. To nie zabawa. Powinien wykazać się pomysłowością. A zarazem pośpieszyć się. Pociągnął za nożyce wbite głęboko w ciało, pod żebrami. Wymagało to siły, a siłę miał. Musiał mieć. Niemalże oparł jedną stopę o zwłoki przy wyciąganiu nożyc Joe, a następnie niechętnie, lecz z nagłym zacięciem wbił w ranę nożyce właścicielki domu. Umazał krwią ich uchwyty. Pomyślał, żeby podnieść tę rękę i zrobić odciski. Tak nakazywała norma. Ale nie mógł. Do diabła z tym.

Ostrożnie obszedł głowę i ramiona i skrzypiąc, cicho ruszył schodami na górę. Uznał, że jeśli da radę spakować się i wyjść, jeszcze zanim ktoś wróci, wszystko będzie w porządku.

Nożyce chirurgiczne zabrał do łazienki. Zwymiotował do umywalki. Potem odkręcił wodę i zmył wszystko. Wytarł ręcznikiem do rąk. Następnie nalał do umywalki wody i wsunął nożyce, żeby się zamoczyły. Na sam wierzch wrzucił też ręcznik.

Pamiętaj o technice – pomyślał nerwowo. – Te dzisiejsze cuda techniki, pamiętaj!

Wszedł do swojego pokoju i wypił maleńki łyżeczek z butelki whisky. Nie podziała mu dobrze na żołądek. Odstawił ją więc i zaczął gorączkowo pakować się. Głowę miał ociążałą, myśli pogmatwane. Wyprostował się, przeszedł na palcach i zamknął drzwi do swego pokoju. Nie wiedział, po co.

Ruszył do tyłu w stronę łóżka, ale zatrzymał się przy oknie. Przyciskając nos do szyby, popatrzył możliwie najdalej w lewo i ujrzał ją. Sherry była tam, przy bramie parku. Rozmawiała z baloniarzem. – Teraz to już wdowa – pomyślał Cliff. – Wdowa ubrana na jasnoniebiesko.

Widział, jak dała mężczyźnie pieniądze, a przynajmniej tak mu się zdawało. Mężczyzna wręczył jej jakieś przedmioty. Rozmawiali. Po chwili włożyła coś do torebki i odeszła w podskokach. Boże, ależ ona zgrabnie się porusza! Powinna być tancerką... Sherry biegnie przez ulicę. Idzie tutaj!

Nie wiedział, co nastąpi. Wszystko było w rozsypce. Wytężył umysł.

No dobrze, dobrze, dobrze. Teraz więc nie może wyjść frontowymi drzwiami. Dlaczego nie? Bo jeśli ona zauważy, że on wychodzi, *a potem* natknie się na masakrę na parterze... Chwileczkę, chwileczkę. O ucieczce frontowymi drzwiami nawet nie powinien był myśleć. Może wyjść tyłem, przez kuchnię, albo drugimi drzwiami z jej pokoju. Nie, nie może. Jest ranek, biały dzień. Po co ma taszczyć walizkę alejką, skoro jego samochód zaparkowany jest przed domem? A gdyby zakradł się do samochodu wzdłuż żywopłotu, to też wyglądałoby podejrzanie. Ktoś by zobaczył. – Nie mogę myśleć – oświadczył na głos. – Coś mi nie pasuje.

– Po chwili dotarło do niego, co mu nie pasuje. Po co zawracać sobie głowę walizką? Już dawno mogło go tu nie być. Chyba oszalał!

Usłyszał coś. *Ward?* Serce mu zamarło. Otworzył drzwi pokoju; na palcach zbliżył się do szczytu schodów.

Frontowe drzwi były uchylone. Otworzyły się na tyle szeroko, na ile pozwalały nogi leżącego Warda. Odgłos, jaki usłyszał, brzmiał dziwnie. Było to jakby gaworzenie. Śmiech? Sherry? Tam, na dole? *Śmieje się!*

Usłyszał, że odgłosy układają się w urywane wypowiedzi: – Same szmaty... To pewnie dlatego... I ta cisza? Ktoś chyba tam wie... No to spróbuj, no, spróbuj... I zamknij się! Och!

Cliff poczuł się jak sparaliżowany. Wtedy uświadomił sobie, że ona wykręca numer na aparacie. Słyszał ten terkot. I coś jeszcze.

Pani Moran oznajmiła: – Drzwi są otwarte. – A zaraz potem bardzo surowo spytała: – A to co?

Usłyszał krótki, przenikliwy wrzask pani Kimberly.

A pani Moran rzekła: – Ostrożnie, koleżanko. Coś się tutaj stało.

Usłyszał, jak ciężki krok pani Link ustał na chwilę, a potem rozległ się znowu. – Kto to jest? – spytała powściągliwie.

Usłyszał, jak Sherry Reynard odpowiada piskliwie: – To mój mąż. Ale nikt nie odbiera telefonu.

Pani Moran spytała: – A wrzuciłaś dziesięciocentówkę?

Cliff otrząsnął się z paraliżu. Usłyszał wrzask pani Kimberly. Musi zareagować, jak gdyby... jak gdyby... Zszedł schodami na dół, stanął na podeście, krzyknął, popatrzył, zapamiętał scenę. Czuł się jak kompletny kabotyn, ale nic nie mógł na to poradzić. Parki, które zwróciły ku górze swoje starcze, a przy tym zaszokowane twarze, najwyraźniej nie oceniły krytycznie jego gry.

Zszedł więc prędko na dół do miejsca, w którym leżał Ward, i szybko pochylił się nad nim. – To Ward Reynard – orzekł. – Facet nie żyje! Co tu się stało? – I wciąż odwracał głowę na tyle daleko, aby móc patrzeć na Sherry.

Ona zaś powiedziała: – Zapłaciłam piątką. I jeszcze pięć centów. A więc teraz mam cztery dolary i dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe. Popatrzcie tylko! Jakie to zawile!

– Panie Storm – odezwała się pani Moran bardzo poważnie. – Proszę zadzwonić na policję. Cokolwiek wydarzyło się tutaj, każdej z nas przybyło trochę lat.

Dostał swoją rolę. Zaraz też domknął frontowe drzwi. (Zwrócił uwagę na swoje odciski palców.) I powiedział: – Nie chcemy chyba, żeby państwo Peabody zastali taki widok. – Dużymi krokami podszedł do telefonu, szukając w kieszeni drobnych. Sherry błędnym krokiem odeszła do salonu.

Cliff szybko uporał się przy telefonie; zgłosił zabójstwo, w miarę możliwości zwięźle zdając raport. Na tym właśnie polegała teraz jego rola. Człowiek, który nic nie wie, nic nie słyszał, a który, rzecz jasna, przejął nad wszystkim kontrolę.

Z zatroskaną twarzą odwrócił się do starszych pań (co akurat nie sprawiło mu żadnego kłopotu). – Mam wrażenie... Czy z nią coś nie tak? Czy któraś z pań wie, kto jest jej adwokatem?

Wszystkie trzy patrzyły na niego z powagą.

– Może spróbuję zapytać ją? – odezwała się po chwili pani Kimberly.

Sherry rozsiadła się na fotelu. – *Au clair de la lune* – nuciła cicho. Na kolanach huśtała małą szmacianą lalkę.

– On nazywa się Allen Jordan. Powiedziała nam dzisiaj rano. Nie ma powodu, żebyśmy zupełnie tracili głowę – rzekła pani Moran.

– Ale ona chyba nie mogła *tego* zrobić! – Cliff zniżył głos. – Przecież panie z nią były, prawda?

– Do chwili, gdy ją zgubiłyśmy – odparła smutno pani Link.

– Niech pan zadzwoni do jej adwokata – nakazała pani Kimberly. – Ona zachowuje się dziwnie. Tu coś nie gra.

A Cliff już zaczynał trzeźwo myśleć. – Zadzwonię zaraz – powiedział. – A teraz najważniejsze, żeby nikt z nas niczego nie dotykał. Najlepiej będzie usiąść i spokojnie poczekać na właściwe osoby.

– My też bywałyśmy w kinie – rzuciła pani Moran nieco wybuchowo. – Wiemy, co robić. Niech pan dzwoni do jej adwokata.

Parki odwróciły się wszystkie, choć niezbyt gwałtownie – przez szacunek dla zmarłego. Uroczyście udały się do salonu.

Cliff odnalazł w książce numer telefonu Allena Jordana. – Proszę pana, pańska klientka, Sherry Reynard, chyba ma kłopoty – oznajmił tamtemu. – Jest na kwaterze u pani Peabody. Nikt nie wie jeszcze, co tu się stało, ale jest tu też Ward Reynard, zakłuty na śmierć.

Jordan, bez szczególnego podnoszenia głosu i podekscytowania, odparł, że przyjedzie tam natychmiast. Wiedział, gdzie to jest.

Kiedy Cliff odwiesił słuchawkę, chwilami mimowolnie notował sobie coś w głowie.



Ludzie nie histeryzują tak bardzo, jak sobie wyobrażał. I *on sam* też nie histeryzował. Czuł teraz w sobie ożywienie i przebiegłość.

Dostał swoją rolę. Męski, twardy, stworzony do ciężkich, przykrych, koniecznych zadań.

Odezwał się, niby do siebie, chociaż wiedział, że Parki słuchają: – Powiniennem zadzwonić do jego ojca. Boże! Nie chcę tego robić!

Odszukał więc numer Murchisona.

– Panie Murchison, tu Cliff Storm. Obawiam się, że mam wstrząsającą wiadomość.

Murchison słuchał, zapisał adres miejsca, z którego dzwonił Cliff, powiedział, że na pewno poinformuje Edwarda Reynarda, i rozłączył się. Wiadomość przyswoił błyskawicznie i z powagą, okazując tyle samo werbalnego wzburzenia co jego kolega po fachu.

Cliff zwrócił się do Parek. Uznał, że sam zachował się właściwie. I bardzo lojalnie. Kobiety stały w gromadce.

– Nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać – oświadczył cicho.

Pani Kimberly podreptała do Sherry. – Moja droga – rzekła nieco surowo – twój mąż nie żyje. Musisz usiąść prosto i obciągnąć spódnicę.

– Ale dlaczego? – dopytywała się Sherry. – Dlaczego?

– Jak on się dostał do holu? – zastanawiała się pani Moran. – Chyba że ktoś go wpuścił. – Natknęła się na wzrok Cliffa. Staruszka bała się, zachowała jednak odwagę. – Pan tu był, prawda, panie Storm?

– Tak, zgadza się. Byłem na górze. Pakowałem się – odparł. – Drzwi do mojego pokoju były zamknięte. Nic a nic nie słyszałem. Wiem, trudno w to uwierzyć.

– I pan był po jego stronie? – spytała pani Link.

– Tak, oczywiście, że tak. – Cliff westchnął. Rozłożył palce, ukazując dłonie. – Ale przegrałem. Na pewno. Tylko teraz to już bez znaczenia. – *Cui bono?* Przypomniał sobie to wyrażenie. Czyj pożytek?

– Skoro jestem wdową – odezwała się Sherry głośno i wyraźnie – nie muszę brać rozwodu, prawda?

Wszyscy zamilkli.

– To dobrze – mówiła. A w myślach dodała: tak naprawdę nigdy nie chciałam brać rozwodu. Chodziło tylko o to, że Ward nie mógł mieć Johnny’ego, a Johnny’emu potrzebny był ktoś. Teraz jestem tylko ja, nie będzie już żadnych kłótni, i tym lepiej dla Johnny’ego. Wszystko to błyskawicznie przemknęło jej przez myśl, za szybko, żeby powiedzieć. Na głos dodała tylko: – O tak, teraz jest o wiele lepiej.

Wszyscy milczeli. *Cui bono?* – pomyślał Cliff.

Przyjechała policja.

## Rozdział 21

Przyjechała ich cała chmara. Dowodzący nimi mężczyzna był w cywilu. Miał piękną czuprynę blond, zaczesaną z przedziałkiem na boki, opadającą drobnymi kędziorkami na jedną stronę głowy niczym miniaturowa spieniona fala. Twarz miał bardzo charakterystyczną i dość mięsistą, a spojrzenie przenikliwe i chłodne. Mówił cichym głosem; inni mężczyźni szybko zostali przydzieleni do swoich zadań.

Ich zwierzchnik przedstawił się jako Clyde Palmer, porucznik z wydziału dochodzeniowego. Chciał wiedzieć, kim była ofiara. Cliff powiedział mu.

– A kim jest pan?

Cliff wyjaśnił mu. – Mieszkam tu tymczasowo. Mam pokój na piętrze. Znam... znałem... Warda Reynarda od dzieciństwa.

– On tu mieszkał?

– Nie, nie.

– Przyszedł zobaczyć się z panem, tak?

– Nie wiem. Ale wątpię. Jego żona też wynajmuje tu pokój. Czekają na rozwód.

– Rozumiem. – Porucznik rozumiał aż za wiele, a przynajmniej tak mu się zdawało. –

Pan przyjaźni się z jego żoną, tak?

– Odkąd tu jestem. Wcześniej prawie się nie znaliśmy.

Porucznik niezupełnie w to wierzył. Po jednym spojrzeniu odgadł, która z pań siedzących w salonie to żona Warda Reynarda.

– Pani jest jego żoną?

Sherry odparła wesoło: – O nie, ja jestem jego wdową. I to w samą porę. – Oczy jej błyszczały. Myślała o tym, że ich małżeństwo przetrwało aż do śmierci i że chętnie to powie. Bo taka była prawda.

Pani Moran odezwała się surowo: – Jej adwokat jest już w drodze.

– Rozumiem. – Porucznik odwrócił się. – Kto znalazł ciało?

– Pewnie pani Reynard – odrzekł Cliff. – Ja byłem cały czas na górze. Nie słyszałem, jak przyszła ani... co się stało. Nie bardzo rozumiem... – Jego podenerwowanie było czymś

naturalnym.

– A gdzie pan konkretnie był? – (Cliff odpowiedział.) – Czy na górze był ktoś jeszcze?

– Ani żywego ducha – rzucił Cliff. – I z tego, co wiem, na dole też nikogo nie było. – No i znalazł się w tarapatach. Ale przecież szczerść jest mile widziana, prawda? (*Cui bono?* – powiedział sam do siebie na pocieszenie.)

Przybyło więcej ludzi. Jakiś człowiek zaczął robić zdjęcia, dziesiątki zdjęć. Inny nowo przybyły, najwyraźniej lekarz, przyciągnął uwagę porucznika. Jakiś człowiek z dłonią na karabinie wszedł na górę. Cliff słyszał nad głową odgłosy otwieranych i zamykanych kolejnych drzwi. Człowiek zszedł bardzo szybko i udał się do jadalni. Tylko sprawdza – pomyślał Cliff.

W holu wrzało i roіło się. Parki usiadły; pani Moran i pani Link na dwuosobowej kanapie, a pani Kimberly w fotelu pod kątem prostym do nich. Wybrały sobie korzystne miejsce, aby obserwować i słuchać.

Sherry bardzo cichutko zaczęła śpiewać małej szmacianej lalce kołysankę.

Cliff stał pod ścianą przy lustrze, żeby nie wchodzić tamtym w drogę. Nie wiedział, co się dalej stanie. Musi obserwować i słuchać wszystkiego, co ci ludzie mówią i robią; słyszał jednak tylko jej śpiewny głos, który działał mu na nerwy.

Policjant wyszedł z jadalni i ruszył do części damskiej. Cliff pomyślał o pieniądzach i tajemniczej nazwie. Ale mężczyzna najwidoczniej nie przeszukiwał szuflad komody. Wrócił do holu. – Nikogo – powiedział do porucznika.

Zdawało się, że w holu panuje zamieszanie, ale tylko pozornie. Sytuacja ta przypominała Cliffowi nie scenę z filmu, ale sztucznie wywołany chaos na planie podczas kręcenia takiej sceny.

Przyjechał Allen Jordan. Przedstawił się, pozwolono mu wejść, natychmiast poszedł do Sherry, wziął ją za rękę, ściągnął z fotela, na którym się rozłożyła, i zaprowadził dalej na sofę, w głąb salonu, skąd nie widziała, co dzieje się w holu, i gdzie sama była niezauważalna. Jordan zaczął zadawać swojej klientce pytania.

Ta powiedziała, z błyszczącymi oczyma: – Wcale nie czuję, żeby on *tam* był. Na *podłodze*? Jak szmaciana lalka... Szmaciana...

Adwokat spostrzegł nadchodzącego porucznika i uciszył ją. Nie bardzo wiedział, co się z nią dzieje. Nie zachowywała się normalnie; tego był pewien.

– Jak słyszałem – powiedział porucznik Palmer – to podobno pani Reynard znalazła zwłoki. Chciałbym ją o to zapytać.

– Czy to prawda, Sherry? – spytał Jordan. – Odpowiedz tylko.

– No, wie pan – odparła Sherry, dla której czas kłębił się, zwijał samoistnie, po czym znów powiewał, rozplywając się na wszystkie strony – on skrzywdził Johnny’ego. Rzucił małego, biednego Johnny’ego na drugi koniec kuchni. Ja nie mogłabym tego zrobić. Ja nie mogłabym tego zrobić. – Poweselała. To prawda. Sherry nie mogłaby tego zrobić. Nigdy. Uśmiechnęła się więc.

Jordan odezwał się: – Myślę, że z przesłuchaniem jej będzie musiał pan poczekać, poruczniku.

– To dziwne, ale ja nie miałam nic *przeciwko* temu – ciągnęła Sherry.

– Cicho – nakazał jej Jordan.

– Bo jeśli nic nas nie rani, to znaczy, że jesteśmy niczym – podsumowała i pomyślała: „Przechodzi! Zaczynam mówić do rzeczy”. – I uśmiechnęła się znowu.

– Szok? – zapytał porucznik, wymieniając z Jordanem krótkie spojrzenie. Następnie odszedł, aby przesłuchać Parki.

– Faktów pan sobie życzy, proszę bardzo – oświadczyła szybko pani Moran. – Nasze zeznania jako świadków naocznych. Czyste fakty, żadne pogłoski.

Porucznik, nieco rozbawiony, przyznał, że to mu wystarczy.

I opowiedziały mu. Mówiła jedna na raz, a wszystkie trzy zgodnie potakiwały skinieniem głowy. Opowiadały, jak poszły za panią Reynard przez ulicę do parku, gdzie towarzyszyły jej i obserwowały ją przez jakiś czas. Od mniej więcej piętnaście po ósmej aż do... chwili, gdy spoczęły na ławce, bo wtedy uciekła im.

Tak, poszła w stronę tego budynku. Nie, nie były pewne, czy idzie do pensjonatu. Nie mogły też podać mu dokładnej godziny ani czasu, kiedy straciły ją z oczu. Parki miały określić godzinę, o której same dotarły do domu, ale nie potrafiły. Czy pani Reynard była tu o tej nieokreślonej godzinie? Była. Rozmawiała przez telefon albo próbowała gdzieś się dodzwonić. Wreszcie porucznik dowiedział się, jak Cliff znalazł się na dole (po tym, jak usłyszał krzyk pani Kimberly), spojrzął na zwłoki, zamknął drzwi frontowe i wykonał kilka telefonów.

– A więc pani Reynard przyszła tu *przed* tymi paniami? – porucznik akurat bezpośrednio przesłuchiwał Cliffa. – A jednak nie słyszał pan, jak pani Reynard krzyknęła?

Nie, Cliff nie słyszał.

– O, na pewno krzyknęłam! – zapewniła Sherry. – Krzyknęłam w myślach. Krzyknęłam: okrutne mor...

Jordan zakrył jej usta dłonią.

(Powinnam była – myślała. – Ale czy rzeczywiście krzyknęłam? Nie wiem, czy

krzyknęłam, czy nie. *Gdzie ja byłam?* Och, co się dzieje? Ward nie żyje? No tak, ale przecież on już *nie żył*. Pamiętam już, jak musiałam przypominać sobie o tym. Ale co się dzieje teraz? Czy *to* jest teraz?)

Była przerażona. Zrozumiała, że coś się stało, coś się działo i coś się może wydarzyć. Zamknęła oczy, usiłowała wyłączyć słuch i wciąż starała się uporządkować czas.

Porucznikowi przyszło na myśl, aby zapytać o coś Parki. – A dlaczego w ogóle poszłyście panie za panią Reynard?

– Bo *zdawało nam się* – odparła pani Moran z szerokim uśmiechem – że nafaszerowano ją narkotykami.

Porucznik powtórzył: – *Nafaszerowano* narkotykami.

– I wiemy, kto to zrobił – dodała pani Kimberly – ale nie mamy dowodów.

– Nie widziałyśmy, jak to się stało – potwierdziła pani Link – ale wiemy, oczywiście. I wszystkie trzy zacisnęły skromnie wargi.

Porucznik rzucił okiem na Sherry i zmienił temat. – O której dostarczają tu pocztę?

Powiedziały mu, że zazwyczaj przed dziesiątą, z drobnymi wahaniami. Porucznik spojrzał na zegarek i poinstruował jednego ze swoich ludzi, po czym znów zwrócił się do Cliffa.

Cliff pragnął, żeby trzy staruchy siedziały cicho. I tak nie miały dowodów i nic nie widziały, bez względu na to, co mówią; one *nie wiedzą*, że podał Sherry narkotyk. Cliff postanowił nie sugerować nic więcej ponad to, co konieczne. Tak na pewno będzie rozsądnie. Trzymał się wersji, że przebywał w domu zupełnie sam, na górze, kiedy dokonano tego czynu. I nic nie słyszał. Aha, i znalazł na to pomysłowe wytłumaczenie, kiedy tak stał spokojnie, opierając się o ścianę.

A porucznik rzeczywiście zainteresował się jego wybiórczym zanikiem słuchu.

– No tak – mówił Cliff. – Nie słyszałem żadnych krzyków, odgłosów kłótni, uderzeń czy trzasków. Ale słyszałem bardzo dobrze wrzask pani Kimberly, kiedy tu weszła. I to sprowadziło mnie na dół. Chociaż wcale nie było głośno.

– I jak pan to wytłumaczy?

– Jedyna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy – odparł Cliff – to... Znajdujemy się przecież, jak pan widzi, naprzeciwko szpitala, a wejście do pogotowia jest zaraz na wprost. Wiele razy w ciągu dnia słyszymy karetki na sygnale. Gdyby karetka wjeżdżała akurat wtedy, kiedy to się stało, cokolwiek to było, nie usłyszałbym... Nie mógłbym usłyszeć nawet strzału z broni.

– Nie było strzału z broni – oznajmił porucznik. – A skoro o broni mowa...

Jakiś człowiek przyniósł mu zaraz tacę, na której leżały nożyce. Cliff podrapał się nerwowo po szyi i zrobił krok w tył.

– Poznaje pan te nożyce? Pochodzą z tego domu, tak?

– Nie wiem – odparł Cliff.

Ale Parki wiedziały. Zdawało im się, że to nożyce pani Peabody. A kim ona jest? Właścicielką domu. Gdzie jest? Nie wiedzą, ale Cliff coś wiedział. Właścicielka wraz z mężem wcześniej wyszli z domu i, jak sądził, zabrali dokądś swoją córkę. Chodziło o zapisanie jej do jakiejś szkoły. Do szkoły specjalnej. Ich córka jest umysłowo opóźniona. Ale porucznika nie interesowała córka państwa Peabody.

– Gdzie zazwyczaj właścicielka przechowuje te nożyce?

Parki odparły, że przeważnie leżą one w szufladzie stolika pod lustrem.

– Czy dzisiaj rano też tam były?

Tego nikt nie wiedział. Parkom zdawało się, że na blacie stolika nie leżały dziś rano żadne nożyce. Ale to jedynie, jak sumiennie dodały, ich wrażenie.

– Ward Reynard, ofiara, był przedtem w tym domu, tak? Znał go? Wszyscy sądzili, że nie. Nie.

– A czy *pani* Reynard wiedziała, gdzie przechowywane są te nożyce?

Jordan wtrącił się: – Może zapytają pan jutro. A przy okazji: wolno spytać, czy mogło to być samobójstwo?

– Możliwe – przyznał porucznik. – Straszny sposób na odebranie sobie życia, ale zdarza się.

– Harakiri? – rzucił Cliff i napotkał surowe spojrzenie, które mówiło, że przecież nikt go nie pyta.

– A drzwi frontowe? Zawsze zamykane są na klucz? – Porucznik rzucił to pytanie w próżnię.

– O tak – odpowiedzieli mu. A wszyscy lokatorzy mają klucze.

– Ten człowiek nie był lokatorem. Kto go wpuścił?

Tego nikt nie wiedział. Parki oznajmiły, że kiedy przyszły, drzwi były uchylone.

Wtedy przemówiła Sherry, aż wszyscy podskoczyli. – Nigdy nie wiadomo, co się znajduje po drugiej stronie drzwi. Tak, drzwi... – Wymawiała to słowo ze smakiem.

– Proszę cię, rób, jak ci radzę, Sherry – powiedział nerwowo Jordan. – *Proszę*, nic nie mów. Nie teraz.

– Kiedy właśnie w tym rzecz – ciągnęła – że ja wcale *nie* chcę. – Jego miła, zatroskana twarz zaczęła oddalać się. Odplynęła długim tunelem i zrobiła się jeszcze mniejsza. – Nie

odchodzi – szepnęła. Objął ją ręką, a ona zamknęła oczy i przycisnęła twarz do jego ramienia. (Niech cały świat mnie nie opuszcza! – wołała w myślach. – Bo skąd będę wiedzieć, czy istnieję naprawdę?)

Uporczywy głos w holu oznajmił przybycie Sama Murchisona. – Jestem adwokatem. A to ojciec chłopaka, pan Edward Reynard.

Cliff jeszcze mocniej przywarł do ściany. W domu zapadła cisza. Edwardowi Reynardowi pokazano twarz nieżyjącego syna. Kiwnął głową i odwrócił się. Cliff wyteżył słuch, aby wyłowić treść cichej narady, podczas której Murchison zadawał szczegółowe pytania, a porucznik odpowiadał szeptem. Edward Reynard słuchał z kamienną twarzą.

Inni czekali, żeby zabrać już ciało. Wydano im pozwolenie. Na zewnątrz (zauważył z przerażeniem Cliff), na chodniku zebrał się tłum. Po raz pierwszy jasno zdał sobie sprawę z tego, że *Ward nie żyje*. Przecież już teraz nic na to nie poradzi, prawda?

Murchison ruszył w krok za Edwardem Reynardem, gdy ten przeszedł do salonu. Twarz Reynarda wyglądała jak pergamin. Cliff przestąpił z nogi na nogę i odchylił się od ściany do przodu. – Bardzo mi przykro, proszę pana.

Reynard spojrział na niego tak, jakby nigdy przedtem go nie widział.

– Gdzie ona jest? – spytał szorstko.

Murchison odparł szybko: – Niech pan będzie cicho. Nalegam, żeby pan milczał. Proszę pozwolić, że ja się tym zajmę. – Adwokat Reynarda podszedł do prawnika Sherry. (Jak sekundanci w pojedynku – pomyślał Cliff.) – Chcę zadać jej tylko jedno pytanie – mruknął Murchison – odnośnie Emily Reynard.

– Przykro mi – odrzekł Jordan. – Nie mogę pozwolić, żeby odpowiadała na jakiegokolwiek pytania.

Ale Sherry podniosła głowę i powiedziała: – Widzę ją. Jak żywą! (Ha! *Jemu* też nie uda się nad nią zapanować – pomyślał sobie Cliff.) – A to on! – krzyknęła, wskazując na Reynarda. – To mój wróg. I ten też. – Wskazała na Cliffa. – I on wcale nie jest *umierający*!. Bo ja...

Jordan zdołał znów zakryć jej usta dłonią. Przyciągnął ją bliżej na sofę. Powiedział smutno: – Musisz być cicho.

Reynard odezwał się szorstko: – Dość już tego, prawda?

– Dość czego? – spytał Jordan. – Ona jest w takim stanie, że absolutnie nie odpowiada...

– Nie obchodzi mnie, w jakim jest stanie – rzucił Reynard z goryczą. – Z tego, co właśnie zrozumiałem, pytanie jest jedno. – Stał wyprostowany: mały człowieczek, cały

sztywny. – Kiedy *ona* weszła do tego domu, czy Ward był już martwy? Czy może jeszcze żył? I powiedzcie mi, skąd *ona* wie, że moja żona nie żyje, skoro mój syn nie żył i nie poinformował jej o tym! – Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się przewrócić.

– Niech pan usiądzie – nakazał Murchison. – Niech pan usiądzie. – Zwrócił się do porucznika: – Dla tego człowieka to już za wiele na jeden dzień. Jego syn cierpiał na... z braku lepszego określenia nazwijmy to: rozstrój emocjonalny. Dziś rano, kiedy wychodził na poszukiwanie swojej żony i Emily Reynard usiłowała go powstrzymać, Ward Reynard zepchnął ją ze schodów. Nie ma wątpliwości co do dalszych wydarzeń. Jego pielęgniarz został ranny. Ma złamaną nogę. Nic nie mógł zrobić. Ale wszystko słyszał. Nieszczęsna kobieta zmarła.

– Był w morderczym nastroju? – dociekał uważnie Jordan. – *Dziś rano?* I mówi pan, że szukał swojej żony? W takim razie równie dobrze mógł zaatakować żonę?

W OBRONIE WŁASNEJ. Słowa te widniały w głowie Cliffa niczym ogromny podtytuł. Rozumiał już całą sytuację. W ustach poczuł gorzki smak porażki, mimo iż *Edward Reynard* wygra. Zgodnie z jego starannie wyreżyserowanym scenariuszem Sherry jest główną podejrzaną w zabójstwie swego męża. I jeśli jest zabójczynią, w jakimkolwiek sensie, a szczególnie jeśli uznają ją za obłąkaną, nie będzie mogła zatrzymać dziecka. Ale nawet gdyby Cliff miał możliwość lub postarał się, żeby „to tutaj” stało się czynnikiem w sporze o opiekę nad dzieckiem, jak mógłby to udowodnić? I czy ojciec nieżyjącego chłopaka wynagrodziłby mu, skoro to on doprowadził do jego śmierci?

Cliff poczuł, jak ciarki biegą mu po plecach. Przerazało go nie to, że zabił albo że ujawnią go jako zabójcę, ale to, że na chwilę zapomniał o swych czynach. Przyszła mu na myśl Elsie. Boże, czyżby *i on* nie potrafił odróżnić fikcji od prawdziwego życia?

Tymczasem na wiadomość o kolejnej śmierci w salonie zapanowała ponura atmosfera.

Przerwał ją Murchison: – Jeśli można spytać – powiedział cicho, ale stanowczo – czy narzędzie, te nożyce, znajdowały się na widoku, czy nie?

PREMEDYTACJA. Cliff ujrzał kolejny podtytuł wyświetlony na ekranie swoich myśli.

– Na razie nikt tego nie wie – odparł porucznik. – Przepraszam. – Wyszedł do holu naradzić się z człowiekiem, który najwyraźniej wrócił z jakiejś misji.

Murchison usiadł obok Reynarda. Od sofy, na której siedziała Sherry z Allenem Jordanem, dzieliło ich około sześciu metrów. A pomiędzy dwiema stronami, niczym jury, siedziały Parki. Ich wzrok pochłonięty był każdym nowym przybyszem. Przykryte zwłoki zabrano. W holu na podłodze dla przypomnienia widniał kredowy rysunek. Błyskały kolejne



lampy. Jakiś człowiek bardzo ostrożnie i starannie zbierał zaplamioną krwią pocztę.

Porucznik wrócił do salonu. Zdawało się, że postanowił udzielić informacji. Powiedział: – Poczta wrzucono przez otwór na listy dokładnie cztery minuty po dziesiątej. To pewna godzina. Da się potwierdzić. I poczta ta wylądowała we krwi tego człowieka. Istnieje więc uzasadnione przypuszczenie, że ofiara była martwa lub co najmniej śmiertelnie ranna jeszcze *przed* dziesiątą cztery. Pan – zwrócił się do Cliffa – tu był. Czy listonosz dzwoni zwykle?

– Nie, nie – odparł Cliff.

– I nie wie pan, w którym momencie weszła pani Reynard?

– Nie, nie wiem – powtórzył Cliff. Nie wiedział. Teraz wiedział już tylko, że weszła *po* dziesiątej cztery, ale tego nie mógł powiedzieć.

– A panie też nie wiedzą, o której ona weszła do domu?

Parki uczciwie przyznały, że nie. Obaj adwokaci przysłuchiwali się uważnie. Nagle Sherry usiadła prosto. – Nie *będzie* żadnego przesłuchania, prawda? – krzyknęła. – Och, w takim razie to bez znaczenia? Próbowałam pozbyć się tego, ale nie mogłam... nie mogłam.

– O co jej chodzi? – spytał Murchison.

Jordan wyciągnął do niej rękę, ale ona wymknęła się z jego przyjaznego uścisku. Skoczyła na równe nogi. – To mój wróg – zawołała. – Och, błagam, przywróćcie mi *moją* świadomość! Wiem, kto to był. Wiedziałam. – Jordan usiłował powstrzymać ją. – Krew! – krzyczała Sherry w rozpacz. Jej myśli skupione były na zawartości jej krwi, z której tę krew trzeba oczyścić.

Jordanowi udało się siłą posadzić ją z powrotem na sofie. Sherry zaczęła szlochać. Płacze i majaczy – pomyślał Cliff – a za chwilę będzie się wypierać. Popatrzył z drugiego końca pokoju na ten wrak człowieka. Czuł się ociążały i oszukany. Więc to ma być przesłuchanie? Ale on nie ma nad nim kontroli...

– Oszałała – zachrypiał Reynard. – To narkotyki. Widzicie? To *ona* wpakowała mojego syna w narkotyki. Mieli dziecko. Jest jeszcze niewinne dziecko, mały chłopczyk.

– Niech się pan nie martwi – uspokoił go Murchison. – John jest w bezpiecznym miejscu.

– Na razie – rzucił z zacięciem Reynard. – Ale chcę go przenieść. Niech pan zdobędzie niezbędny dokument. Nakaz sądowy? *Cokolwiek*. Nie pozwolę, żeby się do niego zbliżała! Niech chociaż coś mi zostanie!

Po czy schylił głowę i w salonie zapanowało współczucie. Cliff wyczuwał narastającą zgodność. Nawet Parki ją odczuwały. Oboje młodzi obłąkani. Oboje mordercy. Syn zabija

swoją matkę. Żona zabija swego męża. Byli obłąkani, obłąkani od narkotyków, od wyniszczonych, obumarłych umysłów. Nie ma sensu usiłować zrozumieć. To po prostu kolejna tragedia. Jedyne, co można zrobić, to ratować dziecko, które jeszcze nie jest obłąkane.

Niektóre słowa dotarły do Sherry. – Ale ja nie poszłam... – usiłowała wyjaśniać. – Powiedziałam baloniarze.

Jordan zamknął jej usta. Skąd miał wiedzieć, kiedy jest przytomna, a kiedy nie? Sherry nie mogła mieć o to do niego pretensji.

– Chciałbym zawołać do niej lekarza – oświadczył. – Czy nie widzi pan, że ona cierpi? – mówił, rozzłoszczony.

– Jeszcze nie teraz – odparł łagodnie porucznik. – Mamy tu lekarzy.

Co on tym sugeruje? – zastanawiał się Cliff. – Lekarz, który zbadał Warda, już wyszedł. Czyżby miał na myśli lekarzy policyjnych? A więc *ma* zamiar aresztować ją?

Cliff poczuł, że serce mu zamarło. Ale wyjdzie z tego – powiedział sobie. – Znajdą jakieś wyjaśnienie. Niepoczytalność. Działanie w obronie własnej. Przecież nie wsadzają do komór gazowych dziewczyn za to, że zabiły mężów. To zdarza się często. Pewnie wyślą ją do czubków. Na jakiś czas. Tylko na jakiś czas.

A kiedy już wypuszczają na wolność... Na wolność?

Sherry udało się opanować płacz. Trzymała przy policzku szmacianą lalkę. Zakołysała się i zamknęła oczy.

Tak było lepiej, z zamkniętymi oczami, bo wszystko było świetnie, a znajome fragmenty świata nie skakały już tu i tam. I Ward nie żyje, i ona jest zupełnie sama? Nie, chwileczkę... Przecież jest... Pomyślała o tym jeszcze przed chwilą. Chwilą? – Wszystko to *nie* wszystko – szepnęła. Miało to dla niej jakiś sens. Nie chciała jednoczyć się z wszechświatem. Chodzi o to, żeby odczuć pewne ograniczające wyróżnienie, coś, co człowieka *odróżnia*. Już prawie całkiem to pojmowała. Prawie... Sherry zaczęła nucić szmacianej lalce: – Zaśnij już, oczka zmruż...

Jordan westchnął, oparł się i czekał. Wszyscy wiedzieli, co wydarzy się za chwilę, gdy tylko porucznik będzie gotów.

Pani Kimberly miała zaciśnięte usta. Łza płynęła jej po policzku, ale milczała. Pani Link wpinała spinki we włosy. A pani Moran patrzyła na wprost przed siebie spod przymrużonych powiek. – Uczynił to wróg – powiedziała szeptem.

Cliff Storm pomyślał: To wcale nie skończy się tak szybko, jeśli ktoś nie zareaguje i nie ukróci tego jej śpiewania, jeśli ktoś tego nie przerwie, to on pewnie zaraz postrada zmysły. Chciało mu się krzyknąć!

## Rozdział 22

W tej chwili Cliffowi serce skoczyło do gardła w przypiływie prymitywnego strachu. Frontowe drzwi otworzyły się. Stała w nich jakaś *biała* postać!

Był to tylko Joe Bianchi w swoim białym kitlu. Zjawił się nagle, twierdząc, że tu mieszka, nic nie wie o żadnej zbrodni i chce wejść.

Kiedy go wpuszczono, poszedł rozkołysanym krokiem do salonu, rzucił okiem na Sherry i powiedział głośno: – Co się z nią dzieje? Co ona brała? Jestem lekarzem. Dziewczyna jest naćpana. Nie możecie przesłuchiwać jej w takim stanie. Jest niepoczytalna.

– Jestem jej adwokatem – powiedział ciepłym tonem Jordan. – To samo im mówiłem, panie doktorze.

– I miał pan rację, do diabła – powiedział Joe ze złością.

– Cześć, laleczko – odezwała się Sherry, otwierając zmęczone oczy. – Ty jesteś laleczką?

– Nie słuchajcie jej – powiedział Joe. – Posłuchajcie mnie, ktokolwiek tutaj dowodzi. Coś wam powiem. Ta dziewczyna sama nie wpędziła się w ten stan! Nie wierzę w to. – Stał z szeroko rozstawionymi nogami i wydał opinię.

Słyszając to, pani Moran zareagowała sprytnie jak lis. – Mnie się zdaje – powiedziała – że pan Storm dodał jej coś do soku pomarańczowego dziś rano. Ale jak mówię, tak mi się *zdaje*.

– Po co miałby to robić? – spytał porucznik, nie ujawniając, czy wierzy w to, czy nie. W duchu odnosił się z pewną rezerwą do Storma i tej stukniętej blondyneczki.

– Bo to jej wróg – odparła pani Moran.

– Oczywiście, to jej wróg – potwierdziła pani Link.

– O tak, naprawdę – dodała pani Kimberly.

Utkwiły w poruczniku sowi wzrok.

– To dziwne słowo... – zaczął porucznik.

– Dobrze, adekwatne słowo – odcięła pani Moran. – Przecież sam pan je zna. Wróg: ktoś, kto chce ją skrzywdzić.

(Nie, wcale nie chcę, naprawdę – pomyślał zaskoczony Cliff. – Nie, nie. Chodziło mi tylko o własne dobro.) – Wcale nie – powiedział na głos.

Wtedy wtrącił się Joe: – Proszę bardzo, niech pan go spyta, co on robi w tej norze. Zobaczmy, czy *panu* też powie, że jest umierający.

A pani Moran dodała, patrząc zaszokowanemu porucznikowi prosto w twarz: – Myślał pan, że byli kochankami? Proszę wybić to sobie z głowy!

– To Edward Reynard za tym stoi – oznajmiła pani Kimberly.

– Tak, oczywiście – dodała pani Link. – A *on* jest tylko marionetką Edwarda Reynarda.

Murchison, z podkrążonymi oczami, odezwał się łagodnie: – Niech panie trochę uważają.

Wszystkie trzy Parki spojrzały na niego, wcale przyjemnie.

– Czy my – zaczęła pani Kimberly – będziemy musiały złożyć oświadczenia?

– I być świadkami? – dodała pani Link, przyklepując włosy.

– I czy będziemy pozwane do sądu? – spytała pani Moran, uśmiechając się do Murchisona szeroko jak gargulec.

A wtedy w holu rozległy się jęki pani Peabody i ryk wściekłości pana Peabody, a porucznik, bynajmniej nie z ulgą, udał się do nich. Murchison zaczął szeptać coś Reynardowi, ale zdawało się, że klient nawet go nie słyszy. Cliff przywarł do ściany, przykuty ostrymi jak szpilki spojrzeniami Park. Nie rozumiał, co takiego im zrobił. Dlaczego były przeciwko niemu?

Nagle wszedł pan Peabody, przedzierając się przez tłum. Powiedział do Cliffa surowym tonem: – A więc to pan zabrał gdzieś moją córkę i pokazywał jej jakieś przekłete, wstrętne filmy. Popelniłeś pan wielki błąd. Mówiłem panu, że ona nie jest obłąkana.

– Panie Reynard? – odezwał się Murchison, lekko zaniepokojony.

Gospodarz spojrzał czerwonymi oczyma. – Reynard? – wrzasnął. – I co z tym domem?

Reynard poruszył się i odparł chłodno: – Z jakim domem? Nie wiem, o czym pan mówi. – Zasłonił ręką oczy.

Pani Peabody weszła, potykając się, podbiegła do męża i przywarła do niego, aby go wesprzeć. – Okłamał nas pan, panie Storm – rzuciła z dziwnym błyskiem w oczach. – Jest pan okrutnym, podłym człowiekiem. Wynos się pan! Wynos się!

– Jeszcze nie – przerwał porucznik, który przyszedł za nią. – Tu się odbywa śledztwo. Proszę usiąść.

Murchison powiedział: – Dobrze. Ale cokolwiek jest przedmiotem śledztwa, odbiegamy chyba od tematu?

– No, nie wiem – wycedził Allen Jordan.

To Edward Reynard stracił cierpliwość i przestał się hamować. – Zabito mi syna! – krzyknął. – *Czy ona to zrobiła?* Bo jeśli tak, to wszystko jasne!

Sherry usiadła prosto. – Zgadza się – zawołała. – Całkowicie się zgadza! – Otworzyła oczy. Wpatrywała się w niego, a Reynard w nią.

– Zrobiłaś to, Sherry? – spytał zdławionym głosem.

– Nie odpowiadaj – nakazał Jordan.

– Nie, nie – odrzekła Sherry. – Ale chciałabym... – Głos jej zadrżał. – Chciałabym pozbyć się tego paskudztwa w mojej krwi. Nie mogę zorientować się w czasie.

Zastanawiała się nad czasem, który przewijał się z przeszłości przez teraźniejszość do przyszłości – czas, który człowiek zostawiał za sobą, pełen uczynków i ten, którego nie można się już doczekać. Już prawie odzyskała go. Prawie. Znowu przytuliła szmacianą lalkę do policzka i zamknęła oczy. Czas i przestrzeń drgały i trzęsły się. – Och, Ward – lamentowała.

– To, co mówi, nie jest dopuszczalnym zeznaniem – oświadczył sztywno Jordan. – Czy mógłbym więc jeszcze raz prosić o pozwolenie, aby zabrać ją do szpitala?

– Obawiam się... – zaczął porucznik.

Sherry usilnie starała się opanować czas i sprawić, by odpowiednio działał. – Och, tak, do szpitala – powiedziała radośnie. – Och, rzeczywiście, bo Johnny będzie się niepokoił. – Zapadła chwilowa cisza. Reynard, który stał, usiadł teraz i wpatrywał się w nią. Rozejrzała się po wszystkich twarzach. – To mój mały synek – wyjaśniła. I nie zapomniała. Nie zapomniała. Pamięta już, kim jest. Uśmiechnęła się więc. – Bo widzicie, ja mam dziecko.

Reynard odezwał się znużonym tonem: – O nie, ona nie ma dziecka.

A pani Kimberly odparła, ucinając: – Owszem, ma.

Reynard odwrócił kamienną twarz do Parek. – Spytajcie panie Storma – powiedział. – Ona się nie nadaje. Cliff, najlepiej sam im powiedz. – Zrobił gest. Ruch jego ręki oznaczał nakaz.

*O nie, nie powiem* – pomyślał Cliff. – Nie jestem twoją marionetką, staruszkule... – Odchylił się od ściany do przodu. – Skąd masz tę lalkę, Sherry? – zawołał do niej głośno.

Popatrzyła na niego od razu głębokim spojrzeniem prawdziwie niebieskich oczu. – Musiałbyś nienawidzić mnie tak jak pan Reynard...

Natychmiast zrozumiał, o co jej chodzi. Chciał jej to powiedzieć. Ale ona zamknęła oczy i znowu odplynęła. Parki jednak zachowały czujność. W lot złapały znaczenie małej, szmacianej lalki niczym nurkujące ptaki.

Pani Moran była najszybsza. – Od baloniarza! – zawołała.

– W parku – krzyknęła pani Kimberly, druga pod względem bystrości.

– Dzisiaj rano – oświadczyła pani Link.

Jordan już wiedział, w czym rzecz. – Kupiłaś tę lalkę *dziś* rano, w parku, jeszcze *zanim* przeszłaś przez ulicę do tego domu? Powiedz mi, Sherry. Powiedz mi to zaraz...

Sherry otworzyła oczy i pokiwała głową. – Tak, zgadza się – powiedziała cicho. – A potem zobaczyłam listonosza, więc przeszłam na drugą stronę ulicy, bo spodziewałam się przekazu pocztowego.

– Sprawdźcie to! – krzyknęła pani Moran.

– Możecie go odszukać – zawołała piskliwie pani Kimberly. – Rozejrzyjcie się tylko za balonami!

– Bo jak on będzie wiedział – zagrzmiała pani Link – to rozstrzygnie całą sprawę. Pośpieszcie się!

Porucznik posłał im zirytowane spojrzenie, po czym wysłał jednego z ludzi na zwiady.

Po chwili Edward Reynard wstał, wyraźnie bardzo osłabiony. Murchison doskoczył do jego boku, ale nie udało mu się powstrzymać go od przekroczenia dzielących go od niej sześciu metrów.

– Sherry? – odezwał się. Popatrzyła w górę na niego, jakby miała dar jasnowidzenia. – Czy Ward sam to zrobił?

– Tak myślałam – odparła szczerze. – Sądziłam, że zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale mimo to postanowił brać dalej, rozumie pan. Czyja powinnam była traktować go tak jak syna?

– Widziałaś, jak użył tych nożyc? – Reynard przeżywał katusze.

– Co takiego? – Czas opadł z hukiem. Uderzyło ją. Zachwiała się. – Och, nie – odparła. – Otworzyłam drzwi kluczem, a on tu leżał, ale to nie był on... tylko szmaty, które po nim zostały. – Otworzyła szeroko oczy. – Och, panie Reynard – dodała, jakby z łamiącym się sercem – to tak, jak gdyby zabito *pana*, prawda? Mówił pan, że Emily też? Och, nieszczęsny Ward! Och, Ward... On nie mógł żyć... Nie mógł tego przeżyć... – Uniosła obie ręce, lalka upadła. Najpierw jedną dłonią, a potem drugą zakryła sobie usta i zacisnęła powieki. Gwiazdy posypały się w tej ciemności.

Reynard wyglądał na załamane. – Ona ma rację. Mój syn najwyraźniej stracił panowanie nad sobą – powiedział do porucznika – kiedy zepchnął matkę ze schodów. Dopiero tutaj pewnie oprzytomniał, dotarło to do niego i zabił się. – Spojrzał na Sherry. – Jak pan widzi – dodał zbolalym głosem – ona teraz też nie jest sobą. Nie zwracałbym na nią szczególnej uwagi. Jej nie podoba się ten stan. Mnie też nie. – Uniósł wysoko głowę nad mocno wyprostowanymi plecami. – Pójdę już. Nie jest chyba konieczne, żebym zostawał? Zaczekam na zewnątrz. Niech pan sam – zwrócił się do Murchisona – wyjaśni sprawę

majątku.

Edward Reynard przeszedł obok Cliffa Storma, nie patrząc, nie mówiąc ani słowa, jakby w ogóle nie zauważył, że Cliff istnieje. Przeszedł przez hol i wyszedł z budynku. Zostawił za sobą głuchą ciszę.

Murchison zaczął przełamywać ją, a wtedy jeden z ludzi porucznika wrócił, prowadząc sprzedawcę zabawek.

Przed skupionymi słuchaczami sprzedawca odpowiadał na pytania.

Oczywiście. Doskonale pamięta godzinę. Właśnie rozpoczął pracę. Szedł od strony przystanku autobusowego, jak zwykle, według swojego harmonogramu. Wiedział, która jest godzina. Naturalnie! Zatrzymał się przy bramie parku, aby nadmuchać balony. Miał taki mały gadżet. Dziewczyna przybiegła – tak, to na pewno ona – kiedy on akurat zaczynał swój dzień. To było dwie minuty po dziesiątej. Mógłby przysiąc, na pewno. Oczywiście, kupiła lalkę. Spytała go, czy poszedłby do szpitala z wiadomością dla jej małego synka, chodziło jakby o przysługę za przysługę. Powiedziała, że właściwie niepotrzebna jej szmaciana lalka i że sama nie chce nią być. Pomyślał, że czymś się naćpała. Zapytała go: „czy to listonosz?”

Spojrzał i potwierdził, że tak. Tak było, listonosz wchodził po schodach do *tego* domu. Pamięta bardzo dobrze. Następnie on wyszukał dla niej drobne i wydał jej cztery z pięciu. A dostał pięćfocentówkę. Trochę jeszcze pożartowali. Powiedziała, że balony są piękne. Kolor, mówiła, to dziwne zjawisko. „Dlaczego jest tak piękne?” – spytała go. O nie, nie mogła przejść przez ulicę i dojść do tego domu wcześniej niż dziesięć po dziesiątej. Sprzedawca zabawek był tego absolutnie pewien.

– A więc widział pan, jak listonosz tu idzie, kiedy ona wciąż jeszcze była z panem? – dociekał porucznik.

Oczywiście, oczywiście.

(Myśli Cliffa splatały się z myślami porucznika. A więc nie mogła przyjść tutaj, odebrać poczty, a potem, *po* morderstwie rozrzucić jej, aby mieć jakieś alibi. Cliff rozpoznał bystry umysł. A po co ja, czytał z niego dalej, miałbym dawać jej alibi, skoro jestem jej wrogiem?)

Ale przecież właśnie to zrobił! Oczywiście, to była prawda.

A Sherry wołała z drugiego końca pokoju do mężczyzny z parku. – Co pan zrobił z balonami? Niech pan powie...!

– Odciałem i puściłem – odrzekł. – Każdy po kolei.

A Sherry krzyknęła: – Jak to *miło* z pana strony! Och, jak pięknie! – I nagle zaczęła płakać. Bo Ward nie żyje, a świat mimo wszystko nie jest tak wstrętny, jaki powinien być.

Ale Parki, zwińczone uśmiechem i zmarszczkami, cicho klaskały w dłonie. Porucznik wysłał kogoś, aby spisał zeznania sprzedawcy zabawek: – ...jeśli zechce pójść z policjantem.

Allen Jordan zwrócił się wtedy do Joe. – Panie doktorze, czy sądzi pan, że można coś jej podać? Żeby zneutralizować działanie tego narkotyku?

– Niech pan spróbuje skontaktować się z doktorem Jeffersem – poradził Joe. – Powinien być w laboratorium. – Odwrócił się i spiorunował wzrokiem Cliffa. – A jeśli pan wie, co ona wzięła i w jakiej ilości, to niech pan powie, na miłość boską.

Ale Cliff potrząsnął tylko głową i przywarł do ściany. Nie wie. Nie rozumie. Przecież właśnie ją uratował, i to bardzo sprytnie, prawda? Czy ona nie zdaje sobie sprawy? Czy nikt nie zauważył? Co, na Boga, jest tak *pięknego* w odcinaniu jakichś cholernych baloników i puszczaniu ich do nieba? Czy to było warte łez? Nie, on nigdy jej nie rozumiał i nigdy nie zrozumie...

Porucznik nie chciał pozwolić Jordanowi zabrać Sherry do lekarza. Jordan zapewniał, że dziewczyna nie wyjedzie z miasta. On się nią zaopiekuje.

Murchison powiedział: – Jedną minutkę, pani Reynard. Jordan? Pan również. Pani Reynard – to znaczy, Emily – zapisała wnukowi dość spory majątek. I pani Sherry Reynard, jako jego prawna opiekunka, będzie mogła wedle uznania korzystać z niego dla dobra chłopca. Ale Emily Reynard miała także dużo własnych gruntów pod dzierżawę, rozumie pan, i sporą część tej własności zostawiła synowi, Wardowi. Trudno mi jednak powiedzieć, czy Sherry Reynard wolno tknąć tę posiadłość, skoro Ward jako matkobójca nie powinien w żadnych okolicznościach dziedziczyć z uwagi na przestępstwo, jakie popełnił. Wszystko to będzie musiał prawnie rozstrzygnąć sąd.

– Może z tego wyniknąć niezła utarczka, mecenasie – odparł sympatycznie Jordan.

– Tak przypuszczam – rzekł uprzejmie Murchison. – To tyle. Życzę wszystkim miłego dnia.

Edward Reynard czekał w samochodzie. Murchison nie odezwał się, tylko wsiadł za kierownicę. Przejechali kilka przecznic, kiedy Reynard powiedział: – Ożeniłem się z miłą dziewczyną. I niech jej Bóg pomoże, biedna Emily... – Przestał mówić. Nie płakał.

Murchison oznajmił więc: – Będzie pan, oczywiście, od czasu do czasu widywał wnuka. Nie sądzę, aby jego matka była tak bezwzględna.

– Wątpię, czy często będę widywał chłopca – odparł Reynard. – Jestem sam na tym świecie, odkąd skończyłem osiemnaście lat, rozumie pan...



Następnie wyprostował się i wrócił do schematu. – A wie pan – powiedział – że gdybym *ja* był w domu dzisiaj rano, nic takiego nie miałyby miejsca?

– Pewnie nie – zgodził się skwapliwie Murchison. A w myślach dodał: czy on nie widzi, w jakich znalazł się tarapatach przez to, że wynajął tego idiotę, Storma? Czy im naprawdę zdawało się, że przeciętni ludzie nie potrafią odróżnić rzeczywistości od fikcji? Czy może po prostu *oni* sami nie potrafią? I czym właściwie jest „obłąkanie”? A co oznacza „być przy zdrowych zmysłach”?

Sherry ćwiczyła mięśnie oczu, chcąc usilnie pozbyć się napadów zaburzenia wzroku. Była już w stanie uznać własną głupotę. Edward Reynard nigdy nie postrzegał Sherry Coleman Reynard taką, jaka była naprawdę. Kochał i nienawidził kogoś innego. Widocznie tak jest. Pomylił miejsce albo czas, umieścił Sherry w złym rzędzie albo siebie w rzędzie Warda. Ale kochał i nienawidził kogoś, kto zranił jego albo kogo on zranił. Nieszczęsne stworzenie, mały staruszek! Szkoda, że nie zdawała sobie sprawy... Ale wszystko to już minęło.

Jordan przyniósł jej czek. – Był w liście – oznajmił. Porucznik musiał zatrzymać kopertę i inne przesyłki jako materiał dowodowy, ale wraz z Jordanem zgodzili się, że nie powinien zatrzymywać pieniędzy.

Na czeku widniał podpis „Jessie N. Holmes”, nakreślony ładnymi zawijasami. „Wypłacić: Sherry Reynard, kwota: pięćset dolarów”.

– *Wiedziałam* – odezwała się Sherry. – Niemożliwe, żeby cały świat był przeciwko mnie. – Jej myśli biegły już zdecydowanie wolniej. Nie. Nagle zdała sobie sprawę, że jej mózg zawsze funkcjonował tak szybko, tylko nie była tego tak dotkliwie świadoma.

– Czy możesz wziąć swoje rzeczy? – spytał Jordan. – Chciałbym cię stąd zabrać.

– Chyba tak – odrzekła.

Poszła do swego pokoju. Jego biel była tak samo chłodna jak zawsze, chociaż światło nie wydawało się już tak bardzo jasne. Miało odcień bieli, z którym przeciętne ludzkie oko prawie jest w stanie sobie poradzić. Tak więc smutek wkradnie się do przeciętnego serca, które musi nauczyć się go przeboleć.

Wyjęła swoje rzeczy z szuflad komody. A pieniądze? No tak. Tak. Wtedy jeszcze tu były. Wyrzuciła jakiś skrawek papieru do kosza na śmieci. To nie jej.

Już od półtora tygodnia *była* w żałobie. Potrafiła niemalże wyskoczyć myślami naprzód i zrozumieć, jak to będzie, kiedy się to przeboleje. (Czas zaczynał działać jak dawniej.) Wiedziała, że wcale nie będzie lekko. Jednak najgorsza po czyjejś śmierci jest

próba udawania, że on i tak niewiele znaczył. Nieprawda! Ward znaczył wiele! Był bardzo ważny. Johnny musi o tym wiedzieć – pomyślała Sherry. Delikatnie spakowała szmacianą lalkę.

Tymczasem Jordan mówił do osób w salonie: – Z tego, co rozumiem, ktoś próbował skompromitować panią Reynard? Zszargać jej reputację? Powiem tylko... – Musiał być bardzo wściekły, skoro chciał wyrazić taką rzecz. – ...że jeżeli poprzez takie postępowanie ktoś liczy na jakiegokolwiek korzyści, to może się przekonać, że cholernie się myli. Niech panie wybaczą.

– Cholernie – powtórzyła bez skrępowania pani Moran – to bardzo adekwatne słowo, o tak.

Cliff Storm czuł się odrętwiały i patrzył tylko tępym wzrokiem.

Kiedy Sherry wyszła z pokoju, ciągnąc dwie walizki i swój szary płaszcz, Jordan wziął je od niej. – Świetnie. Bo już czas na ciebie. I nic ci nie jest. I jesteś bogata – dodał bezmyślnie.

Nie poczuła się urażona. Pomyślała, że powinna się pożegnać. Popatrzyła na państwa Peabody. Dostrzegła ból w myślach gospodarza. Widziała też postanowienie. – Czy pożegnacie państwo Elsie w moim imieniu? – spytała.

– Nic jej nie będzie – powiedział pan Peabody. – Ona niewiele pojmuje, wie pani. Jest pod opieką, tak mówi lekarz.

Nie bardzo go rozumiała, ale domyśliła się, że chciał ją uspokoić. Odparła więc: – Cieszę się.

Wtedy odezwała się pani Peabody, wykorzystując możliwość zabrania głosu: – Pani Reynard, przepraszam, że nie pomogłam pani poczuć się tu bardziej... bardziej swobodnie.

Sherry zauważyła, jak pewien spokój wypełnia dziwne oczy właścicielki. Pani Peabody zrezygnowała z pozycji obronnej. Uznała, że i tak zostanie pokonana.

– Byłoby miło – powiedziała Sherry – gdybyśmy wszyscy bardziej się starali. Ale tamten czas już się skończył, a nam się nie udało. A więc żegnajcie.

Joe powiedział: – Idź zobaczyć się z doktorem Jeffersem. On zna się na tych paskudztwach jak nikt inny. Powodzenia, lalczko. I do zobaczenia.

– Może. – Sherry uśmiechnęła się do niego. Bardzo go lubiła. – No, no, kto wie? – dodała łagodnie. – Choć nie sądzę.

Joe uśmiechnął się szeroko, schylił głowę na znak zgody i poszedł wzdłuż holu, przeciskając się przez grupę ludzi z wydziału policji, którzy wciąż kręcili się tam. Wspiął się jak małpa po lśniących schodach.

A Sherry zwróciła się do Parek, póki jej umysł zachowywał jeszcze tę rozkoszną klarowność: – Och, drogie panie! *Cum laude? Cum laude?* – Tak. Komu chwała? Była zachwycona, że powiedziała im to.

Wszystkie trzy zrozumiały natychmiast. Pani Link ucałowała Sherry w policzek i opuszkami palców poklepała miejsce pocałunku. Następnie majestatycznym krokiem przeszła po starej, skrzypiącej podłodze na swoje miejsce przy karcianym stoliku. Pani Kimberly pochyliła do siebie głowę Sherry i ucałowała ją w czoło. A potem szybko usadowiła się w swoim fotelu. Pani Moran zbliżyła się, powłócząc nogami, wyciągnęła prawą rękę i ścisnęła dłoń Sherry w mocnym uścisku, po czym pocałowała z powrotem bez słowa.

Trzy starsze panie usiadły i rozejrzały się dokoła, nie chcąc przegapić tego wszystkiego, co jeszcze może się wydarzyć, skoro one jeszcze tam są.

Allen Jordan, szalenie zakochany w Parkach, też zaczął żegnać się z nimi czule.

A Cliff Storm czekał na swoją kolej i miał bezradnie skłębione myśli. A więc jest wolna, wszystko skończone, założą, że to samobójstwo, a on... I wtedy podeszła.

Sherry zamroczyło. Albo środek znów zaczął działać. Powiedziała: – Nie widzę cię. Nawet nie wiem, czy ktoś tu w ogóle stoi. – Wyciągała prawą rękę, jak gdyby szukała go po omacku.

Cliff nie był w stanie mówić. Wziął ją za rękę. W dotyku tętniła życiem. A w środku był szkielet. Ale ona go nie widziała. Chociaż bardzo chciała, i on też. *Jeszcze jeden raz!*

Jordan wyszedł zza jej pleców; Cliff puścił ją, odwrócił się i ruszył śladem Joe. Usłyszał, jak porucznik woła: – Storm? Za sekundę przyjdę na górę.

Cliff odparł apatycznie: – Tak, oczywiście. – I powłókł się po schodach, czując się samotny i oszołomiony, ociążały i oszukany, i zagubiony, choć nie wiedział, od czego.

Jordan, niosąc jej torby, wyprowadził Sherry z budynku do swojego samochodu, do którego włożył bagaże. – Chodź ze mną, do szpitala. Znajdziemy tego lekarza. Zobaczymy, co może zrobić.

– Nie jestem pewna... – odparła Sherry, idąc we mgle przyprószonej fioletem i błękitem, ale jej język w tym momencie jakby należał do niej – ...czy chcę brać jeszcze jakieś leki. Może gdybym miała jakiegoś porządnego, trwałego, dobrze znanego wirusa... To wolałabym... ale nie wiem, dlaczego... Wtedy zaryzykowałabym i spróbowała temu zaradzić. A czy wolno mi odwiedzić Johnny'ego?

– Zobaczymy – odrzekł łagodnie.

– Nie wolno krzywdzić dzieci – wyrecytowała. – Nie wolno ich ograniczać, straszyć, zatrzymywać w rozwoju. Dlatego, że po prostu nie wolno. Tak już jest zapisane w naturze, *tak*. Nie wiem dlaczego, ale nie wolno *tego* robić. Mój ojciec był ogrodnikiem. Ja nie jestem zbyt inteligentna, panie Jordan...

– Jesteś świetna – odparł.

– Nie, nie jestem – powiedziała Sherry. – Ale może z czasem będzie lepiej.

Cliff wyglądał przez okno i zobaczył, jak przechodzą na drugą stronę. Sherry poruszała się z porywającym wdziękiem. A kiedy już znikła w ogromnym budynku, usiadł na łóżku, spychając walizkę na bok. Nie wiedział, co teraz nastąpi. Trochę nim pomiatają. Może jednak któregoś dnia? – usiłował myśleć. Ale nie był w stanie planować intrygi z takim wyprzedzeniem.

Drzwi zostawił otwarte, dlatego też wkrótce dowiedział się, co zaraz nastąpi. Joe Bianchi wyszedł z łazienki, spojrział na niego i nic nie powiedział. Ale Cliff słyszał, jak jego młode stopy tupią po schodach. Coś, a może właśnie ten zdecydowany tupot spowodował, że podszedł na palcach i nasłuchiwał.

Joe rozmawiał z porucznikiem. – Nie był pan jeszcze na górze? Więc niech pan tam pójdzie, i to szybko. Jest tam para nożyc chirurgicznych, które należą do mnie. Są zanurzone w umywalce. To ten Storm, to *on* pożyczył je ode mnie kilka dni temu. Jasne?

Cliff odwrócił się i na palcach odszedł z powrotem. Wyrzwał za okno, ale jej już nie było. Nie było jej. Położył się na łóżku i ciężko odwrócił policzek ku poduszce. *W obronie własnej* – pomyślał bez przekonania. Bo miał wrażenie, że takie usprawiedliwienie nie bardzo mu pomoże. Raczej nie.